W P
1621

Powstanie '44
Dodatek specjalny na 75. rocznicę bitwy

Młot na UPA
Jak węgierscy żołnierze bronili Polaków na Wołyniu

Słynni lotnicy II RP
Brawurowe szarże polskich pilotów

NR 8 (78)/2019 SIERPIEŃ 2019

CENA 8,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

DO RZECZY
MIESIĘCZNIK LISICKIEGO

Francuskie gilotyny
KRWAWY TERROR REWOLUCJI

DO RZECZY HISTORIA
ISSN 2299-9515
Nr indeksu 296 031
9 772299 951509 08

verva street racing

WSTĘP WOLNY

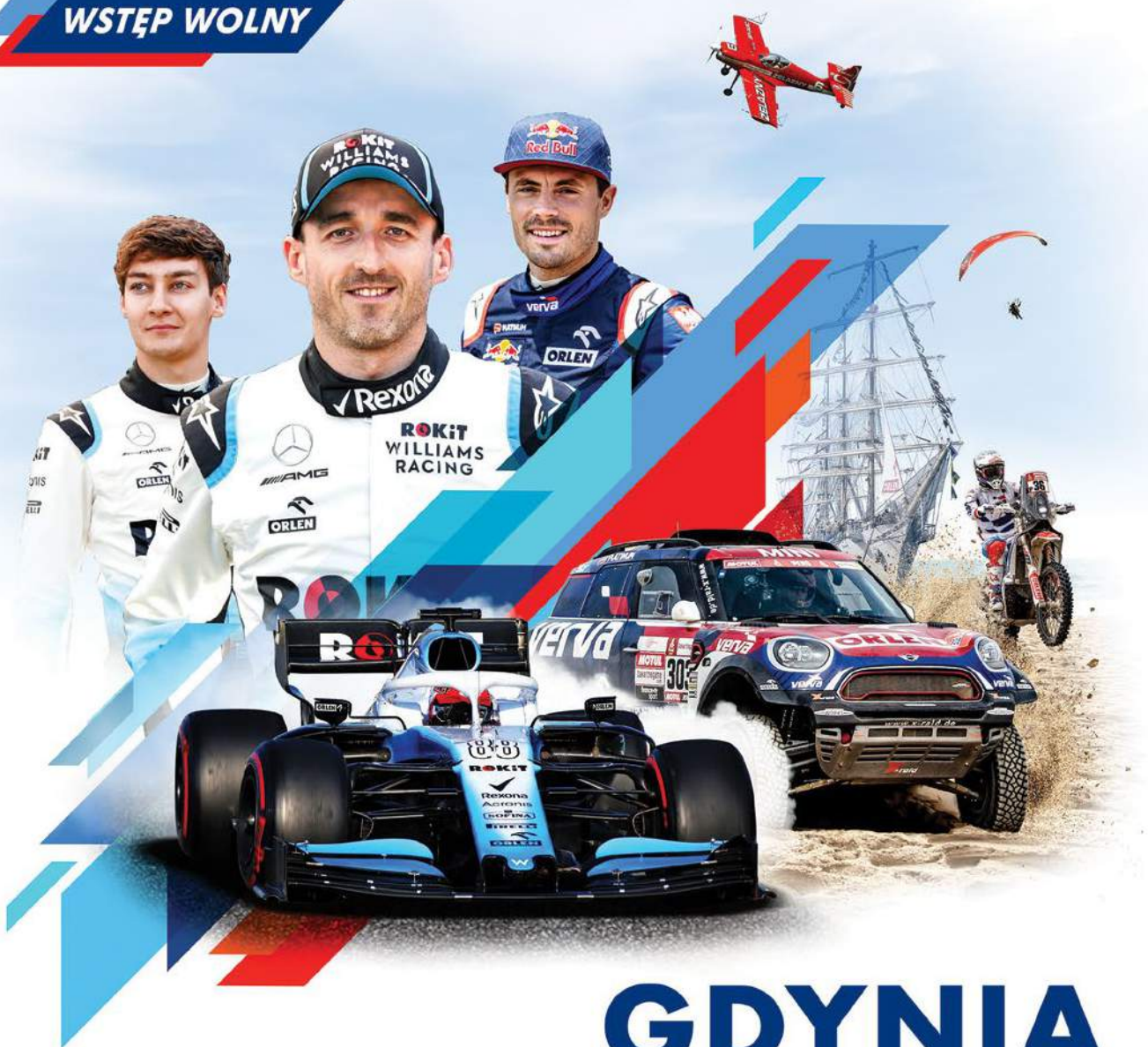

GDYNIA

24-25 sierpnia 2019

ORLEN

ROKiT WILLIAMS RACING
OFFICIAL PARTNER

Team ORLEN

www.vervastreetracing.pl

eprasa.pl 7519f1e932

HISTORIA DO RZECZY

ADRES: HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL
PROWADZĄCY: Marcin Bartnicki

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:
Redaktorzy: **Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk, Marcin Bartnicki, Piotr Włoczyk**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**

Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska**
Okładka: **Krzysztof Wyrzykowski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Aleksowska, Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także SuperExpress), **Marek Budzisz**

WYDAWCA:
Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu spółka Orle Pióro wchodzi w skład grupy kapitałowej PMPG SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: +48 22 347 50 10
reklama@dorzeczy.pl

PUBLIC RELATIONS:
pr@point-group.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż),
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515
Nr indeksu 296031

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów.
Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Ciechocinek, lato 1936 r.

Kuracjusze podczas kąpieli w basenie solankowo-termalnym

FOT. NAC

Od redaktora

Piotr Zychowicz

Hydra o trzech głowach

Trzy całkowicie lewicowe rewolucje – francuska, bolszewicka i nazistowska – ukształtowały historię ostatnich 200 lat. I sprawiły, że były one stuleciami »G«. Gilotyn, gazowych komór i GUŁagu".

To słowa Erika von Kuehnelt-Leddihna, wybitnego austriackiego konserwatywnego myśliciela. W swoich rozważaniach podkreślał on, że te trzy krwawe rewolty stanowiły prawdziwą katastrofę dla Europy i jej cywilizacji. Były niczym potwór o trzech głowach, który spustoszył – zarówno materialnie, jak i duchowo – nasz kontynent. Obrócił w gruzy stary konserwatywny ład. I zastąpił go nowym, rewolucyjnym porządkiem.

Rewolucja francuska obaliła monarchię i zastąpiła ją demokracją. Dyktaturą większości, która nie wahała się stosować wobec prawdziwych (i urojonych) „wrogów narodu" krwawego, bezwzględnego terroru. Wypowiedziała również totalną wojnę religii katolickiej, widząc w niej ostoję tradycyjnych, zachowawczych wartości.

Rewolucja bolszewicka przyniosła Europie ludobójczy komunizm. A rewolucja narodowosocjalistyczna – wojujący, zbrodniczy nacjonalizm. Zarówno Lenin, jak i Hitler pełnymi garściami czerpali jednak z „osiągnięć" i doświadczeń Robespierre'a. Tak jak on próbowali „naprawić świat" i stworzyć swoje utopie. Skutkiem tych kolosalnych eksperymentów z zakresu inżynierii społecznej było morze cierpienia. Miliony ofiar.

„Według przeciętej osoby wszystkie problemy zaczęły się podczas II wojny światowej – pisał Erik von Kuehnelt-Leddihn. – Według osoby lepiej poinformowanej wszystkie problemy zaczęły się podczas I wojny światowej. Ale według prawdziwego, przenikliwego historyka wszystkie problemy zaczęły się podczas rewolucji francuskiej".

Trudno się z tą opinią nie zgodzić. Szukając korzeni totalitaryzmów XX w., należy się cofnąć do roku 1789.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7519f1e932

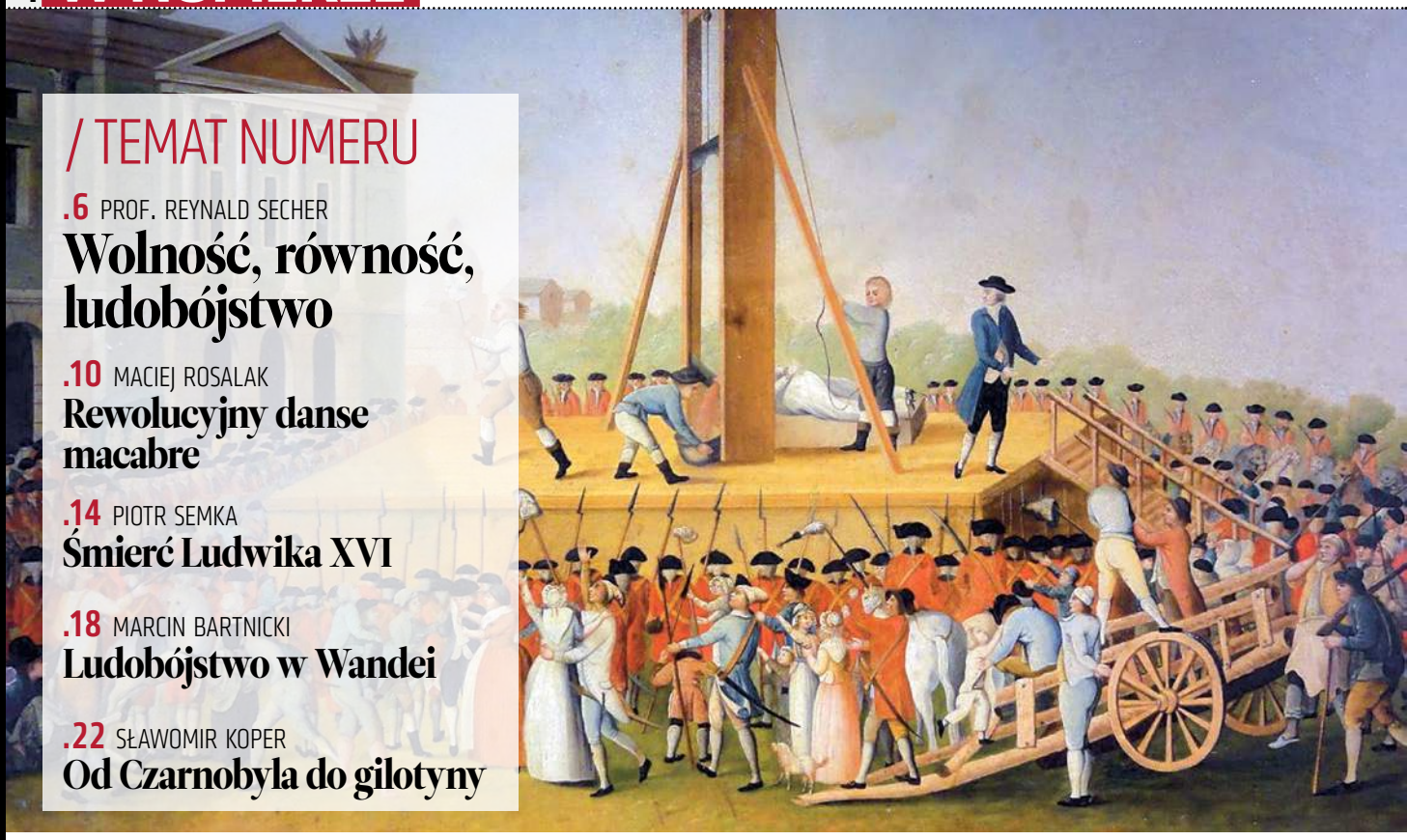

/ TEMAT NUMERU

.6 PROF. REYNALD SECHER
Wolność, równość, ludobójstwo

.10 MACIEJ ROSALAK
Rewolucyjny danse macabre

.14 PIOTR SEMKA
Śmierć Ludwika XVI

.18 MARCIN BARTNICKI
Ludobójstwo w Wandei

.22 SŁAWOMIR KOPER
Od Czarnobyla do gilotyny

/ CZASY I LUDZIE

.26 PIOTR ZYCHOWICZ
Węgrzy na Wołyniu

.30 STEFAN K. KOZŁOWSKI
Okulicki we Lwowie

.34 PAWEŁ LISICKI
Miasto, do którego przybył Piotr

.38 JAKUB OSTROMĘCKI
Teksańskie Termopile

.46 TOMASZ STAŃCZYK
Słynni lotnicy II RP

.43 MIKOŁAJ IWANOW
Stalin i Armenia turecka

.50 YUNTE HUANG
„Potwór" z Syjamu podbija USA

.54 MARIAN ZACHARSKI
Gestapo porywa oficera Abwehry

.58 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Melnyk – rywal Bandery

.62 MAREK GAŁĘZOWSKI
Bohaterowie Żelaznej Brygady

.66 LESZEK LUBICKI
Piastowska zagadka

.96 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Radioaktywność

/ CO CZYTAĆ

.76 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Sylwetka Bogdana Madeja

/ FELIETONY

.84 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Zapomniany Kosmos

.85 PIOTR SEMKA
Chichot Kirowa

eprasa.pl 7519f1e932

.99 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
Zwalczać bolszewizm!

/ KRESY

.86 TOMASZ STAŃCZYK
Cichociemni na Kresach

/ BATALIE I WODZOWIE

.90 MACIEJ ROSALAK
Grom w Moskwę i Szwedów

/ 75. ROCZNICA POWSTANIA

.68 PIOTR ZYCHOWICZ
Tragedia na Kilińskiego

.72 WACŁAW GLUTH-NOWOWIEJSKI
Placówka straceńców

/ KOMIKS

.98 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI, MACIEJ JASIŃSKI
Bitwa pod Obertynem

REKLAMA

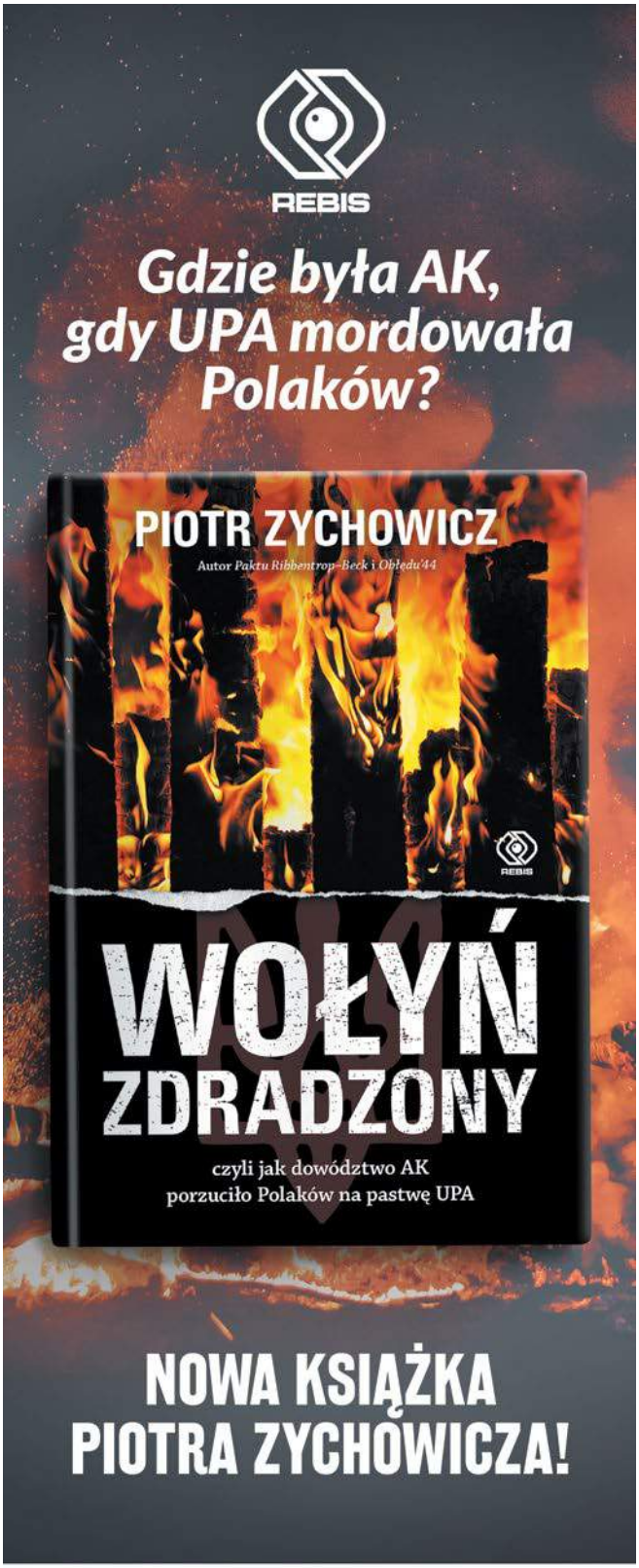

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
www.rebis.com.pl FB/REBIS

eprasa.pl 7519f1e932

Wywiad / Z prof. Reynaldem Secherem, współautorem „Czarnej księgi rewolucji francuskiej"

rozmawia Piotr Włoczyk

Wolność, równość, ludobójstwo

Francuscy rewolucjoniści stworzyli wzorzec działania dla bolszewików i nazistów. To jakobini jako pierwsi rozpętali masowy terror. Na zawsze wywrócili odwieczny porządek świata

PIOTR WŁOCZYK: Dwieście trzydzieści lat temu rozpoczęła się we Francji rewolucja, która obaliła monarchię i ustanowiła w jej miejsce republikę. Władza trafiła w ręce ludu. Jest co świętować?

PROF. REYNALD SECHER: Nie, absolutnie nie ma czego świętować, należy raczej przy tej okazji zapłakać. Jeżeli już, to 14 lipca każdego roku warto pamiętać nie o zdobyciu Bastylii, ale o śmierci Jacques'a Cathelineau, dowódcy bohaterskich katolickich powstańców w Wandei, który tego właśnie dnia (w 1793 r.) zmarł od odniesionych ran. Cathelineau, tak jak reszta Wandejczyków, walczył o wolność z rewolucjonistami, którzy pod szczytnymi hasłami nieśli terror i nieznany dotąd rodzaj zniewolenia.

Jednak to właśnie zdobycie Bastylii przez tłum paryżan stało się powszechnym symbolem walki z uciskiem, a nie powstanie w Wandei...

Tak jak z całą resztą historii rewolucji francuskiej, również tu mamy do czynienia z przekłamaniem. Zacznijmy od tego, że kiedy tłum wdarł się do Bastylii, w środku nie było żadnych „więźniów politycznych", tylko kilku pospolitych kryminalistów. Co więcej, i bez rewolucji dni Bastylii były policzone, bo po prostu nie była ona już do niczego potrzebna.

eprasa.pl 7519f1e932

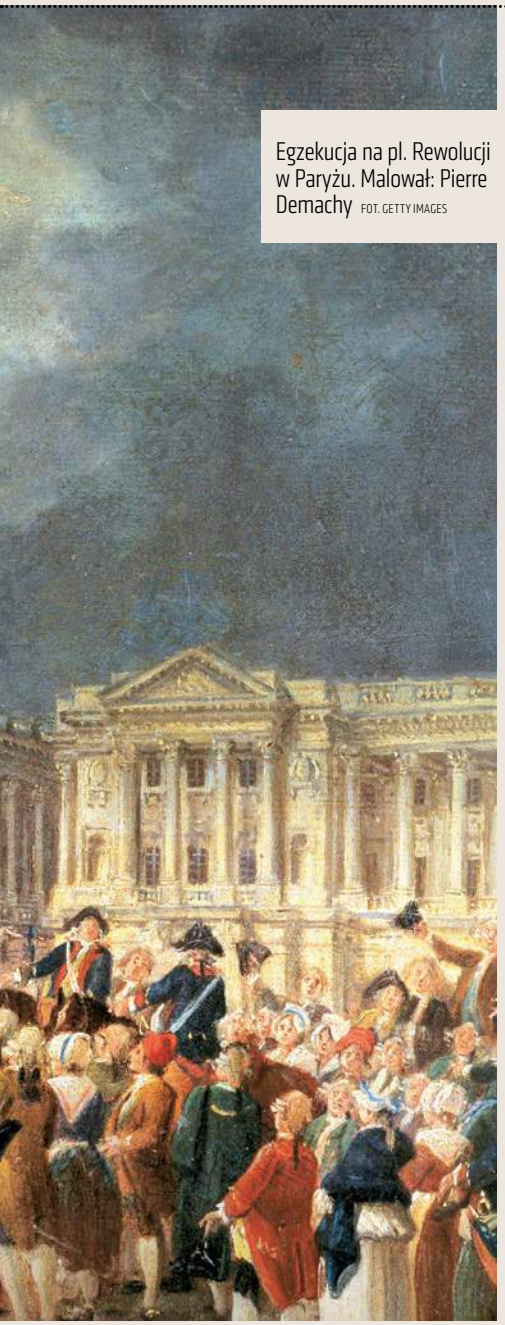

Egzekucja na pl. Rewolucji w Paryżu. Malował: Pierre Demachy FOT. GETTY IMAGES

Ludwik XVI zdecydował o zrównaniu Bastylii z ziemią i podpisał nawet stosowny dokument, który to sankcjonował. A jeżeli już mówimy o „więźniach politycznych" tamtego okresu, to dopiero w wyniku rewolucji francuskiej więzienia zapełniły się nimi do granic możliwości. Z braku miejsc zaczęto adaptować do celów więziennych zamki i pałace…

Co dziś wiedzą Francuzi na temat rewolucji?

Obawiam się, że generalnie moi rodacy nie rozumieją, co tak naprawdę działo się w czasie rewolucji. A już szczególnie dotyczy to naszych dziennikarzy i polityków. Lwia część tych środowisk ma na ten temat kompletnie wykrzywione wyobrażenie. Redukują oni bowiem rewolucję francuską do symbolu – narodzin demokracji, praw obywatelskich, równości etc. Nie rozumieją, jaka była prawdziwa cena zniszczenia starego porządku.

Jaka konkretnie była ta cena? Liczba ofiar rewolucji francuskiej to bardzo problematyczna kwestia i szacunki są tu niezwykle rozstrzelone. Historyk Réné Sédillot domniemywał przykładowo, że w ciągu całej rewolucji (w latach 1789–1799) zgilotynowano co najmniej 35 tys. ludzi. A to tylko jedna metoda uśmiercania…

Warto podkreślić, że pod ostrzem gilotyny w większości wcale nie ginęli szlachetnie urodzeni, tylko ludzie z niższych szczebli drabiny społecznej, uznani z różnych względów za wrogich rewolucji.

Niewykluczone, że całkowita liczba ofiar rewolucji to nawet milion istnień ludzkich. Tutaj potrzebujemy jeszcze dogłębnych badań. Według mnie rewolucja kosztowała naród francuski co najmniej 600 tys. istnień. Ćwierćwiecze 1789–1815 to w sumie 2 mln zabitych Francuzów... Zdecydowana większość z nich to ludzie bardzo młodzi. Była to więc w istocie antyfrancuska rewolucja i nie można co do tego mieć żadnych wątpliwości. Zawsze powtarzam, że system republikański nie lubi młodych ludzi. Szczególnie tych najmłodszych. Liczba, którą teraz przytoczę, tylko pozornie nie ma nic wspólnego z rewolucją francuską, ale w rzeczywistości jest to pokłosie wielkiej zmiany społecznej, która wówczas nastąpiła – legalizacja aborcji kosztowała do tej pory życie ok. 8 mln. najmłodszych Francuzów...

Jest pan współautorem „Czarnej księgi rewolucji francuskiej", która została wydana we Francji 11 lat temu. Niedawno ta monumentalna książka ukazała się również w Polsce. Czy udało się cokolwiek zmienić za sprawą tej publikacji?

Byłem bardzo zaskoczony, że tak głośno zrobiło się o niej we Francji. Generalnie mało osób czyta u nas poważne książki, pewnie ten sam problem macie w Polsce, więc dyskusja nad tak grubą książką (ponad 900 stron) mocno mnie zaskoczyła. Pracowało nad nią 42 specjalistów. Oczywiście lewicowi historycy i intelektualiści wpadli w furię, bo w ich mniemaniu nie można podważać „dziedzictwa" rewolucji. Dla nich było to święte wydarzenie w dziejach ludzkości.

Stopniowo jednak widać pewne zmiany w społeczeństwie, a przynajmniej w tej części, która interesuje się naszymi dziejami. Myślę, że rewolucja powoli przestaje być dla bardzo wielu z nich symbolem pozytywnych przemian. Mimo że wciąż Maximilian de Robespierre jest u nas patronem szkół i ulic, to jednak nie ma on już tak jednoznacznej pozycji w naszym społeczeństwie jak jeszcze kilka dekad temu. Ostatnio bardzo mnie ucieszyła wiadomość, że udało się zablokować budowę małego muzeum Robespierre'a w jednym z naszym miast.

Hasło rewolucji: „Wolność, równość, braterstwo lub śmierć" FOT. DOMENA PUBLICZNA

Na szczęście, bo to przecież pierwszy ideologiczny zbrodniarz ery nowożytnej, zwykły terrorysta. I tak go chyba zaczyna widzieć coraz więcej Francuzów.

Jak można w ogóle bronić Robespierre'a, zważywszy na jaką, którą odegrał ten człowiek w organizowaniu terroru?

Niestety, okazuje się, że nawet takiego zbrodniarza można bronić. W tej marksistowsko-lewackiej narracji obrońcy rewolucji przyznają oczywiście, że było wiele ofiar, ale jednocześnie przekonują, że w znacznej mierze nie byli to niewinni ludzie, lecz „elementy kontrrewolucyjne". To oczywiście kłamstwo, bo wówczas ludzi zabijano dlatego, że odważyli się myśleć inaczej, nawet nie trzeba było fizycznie występować przeciw przewrotowi. Zbrodnie rewolucji i Robespierre'a są dobrze udokumentowane. W 1793 r.

eprasa.pl 7519f1e932

Gilotyna, która ponurą sławę zdobyła podczas rewolucji, używana była we Francji do 1977 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

Konwent Narodowy jasno nakazał wymordowanie ludności Wandei!

Niewątpliwie zrobił pan wiele, żeby naruszyć mit rewolucji francuskiej. W 1986 r. wydał pan książkę „Ludobójstwo francusko-francuskie", która również ukazała się niedawno w Polsce. Jeżeli Wandeę uznać za arenę ludobójstwa w wykonaniu sił rewolucyjnych, to...

... okazuje się, że rewolucja była jedną wielką zbrodnią. A tak właśnie było. Przypomnę tylko, że w Wandei zginęło według moich obliczeń co najmniej 117 257 osób. Rewolucjoniści wymordowali więc 14 proc. ludzi żyjących w czasach starego porządku na ziemiach objętych powstaniem. Co szósty człowiek został zgładzony za sprzeciw wobec rewolucji! Jeżeli to nie jest ludobójstwo, to co nim jest?

Wciąż słyszy się jednak, że w Wandei doszło po prostu do wojny domowej. Jedni Francuzi rzucili się do gardeł innym Francuzom – coś, co zdarzało się w dziejach chyba wszystkich narodów...

Niestety, wielu naszych intelektualistów uważa, że zaprzeczanie temu ludobójstwu to niemal racja stanu. Chcą za wszelką cenę chronić wizerunek rewolucji. Przy okazji wielu francuskich historyków chroni też w ten sposób dorobek swojego własnego życia zawodowego. Jeżeli bowiem przyznaliby oni, że rewolucjoniści byli ludobójcami, to okazałoby się, że cała ich praca zawodowa przebiegała w cieniu ogromnego, zinstytucjonalizowanego kłamstwa. Dlatego wciąż słyszymy, że to nie było ludobójstwo, tylko „wojna domowa".

Kim były ofiary tych zbrodni? Wydawałoby się, że głównymi wrogami sił rewolucyjnych były szlachta i arystokracja.

Było zupełnie inaczej. W Wandei to głównie niższe warstwy ludności chwyciły za broń, bo przecież majętni szlachetnie urodzeni w znacznej mierze opuścili kraj ogarnięty pożogą i w efekcie nie tak wielu spośród nich wzięło udział w kontrrewolucji. To głównie prości ludzie bronili swojego prawa do życia według starych praw, w zgodzie z Bogiem. Powstania rojalistyczne wybuchały wtedy w bardzo wielu miejscach we Francji, ale trwały dosyć krótko i władze centralne szybko dławiły bunty. W Wandei było inaczej z uwagi na jeden kluczowy czynnik – było tam mało miast, w których – co zrozumiałe – przedstawiciele „nowego porządku" mieli przewagę. Prowincja należała do sił kontrrewolucyjnych i dlatego stosunkowo trudno było zdusić tu powstanie. Wcale nie chodziło o to, że akurat w tym zakątku Francji ludność była bardziej katolicka niż gdzie indziej. Wtedy jeszcze prawie cały kraj był wierny Bogu.

Francja – „najstarsza córa Kościoła". Jak to dzisiaj brzmi?

Niestety, brzmi to już jak anachronizm. Mój kraj pogrążony jest w laicyzmie. W zasadzie całe życie publiczne Francji jest dziś podporządkowane tej jednej doktrynie. Nasz model polityczny na tym się opiera i jest to chyba najgorsze dziedzictwo rewolucji. Ten przewrót zniszczył duszę mojego narodu. To, że dziś tak trudno mówić publicznie o wierze w Boga, jest spuścizną rewolucji. Równolegle modne jest mówienie o „równości" i wspaniałych owocach, jakie ma ze sobą nieść liberalna polityka imigracyjna. Jesteśmy światem bez Boga, w którym relatywizm stał się religią. Niestety, jesteśmy w tych sprawach bardzo daleko od Polski. Wy wciąż jesteście katolickim narodem. Ominęło was zło rewolucji, a nawet komuniści was nie złamali. To naprawdę niezwykłe.

Najkrócej to opisując, rewolucja przyniosła zupełnie nową cywilizację. Przed tym tragicznym wydarzeniem Francja była częścią chrześcijańskiego universum. Po rewolucji ta wspaniała cywilizacja upadła, pojawił się człowiek bez Boga. Pojawił się świat, w którym to człowiek miał stanąć w centrum. Ten przewrót w hierarchii wartości miał potem swoje tragiczne konsekwencje w XX w.

„CZARNA KSIĘGA REWOLUCJI FRANCUSKIEJ"
DĘBOGÓRA

Uważa pan, że bez rewolucji francuskiej nie byłoby dwóch najstraszniejszych totalitaryzmów?

Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Nawet marksistowscy historycy muszą przyznać, że widać wyraźne związki między rewolucją francuską a leninowską. Inna sprawa, że chyba żaden rozsądny człowiek nie zaneguje również tego, iż komunizm i nazizm mają wspólny korzeń.

Wrzucanie nazizmu i komunizmu do jednego worka to dla lewicowej inteligencji herezja. „Hitler i Stalin byli przecież śmiertelnymi wrogami".

Oczywiście, że marksistowscy intelektualiści będą z tym walczyć, ale takie są fakty. Nazizm to przecież lewicowa ideologia.

Nie zapominajmy jednak, że cechował ją m.in. skrajny nacjonalizm, który zwykle charakteryzuje prawicowe ruchy polityczne.

A Stalin? Czy Stalin nie był zagorzałym nacjonalistą? Oczywiście, że był. W przypadku wszystkich tych ruchów klamrą spinającą jest terror, który przecież po raz pierwszy w historii został zaprowadzony w czasie rewolucji francuskiej po 1792 r. Dlatego historycy broniący „czystości" rewolucji stoją w takich dyskusjach na straconym polu. Lenin przecież otwarcie podziwiał Robespierre'a. Przypomnimy tu słynne słowa Lenina, które przywódca bolszewików wypowiedział jeszcze w 1917 r.: „Musimy eksterminować Kozaków. To nasza Wandea".

Jeżeli Lenin był fanem Robespierre'a, to ewidentnie uczeń przerósł tu swojego mistrza.

Leninowi udało się bowiem doprowadzić terror do poziomu przemysłowego, o którym Robespierre nie mógł marzyć.

Pod koniec XVIII w. trudno było zabijać na naprawdę masową skalę?

Oczywiście, terror z czasów rewolucji francuskiej jest przedindustrialny. Nasi

eprasa.pl 7519f1e932

rewolucjoniści byli prekursorami i musieli sobie poradzić z pytaniem, którego nikt wcześniej nie zadawał. Żaden król Francji, nawet najbardziej okrutny, nie miał takich pomysłów! Jeżeli państwo zdecydowało, by zgładzić wszystkich, którzy nie myślą tak, jak chcą rewolucjoniści, to jak to zrobić?

Ścinali więc im głowy, nie tylko gilotynami, lecz także mieczami, a nawet nożami. Topili ich, rozstrzeliwali, głodzili. Robili to na tyle masowo, na ile pozwalały ówczesne środki. Jestem przekonany, że gdyby francuscy rewolucjoniści mieli do dyspozycji takie metody jak ich naśladowcy w pierwszej połowie XX w., to liczba zamordowanych w imię rewolucji byłaby znacznie wyższa. Ci mordercy szukali nawet odpowiednich trucizn, ale gazowanie ludzi udoskonalili dopiero ich następcy.

A czy „deportacje pionowe" nie były przypadkiem „przedindustrialnym" sposobem mordowania?

Ma pan rację, ten rodzaj masowego zadawania śmierci był do pewnego stopnia zabijaniem „taśmowym". Jako jednego z głównych winowajców tych mordów można wskazać Jeana-Baptiste'a Carriera, komisarza z Nantes. „Deportacje pionowe" oznaczały po prostu topienie ludzi w rzekach. Ofiary ładowano do specjalnie przygotowanych barek, w których burtach znajdowały się klapy. Po rozbiciu ich młotami na środku rzeki wszyscy momentalnie znikali pod powierzchnią. Ktokolwiek był wystarczająco silny, by wypłynąć, i tak nie miał żadnych szans na ratunek. Po powierzchni krążyli bowiem w łódkach kaci z szablami w rękach... Warto odnotować tu stosunek władz rewolucyjnych do tej metody zabijania. Carrier nazywał te zbrodnie „pionową deportacją w narodowej wannie" lub „patriotycznym chrztem".

Relacje z egzekucji nie pozostawiają wątpliwości, że chodziło też o zwykłe upodlenie ofiar.

W ten sposób utopiono tysiące osób. Ginęli oni w parach. Kaci rozbierali ich do naga, a następnie wiązali ze sobą kompletnie nieznające się osoby. Nawiasem mówiąc, tak jak wielu innych rewolucjonistów, również Carrier trafił w końcu pod ostrze gilotyny.

Kto był ideowym ojcem rewolucji francuskiej? Bardzo często wymienia się tu Voltaire'a.

Voltaire niewątpliwie zasiał ziarno rewolucji, ale myślę, że za intelektualnego ojca tej rewolucji możemy uznawać Rousseau, który postulował działanie oparte na zasadzie: „Jeżeli ludzie źle myślą, to musisz zmienić ludzi"...

Chyba nie twierdzi pan równocześnie, że system przedrewolucyjny był sprawiedliwy i do utrzymania?

Ancien régime był bardzo daleki od ideału. To było widać gołym okiem i coś się musiało zmienić. Nawet król dostrzegał nieuchronność zmian. Myślę, że z czasem poszlibyśmy w kierunku angielskim, czyli stopniowej ewolucji systemu. Niestety, duża część arystokracji absolutnie nie chciała żadnych zmian. Zmiana była więc blokowana od środka. Narastające wrzenie społeczne wykorzystali ludzie zaślepieni nieludzką ideologią i poprowadzili lud do tragedii.

Aresztowanie Robespierre'a. Obraz Jeana Tassaerta

FOT. WIKIPEDIA

To nie lud przeprowadził rewolucję?

Nie. Stała za tym grupka gotowych na wszystko rewolucjonistów. Tak samo jak w Rosji w 1917 r., tak jak w Niemczech po I wojnie światowej.

Pamiętajmy jednak, że przemiany roku 1789 witali z radością nie tylko ludzie oślepieni ideologią...

To prawda. Przykładowo tak właśnie zareagował lud Wandei, głównie za sprawą zmian w prawie podatkowym. To się jednak szybko odwróciło. Nowe władze zaczęły nakładać narodowi kaganiec, równocześnie podnosząc podatki. Chłopstwo przywiązane do duchowieństwa bardzo źle reagowało na podporządkowywanie sobie Kościoła przez państwo. Konstytucja cywilna kleru była dla katolików nie do przyjęcia. Ścięcie Ludwika XVI w styczniu 1793 r. rozpoczęło na dobre epokę terroru, a pobór do republikańskiego wojska był już tylko iskrą rzuconą na proch.

Ludność Wandei, a także sąsiednich departamentów, zerwała się do walki o wolność od rewolucyjnego ucisku. Jak już jednak wspomniałem, to nie był wyjątek. W tamtym okresie ok. 60 proc. terytorium Francji objęte było ruchem kontrrewolucyjnym.

Co sprawiło więc, że „nowy porządek" ostatecznie zdławił kontrrewolucję?

Terror. Francuscy rewolucjoniści nie znali żadnych granic w sianiu terroru, co później powtórzyli bolszewicy. To było niepojęte dla drugiej strony, która nie potrafiła w ten sposób działać. Terror okazał się niestety skutecznym narzędziem podboju Francji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. Reynald Secher
– jest francuskim historykiem, współautorem „Czarnej księgi rewolucji francuskiej".

eprasa.pl 7519f1e932

Księżniczka de Lamballe zamordowana przez rozszalałych rewolucjonistów w Paryżu w 1792 r.

MAL. LEON MAXIME FAIVRE; FOT. WIKIPEDIA

1792, 1793, 1794 / Dni hańby

Rewolucyjny danse macabre

Maciej Rosalak

Bestialskie samosądy, profanacje grobów, mordy duchownych katolickich – oto taniec śmierci urządzany przez motłoch i jego „oświeconych" przywódców

Od zdobycia paryskiej Bastylii mija właśnie 230 lat. Datę 14 lipca 1789 r. uznaje się za początek politycznego i społecznego przewrotu, nazywanego przez jego spadkobierców Wielką Rewolucją Francuską. Ów przewrót rychło przyjął – wbrew pięknym hasłom o „wolności, równości i braterstwie" – monstrualne formy ślepego terroru, prześladowań niewinnych ludzi, krwawych samosądów ulicznego motłochu, podeptania wiary i Kościoła rzymskokatolickiego oraz niszczenia zabytków wspaniałej kultury francuskiej.

Co do zdobycia Bastylii – zamienionego w więzienie średniowiecznego barbakanu – to nadmieńmy, że bez przekonania broniło jej 97 wysłużonych żołnierzy, głównie inwalidów, oraz 32 szwajcarskich najemników. Tłum, który wcześniej zrabował tysiące karabinów z arsenału, „uwolnił" wtedy z pomocą wiarołomnych żołnierzy następujące „ofiary okrutnej monarchii": czterech fałszerzy pieniędzy, hrabiego oskarżonego o kazirodztwo i dwóch furiatów. Żeby wśród nich był choćby markiz de Sade – ale nie; w przededniu przeniesiono go do innego więzienia.

Cała ta szopka, którą stało się wyolbrzymianie zajęcia Bastylii do rozmiarów wiekopomnego czynu heroicznego, przypomina tzw. szturm piotrogrodzkiego Pałacu Zimowego na początku listopada 1917 r. (według kalendarza gregoriańskiego), który sprowadzał się do wejścia czerwonych matrosów przez okno i niezaryglowane drzwi do budynku, z którego wcześniej uciekła junkierska załoga.

eprasa.pl 7519f1e932

Nijak to się ma do monumentalnej sceny z filmu „Październik" Eisensteina, mającej uzasadniać nazwanie bolszewickiego zamachu stanu „Wielką Socjalistyczną Rewolucją Październikową" (według kalendarza juliańskiego).

Terror bolszewicki, który wkrótce ogarnął Rosję, przerósł oczywiście swój francuski – nawet jakobiński – wzorzec i jest znacznie bardziej znany. Chociaż dość często przypomina się ścięcie króla Ludwika XVI (21 stycznia 1793 r.) i królowej Marii Antoniny (trzy kwartały później), jak również rzezie podczas powstania w Wandei (od 1793 aż do 1796 r.), to warto przypomnieć choćby jeszcze trzy epizody z trzech najbardziej krwawych lat rewolucyjnej Francji. Będą to: masakry wrześniowe, zbezczeszczenie opactwa w Saint-Denis oraz egzekucje osób konsekrowanych, które nie chciały złamać rzymskokatolickiej przysięgi. Prawdziwy taniec śmierci – po francusku: danse macabre.

Wrzesień '92

Rewolucja ma to do siebie, że jeśli władza okazuje skłonność do ustępstw, to jej przeciwnicy traktują to jako słabość, a ten, kto głośniej krzyczy, zyskuje poparcie motłochu. W efekcie motłoch, z najbardziej skrajnymi przywódcami na czele, staje się siłą sprawczą. Zaczyna rządzić ulica. Tak – w największym skrócie – działo się we Francji od lata 1789 do połowy 1792 r. Wtedy już nie tylko król, lecz także Zgromadzenie Prawodawcze (zwane Legislatywą) przestało kontrolować sytuację. Głód, dezorganizacja życia i interwencja obcych monarchii – Austrii i Sardynii, a następnie Prus, cały czas ze wsparciem Anglii – spowodowały zamieszki, które do władzy wyniosły nie tylko nowy rząd z Georges'em Dantonem na czele, lecz także powszechne wybory do nowego ciała ustawodawczego – Konwentu Narodowego. Tymczasem Paryżem rządziła zdominowana przez sankiulotów Komuna miasta. Panowała anarchia…

10 sierpnia 1792 r. tłum wdarł się do pałacu Tuileries. Króla z rodziną zamknięto w Temple – dawnej twierdzy templariuszy, po likwidacji zakonu jednej z siedzib królewskich, podczas rewolucji zamienionej na więzienie. Uderzające jest, jak szybko za panowania „przedstawicieli ludu", niosących podobno całemu narodowi „wolność, równość i braterstwo", zaczęło brakować miejsca w więzieniach. Dotychczasowe, zupełnie wystarczające za czasów monarchicznego „ucisku", już nie mieściły oskarżonych o wrogie knowania. Dlatego przekształcano w więzienia zamki arystokratów oraz klasztory, z których wygnano – bądź od razu w nich osadzono – zakonników.

Tymczasem od lata wojska francuskie – w dużej mierze ochotnicze, zwane przez najeźdźców pogardliwie „armią filiżanek" (tak były kruche) – ponosiły porażki na froncie. Nie tylko klęska zadana 2 września 1792 r. przez Prusaków pod Verdun i zajęcie przez nich tej twierdzy przepełniły czarę goryczy w zrewoltowanej Francji. Oto dowództwo zwycięskiej armii z właściwą Prusakom butą oznajmiło, że po zajęciu Paryża ukróci anarchię, przywróci władzę absolutną króla, a winni rewolty poniosą surową karę. Wśród ludności odżyły podejrzenia o istnienie antyrewolucyjnego spisku zawiązanego przez króla, arystokratów, zawodowych wojskowych i tzw. niekonstytucyjnych duchownych, którzy nie chcieli zerwać z Kościołem rzymskokatolickim. Tłum dyszał zemstą. Dokonał jej na najsłabszych – głównie uwięzionych duchownych i arystokratach, w tym na kobietach.

Hasło do dokonywania samosądów rzucił Jean-Paul Marat – członek najbardziej radykalnego klubu kordelierów (od „la corde" – sznur), zwanych też jakobinami. Ciekawa postać. Wzięty lekarz, który dorobił się majątku na leczeniu arystokratów, za rewolucji wydawał gazetę „Przyjaciel Ludu" wzywającą do ich egzekucji. Samosądy rozpoczęły się 2 września i trwały do 7 września w Paryżu i w innych miastach francuskich. Dokonywał ich motłoch, nad którym nikt nie chciał – a choćby chciał, to nie mógł – zapanować.

Osobnicy zbrojni w siekiery, pałki, noże, widły i inny sprzęt, którym można było zadawać rany i śmierć, wdzierali się do więzień i wywlekali stamtąd na ogół Bogu ducha winnych ludzi. Plując na nich i policzkując, kopiąc leżących, rwąc ich ubrania, przy wrzasku wyzwisk i obelg, czasem imitujących przewód sądowy, wymierzali karę. Znali tylko jedną – śmierć. A zadawali ją, tłukąc, kłując, siekąc nieszczęśników, czym popadnie. W takich katuszach ciała, duszy i umysłu życie straciło blisko 1,5 tys. ludzi, w tym ok. 300 kapłanów i zakonników.

Pierwszym mordem zbiorowym było 2 września pozbawienie życia księży niekonstytucyjnych przewożonych po przesłuchaniu do zamienionego w więzienie opactwa Saint-Germain-des-Prés. Następnie tłum towarzyszący konwojowi wtargnął do refektarza opactwa. Zamordowano 83 osoby. Tego samego dnia po południu komisarz Violette wydawał wyroki w klasztorze Karmelitów przy Rue de Vaugirard, a następnie… oddawał sądzonych w ręce dyszącego mordem motłochu. Zginęło wtedy 114 osób, a wśród nich trzech biskupów, ich sekretarze, siedmiu wikariuszy generalnych, archidiakoni, proboszczowie, wikariusze, diakoni i zakonnicy: sulpicjanie, eudyści, benedyktyni, jezuici... Część zwłok wrzucono do studni klasztornej. Mordów dokonywano następnie w więzieniu La Force, seminarium św. Firmina i w kościele Saint Nicolas du Chardonnet…

Szczególnie porusza tragedia pięknej i szlachetnej kobiety – księżnej de Lamballe (wywodzącej się z dynastii sabaudzkiej Marii Luizy di Savoia). Była przyjaciółką królowej Marii Antoniny i główną ochmistrzynią jej dworu. Księżnej udało się opuścić Paryż i znaleźć schronienie na emigracji, jednak na wiadomość o izolowaniu rodziny królewskiej w pałacu Tuileries – i na specjalną, dość egoistyczną prośbę królowej – powróciła do swej koronowanej przyjaciółki, starając się uprzyjemnić jej życie. Przez pewien czas towarzyszyła jej jeszcze w Temple, ale gdy całe otoczenie królewskiej pary usunięto stamtąd, trafiła do więzienia La Force. Gdy 3 września 1792 r. w tymże więzieniu stanęła przed trybunałem, odmówiła składania zeznań przeciw monarchom: „Nie mam nic do powiedzenia, to, czy umrę wcześniej czy później, mnie nie interesuje. Jestem gotowa poświęcić swoje życie". Odesłano ją wprawdzie do więzienia Abbaye, ale gdy tylko znalazła się na progu La Force, uderzenie młotem

eprasa.pl 7519f1e932

w głowę rzuciło ją na ziemię. Oszalały tłum rozszarpał delikatną kobietę na miejscu. „Obywatele" odcięli jej głowę, zatknęli ją na pice i zanieśli pod Temple, aby pokazać królowej.

Początek trzeciej dekady września 1792 r. przyniósł wydarzenia, które nie mniej wstrząsnęły Europą niż masakry z pierwszych dni tego miesiąca. Oto 20 września zawodowy wojskowy – gen. Charles Dumouriez – pokonał cierpiących na dezynterię Prusaków pod Valmy i Berlin wycofał swe wojska. 21 września zainaugurował obrady Konwent Narodowy, a następnego dnia ogłosił Francję republiką.

Groby '93

22 września 1792 r. – a więc w dniu zamiany Królestwa Francji (zresztą od roku już nie monarchii absolutnej, ale konstytucyjnej) na Republikę Francuską – wspaniała bazylika i opactwo Saint-Denis stały się własnością tego państwa. Nie ukróciło ono rabowania i niszczenia świątyni, trwających już od kilkunastu dni wraz z masakrami wrześniowymi, a przeciwnie – doprowadziło w następnym roku do nieznajdującego precedensu barbarzyństwa w postaci zniszczenia grobów królewskich i sprofanowania zwłok.

Bazylikę Saint-Denis (św. Dionizego) w położonej tuż pod Paryżem miejscowości o tej nazwie uznaje się za pierwszą w Europie gotycką świątynię, z jej lekkością, ze światłem i strzelistą architekturą. Ma trzy nawy podłużne i jedną poprzeczną (transept). Środkową – szerszą i wyższą od bocznych – oświetlają umieszczone wysoko okna. To tu po raz pierwszy zastosowano ostre łuki i system zewnętrznych przypór, na które przenosi się z filarów ciężar sklepienia. Budowę, według wizji sędziwego benedyktyńskiego opata Sugera, rozpoczęto w 1136 r., a zakończono pod koniec następnego wieku.

Złożono w niej nie tylko królewskie regalia, lecz także – upamiętnione arcydziełami sztuki nagrobnej – zwłoki niemal wszystkich królów francuskich od czasów Merowingów i Karolingów, a następnie Kapetyngów, Walezjuszów i Burbonów. Tutaj spoczęli m.in. Hugo Kapet, Filip II August, Ludwik IX Święty, Henryk II Walezjusz i były król polski Henryk III Walezy, Henryk IV Burbon i kolejni Ludwikowie z tej dynastii – XIII, XIV, XV, XVI (jego i jego żony zwłoki odnaleziono oraz złożono tu za czasów restauracji Burbonów w 1815 r.), XVIII (pogrzeb w 1824 r.). Wśród królowych, obok Anny Austriaczki, złożono też Marię Leszczyńską.

Pastwą barbarzyńców padły we wrześniu 1792 r. m.in. królewskie rzeźby nagrobne, symbole monarchii, kalwaryjskie krzyże wyznaczające trasę orszaku żałobnego podczas pogrzebów monarchów, dzwony. Natomiast następnego, 1793 r., z rozkazu Konwentu Narodowego od 12 do 25 października bezczeszczono zwłoki zmarłych, jakby chciano zohydzić i wydrzeć z dziejów ponad tysiąc lat Królestwa Francji. W niezwykle sugestywnym opisie Jean Raspail tak przedstawia początek profanacji królewskich grobów przez motłoch:

„Wśród zachęcających okrzyków podnieconego tłumu rozpoczęto w pobliżu bazyliki kopanie dwóch kwadratowych dołów. Pierwszy przeznaczony był na kości Burbonów, drugi zaś na szczątki Walezjuszy i Kapetyngów […]. Potem taranem wyważono drzwi krypty, w której na kilku różnych poziomach rzędami leżały trumny królów. Pierwszym „tyranem" wyrwanym z wiecznego spoczynku był dobry król Henryk IV. Kiedy odbito wieko trumny, jego ciało zdało się niemal nietknięte. W rozrzedzonym powietrzu krypty rozszedł się silny, aromatyczny zapach. Pięknie pachniał ten król. Czego nie można powiedzieć o pozostałych. Jego twarz zachowała się niemal w idealnym stanie – broda śnieżnobiała, rysy niezmienione. Trupa wywleczono z trumny i postawiono – niczym manekina – opierając go o kolumnę. Otaczający tłum z wrażenia wstrzymał oddech. Czy upadnie na kolana na znak należnego władcy szacunku? Ale prawo tłumu nie zna wyjątków – ton nadaje zawsze najpodlejszy z podłych. Przepchnąwszy się do pierwszego rzędu, jakiś zuchwały żołdak wyciągnął z pochwy szablę i odciął pukiel królewskiej brody, po czym – przy wtórze śmiechów i oklasków – uczynił z niej sobie sztuczne wąsy. Po nim do króla zbliżyła się jakaś megiera, która z całej siły spoliczkowała władcę i ciało upadło na ziemię. Po kilku godzinach obelg i poniewierki, doprowadzone do niewyobrażalnego stanu zwłoki króla bez ceremonii wrzucono – jako pierwsze – do przeznaczonego dla Burbonów dołu".

Jacques-Louis David „Śmierć Marata". Jeden z liderów rewolucji został zasztyletowany przez Charlotte Corday

FOT. WIKIPEDIA

W kolejnych odsłonach Raspail przedstawia dość drobiazgowo, jakby w oskarżycielskiej mowie, te dwa tygodnie hańby z 1793 r., cofając się aż do I tysiąclecia. A oto, co spotkało szczątki Ludwików z dynastii Burbonów – zamykających wprawdzie poczet królów Francji, ale których truchła pierwsze dostały się w ręce tłuszczy:

„Ludwik XIII trafił [do dołu] niepoczęstowany nawet obelgą – za bardzo cuchnął. Za to z Ludwikiem XIV lud miał swoje porachunki. Jego ciało zostało rozprute nożem – z brzucha wydostały się pakuły, którymi zastąpiono wnętrzności. Potem oprawca, tym samym nożem, siłą otworzył królowi usta, rozwierając zaciśnięte od siedemdziesięciu lat szczęki. Wyrwawszy stamtąd spróchniały pieniek zęba, ukazał go tłumowi niczym trofeum. Tym razem obojętny na wydostający się z królewskich ust smród, lud zawył z rozkoszy. Do dołu wrzucono też królową Marię Teresę – małżonkę Ludwika XIV i córkę Filipa IV Hiszpańskiego. Wpadła tam z głową wykręconą do tyłu i z rozrzuconymi, uniesionymi ku górze nogami – ona, tak cnotliwa za życia – co tłum powitał wulgarnym rechotem. Nie lepiej potraktowano Marię Medycejską…".

Opis profanacji szczątków znienawidzonego Ludwika XV autor kończy znamiennym przypomnieniem:

„Było to dnia 16 października 1793 roku, dokładnie w godzinie, w której na rozklekotanym wózku wieziono na szafot Marię Antoninę, stojącą tyłem do konia, z rękami związanymi na plecach i włosami luźno opadającymi na kark…".

Na podstawie: Jean Raspail: „Sire" (tłum. Marian Miszalski)

eprasa.pl 7519f1e932

oraz „Król zza morza” (tłum. Beata Biały), Klub Książki Katolickiej, Dębogóra, 2006 i 2008.

Odium fidei

Znany nam skądinąd okrzyk: „Konstytucja! Konstytucja!” w 1794 r. oznaczał we Francji: „Gilotyna! Gilotyna!”.

Zanim jeszcze rewolucyjni prawodawcy opracowali ustawę zasadniczą dla całego państwa, już 12 lipca 1790 r. przegłosowali jako najpilniejszą konstytucję cywilną kleru. Zredukowano liczbę parafii i diecezji, zabrano ziemskie posiadłości klasztorne oraz kościelne, rozwiązano liczne zakony, a biskupi i proboszczowie stali się opłacanymi przez państwo urzędnikami. Właśnie państwo, a nie Stolica Apostolska, miało być zwierzchnikiem Kościoła we Francji, duchowni mieli zaś składać przysięgę wierności wobec państwowych ustaleń.

Owe poddańcze wobec cywilnej władzy ceremonie urządzano z początkiem 1791 r., ale większość biskupów (80) i połowa proboszczów odmówiła przysięgi na – potępiony przez papieża Piusa VI – akt prawny. Formalnie ich odwołano, a ich miejsce zajęło 20 tys. osób wybranych spośród parafian. W wielu regionach, zwłaszcza w Bretanii, Alzacji i Prowansji, słudzy prawdziwego Kościoła rzymskokatolickiego działali jednak nadal, co wzbudzało niebywałą wściekłość władzy. I właśnie przeciw nim zostało skierowane ostrze gilotyny…

Oto 17 lipca zgilotynowano w Paryżu 16 karmelitanek z Compiègne. Od dwóch lat, żyły w cywilnych ubraniach w nieodległych od siebie czterech wspólnotach, przestrzegając w miarę możliwości klauzurę zakonną. Nikomu nie przeszkadzały. Jednak 22 czerwca 1794 r. prokurator kazał je aresztować, jakby popełniły jakąś straszną zbrodnię. 12 lipca trafiły do paryskiego więzienia Conciergerie, tam skazano je na śmierć. Szły pod gilotynę, śpiewając „Salve Regina”. Podtrzymywała je na duchu matka przełożona – bł. Teresa od św. Augustyna (Maria Magdalena Lidoine) – którą na jej prośbę ścięto na końcu.

Odium fidei – nienawiść do wiary – była także przyczyną mordowania od 20 stycznia do 17 października 1794 r. kapłanów, zakonników i wiernych w miejscowości Laval w Kraju Loary. Straciło tam życie 19 osób. Podobnie było w La Rochelle, gdzie męczeńską śmierć poniósł m.in. ks. Jan Chrzciciel Souzy. Od 19 czerwca do 5 sierpnia w prowansalskim Orange działał nadzwyczajny trybunał rewolucyjny, który skazał na śmierć aż 332 osoby konsekrowane. Wśród nich były 32 mniszki z różnych represjonowanych zakonów, które osiadły we wspólnym domu w Bollène, gdzie żyły w ubóstwie, poświęcając swój czas modlitwie. Więzione kilka tygodni w Orange przygotowywały się do egzekucji, odmawiając wspólnie modlitwy za konających. Ścinano je od 6 do 26 lipca. Przed egzekucjami śpiewały „Te Deum”.

Pogodnie i z odwagą wchodziły na szafot zakonnice w Valenciennes. Osiem urszulanek, klaryska i dwie brygidki ze skasowanych klasztorów znalazły schronienie i możliwość praktyk religijnych w belgijskim Mons, zajętym przez wojska austriackie. Po odbiciu miasta przez siły republikańskie zostały na początku września 1794 r. aresztowane i postawione przed trybunałem, który pod hasłem „wolności, równości i braterstwa” skazał je na śmierć. Przed egzekucją wybaczyły swoim katom…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

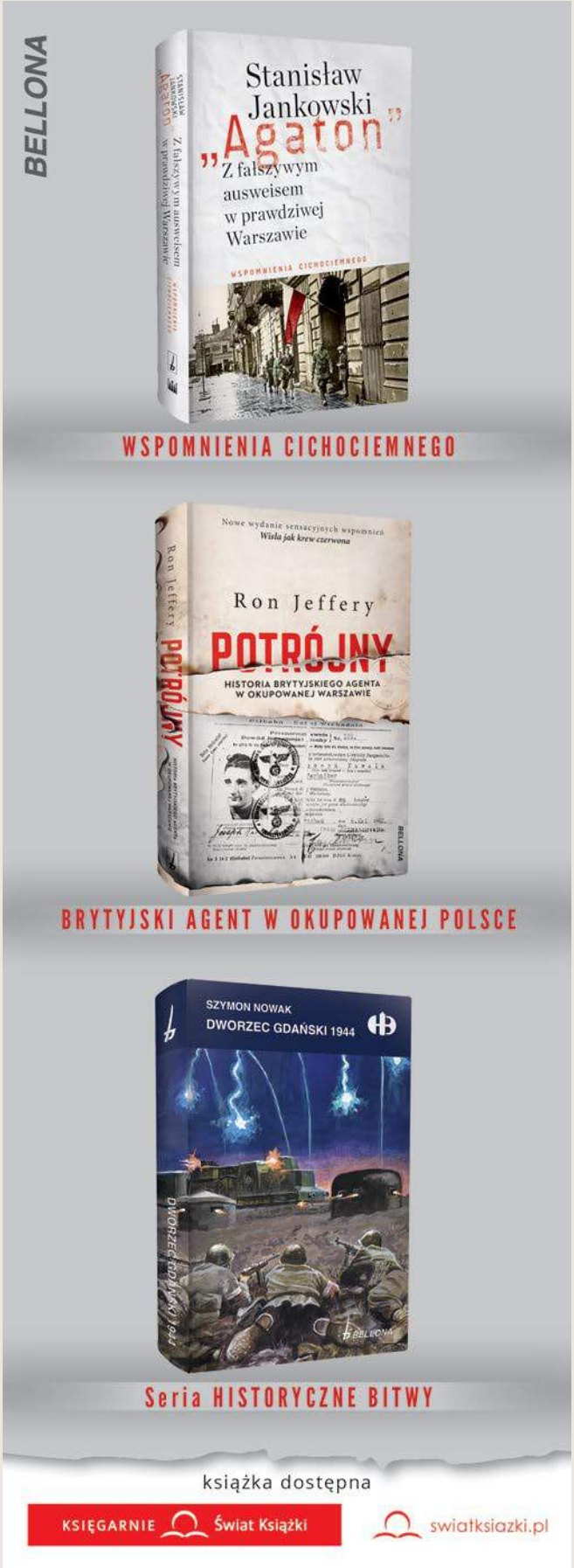

eprasa.pl 7519f1e932

Piotr Semka

Ludwik XVI został ścięty na gilotynie. Do końca bronił monarchii i religii katolickiej

Dwieście dwadzieścia sześć lat po zgilotynowaniu na rozkaz rewolucjonistów francuskich Ludwik XVI ma we Francji wielu wyznawców, którzy składają wnioski o beatyfikację władcy. Czy król Francji był jedną z pierwszych ofiar ideologów obiecujących powszechne szczęście w świecie bez Boga? Republikanie wolą przedstawiać go jako groteskowego epigona monarchii słusznie zmiażdżonego przez koło historii. A jednak jego wystąpienie w obronie prawdziwej wiary i jego późniejszy proces pokazowy przywodzą na myśl skojarzenia z epoką komunizmu.

Większość życia Ludwika XVI, który wstąpił na tron w 1774 r., upłynęła pod rządami nieróżniącymi się specjalnie od jego poprzedników na tronie królestwa Francji. Ludwika być może wyróżniała tylko niechęć do osobistego brania udziału w bitwach. Powszechnie znany był jako człowiek o stosunkowo słabej woli, przywykły do luksusów, błahostek i przyjemności. Wiadomo, że władca uczestniczył w rytuałach masońskich, nie postrzegając ich jako coś więcej niż jeszcze jedna atrakcja towarzyska. Sytuacja Ludwika zmieniła się gwałtownie po wybuchu rewolucji francuskiej i szturmie na Bastylię.

Mało kto jednak pamięta, że przez trzy lata monarchia współistniała z parlamentem i rewolucją. Potwierdzała ten swoisty hybrydalny stan pierwsza konstytucja rewolucyjnej Francji, uchwalona 3 września 1791 r. Ludwik XVI podpisał akt konstytucji 13 września 1791 r., akceptując jednocześnie preambułę do tej ustawy zasadniczej, którą była Deklaracja praw człowieka i obywatela. Świadczy to o tym, że król nie był obsesyjnym przeciwnikiem monarchii, tylko wierzył, że z czasem rewolucyjny zapał ostygnie i da się włączyć reformy społeczne w ramy monarchii konstytucyjnej.

1792–1793 / Uwięzienie, proces i ścięcie

Śmierć króla

eprasa.pl 7519f1e932

Egzekucja Ludwika XVI. Poniżej: jego korona FOT. WIKIPEDIA

W jednej tylko kwestii – dotyczącej jego sumienia – król długo nie chciał ustąpić. Chodziło o uchwaloną w 1790 r. Konstytucję cywilną kleru, która podporządkowała księży państwu i faktycznie wprowadzała schizmę Kościoła we Francji, oddzielającą go od Stolicy Apostolskiej. Na króla wywierano wiele nacisków, niekiedy włączając w to duchownych, którzy sprzeniewierzyli się swojemu powołaniu, i wreszcie 26 grudnia 1790 r. Ludwik skapitulował i podpisał dokument. Cztery miesiące miesiące później – 10 marca 1791 r. – papież Pius VI wydał pismo potępiające Konstytucję cywilną kleru.

Jak pisze historyk Grzegorz Kucharczyk: „Wiele świadczy o tym, że pogwałcenie przez rewolucjonistów królewskiego sumienia było tym, co ostatecznie skłoniło Ludwika XVI do podjęcia wraz z całą rodziną 21 czerwca 1791 próby ucieczki z Paryża. W manifeście pozostawionym w Tuileries król wyznał swoim poddanym, że nie mógł pogodzić się ze zmuszaniem go do czynienia zamachów na Kościół i religię katolicką. Króla prześladował pech, został rozpoznany w jednej z karczm przed granicą i siłą sprowadzono go z powrotem do stolicy Francji. We wrześniu 1792 r. kolejna rewolucyjna fala zlikwidowała monarchię. Szybko do głosu doszli radykałowie, którzy wskazywali, że republika musi w sposób symboliczny zakończyć monarchię poprzez osądzenie i skazanie władcy. Pod wpływem tych opinii 3 grudnia 1792 r. konwent ogłosił, że Ludwik XVI będzie sądzony za „zbrodnie przeciwko narodowi". Król Francji, jego żona Maria Antonina i maleńki synek Ludwik zostali osadzeni w twierdzy Temple w Paryżu.

W duchu Kafki

26 grudnia 1792 r. rozpoczął się proces, w którym Republika Francuska oskarżała swego byłego władcę Francji o spiskowanie z sąsiednimi mocarstwami na rzecz zmiażdżenia nowego państwa. Ton nastrojom w konwencie nadawał wówczas jeden z przywódców jakobinów – Louis de Saint-Just. W czasie jednego z posiedzeń konwentu mówił: „Ten człowiek musi królować lub umrzeć. Nie można królować niewinnie, oszustwo tego jest nazbyt wyraźne. To jest barbarzyńca. Traktujmy go jak obcego jeńca wojennego".

Procesy króla, które odbywały się w budynku konwentu, pod pewnymi względami były zapowiedzią późniejszych seansów hańby, jakie urządzano podczas sądów nad wrogami ludu w czasie chińskiej rewolucji kulturalnej. Wpuszczany na rozprawy „lud", czyli bojówki sankiulockie, zachęcał przybyłych z ciekawości zwykłych paryżan do zbiorowego demonstrowania nienawiści wobec byłego władcy. Przywódcy radykałów zadbali też, by „przedstawiciele ludu" obserwowali posiedzenie konwentu, na którym głosowano nad karą śmierci dla Ludwika. Od godz. 20 w dniu 16 stycznia 1793 r. do godz. 20 w dniu 17 stycznia trwała procedura głosowa-

eprasa.pl 7519f1e932

nia nad rodzajem kary. Wtedy to jednym głosem zadecydowano o zgilotynowaniu władcy. Potem legenda będzie głosić, że tym przesądzającym głosem była opinia Filipa księcia Orleanu, który z racji oskarżeń o rodzinne koneksje z Ludwikiem chciał wykazać się wyjątkową pryncypialnością.

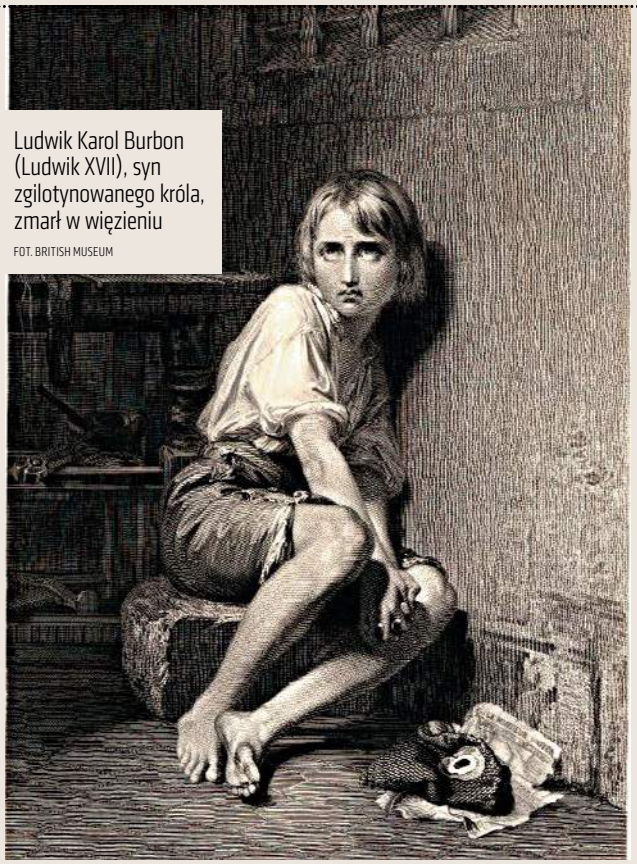

Ludwik Karol Burbon (Ludwik XVII), syn zgilotynowanego króla, zmarł w więzieniu

FOT. BRITISH MUSEUM

Ku świętości

Ludwik XVI przyjął wyrok spokojnie. Jedyna zwłoka, o którą poprosił, wynikała z problemu znalezienia mu kapłana, który przyjmie od niego spowiedź i da mu rozgrzeszenie w obliczu śmierci. Ludwikowi próbowano przysłać jednego z tzw. księży zaprzysiężonych, czyli tych kapłanów, którzy podpisali Cywilną konstytucję kleru. Król uważał jednak takich księży za zdrajców i uparł się, że kapłan, który przyjmie jego odejście z tego świata, musi być niezaprzysiężony. W końcu znaleziono odpowiedniego kapłana – ks. Edgewortha de Firmonta – który pochodził z Irlandii i był synem protestanckiego pastora, a mimo to dotarł do wiary katolickiej i został potajemnie wyświęcony.

To on 20 stycznia 1793 r. wyspowiadał Ludwika w celi więziennej. 21 stycznia władca spotkał się z rodziną po raz ostatni. 21 stycznia o godz. 9 komisarze konwentu nadzorowali przewiezienie władcy na pl. Rewolucji (dziś pl. Zgody). Władca w czasie przejazdu przez ulice Paryża poświęcał się wyłącznie modlitwie. Ponieważ obawiano się, że władca może próbować wygłosić jakieś przemówienie do ludu, orkiestra rewolucyjna zagłuszała ewentualne krzyki kolejnymi marszami i biciem w bębny. W tłumie znaleźli się dwaj przedstawiciele szlachty, którzy podjęli odważną, lecz mało przygotowaną próbę odbicia władcy. Zanim dopchali się do szafotu, sankiuloci zakłuli ich pikami.

Gdy nadszedł moment ścięcia, król wykrzyknął do tłumu: „Francuzi! Umieram niewinny wobec zbrodni, które mi zarzucano. Wybaczam sprawcom mojej śmierci i proszę Boga, by krew, którą rozlejecie, nie spadła nigdy na Francję. A ty, ludu nieszczęśliwy..." – dalsze słowa władcy zagłuszyło bicie w bębny kompanii wojskowej, która nadzorowała egzekucję. W końcu mistrz ceremonii egzekucyjnej pokazał ludowi trzymaną w ręku i ociekającą jeszcze krwią głowę Ludwika XVI.

Niemal dziewięć miesięcy później – 16 października – w tym samym miejscu na placu, który nosi dzisiaj nazwę place de la Concorde, została zgilotynowana jego żona Maria Antonina. Wskutek pobytu w więzieniu władczyni, mimo stosunkowo młodego wieku (38 lat), była całkowicie siwa. Syn Ludwika zwany potem przez monarchistów Ludwikiem XVIII przeżył rodziców tylko o dwa lata. Oddany na wychowanie do szewca alkoholika Antoniego Simona wskutek niedożywienia i braku opieki zapadł na gruźlicę i zmarł 8 czerwca 1795 r.

Zwiastun nowej epoki

Gdy czyta się słowa testamentu Ludwika XVI, że uważa się za kogoś, kto został „wplątany w proces, którego wyniku z powodu zacietrzewienia ludzi nie sposób przewidzieć i który nie znajduje żadnego pretekstu ani środka w żadnym obowiązującym prawie", przychodzą na myśl wielkie procesy pokazowe, które były cechą zarówno stalinizmu, jak i nazizmu.

Znany publicysta Marek Jurek pisze: „Ludwik XVI raczej intuicyjnie niż racjonalnie przeczuwał cywilizacyjny kierunek, w którym zmierzała rewolucja. W zrozumieniu istoty systemu proponowanego przez ideologów rewolucji pomogła mu korespondencja z papieżem Piusem VI. Papież to niepokojące „widmo przyszłości" widział bardzo wyraźnie. W breve »Quod aliquantulum« ostrzegał, że społeczeństwo, które odrzuca Boga, może pewnego dnia ujrzeć każdy wymysł najbardziej rozchwianych umysłów". Wiele dylematów, przed którymi historia postawiła Ludwika XVI, odżyło w wieku XX. Stąd tragedia Ludwika XVI u wielu ludzi do dziś wywołuje znamienne poczucie solidarności. Król był nie tylko ofiarą, lecz także bodaj pierwszym nowożytnym bohaterem świadomego oporu wobec projektu społeczeństwa, któremu nakazano odrzucić Boga na rzecz mitu powszechnego szczęścia.

Ludwik XVI mógł uniknąć śmierci, gdyby zaakceptował zerwanie francuskiego Kościoła z Rzymem. Na Wielkanoc 1792 r. Ludwik poprosił o przyjęcie komunii od księdza katolickiego, który nie podpisał Konstytucji cywilnej kleru. Rewolucjoniści chcieli go zmusić, by zaakceptował księdza państwowego. Władca wolał wyrzec się sakramentu, niż przyjąć go z rąk, które uważał za niegodne.

W książce Pawła Jasienicy opisywany jest los markiza de Rouairie, który ukrywając się wówczas przed rewolucjonistami, znalazł gazetę informującą o ścięciu Ludwika XVI. Przeczytawszy triumfalny komunikat o królobójstwie, doznał szoku i po paru dniach agonii umarł. Na jego krzyżu wyryto słowa: „Chorobą, która go zabrała, była wierność". Nieszczęsny arystokrata zachował wierność władcy, który z kolei nie wyrzekł się królewskiej przysięgi obiecującej bronić religii, której był urzędowym obrońcą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7519f1e932

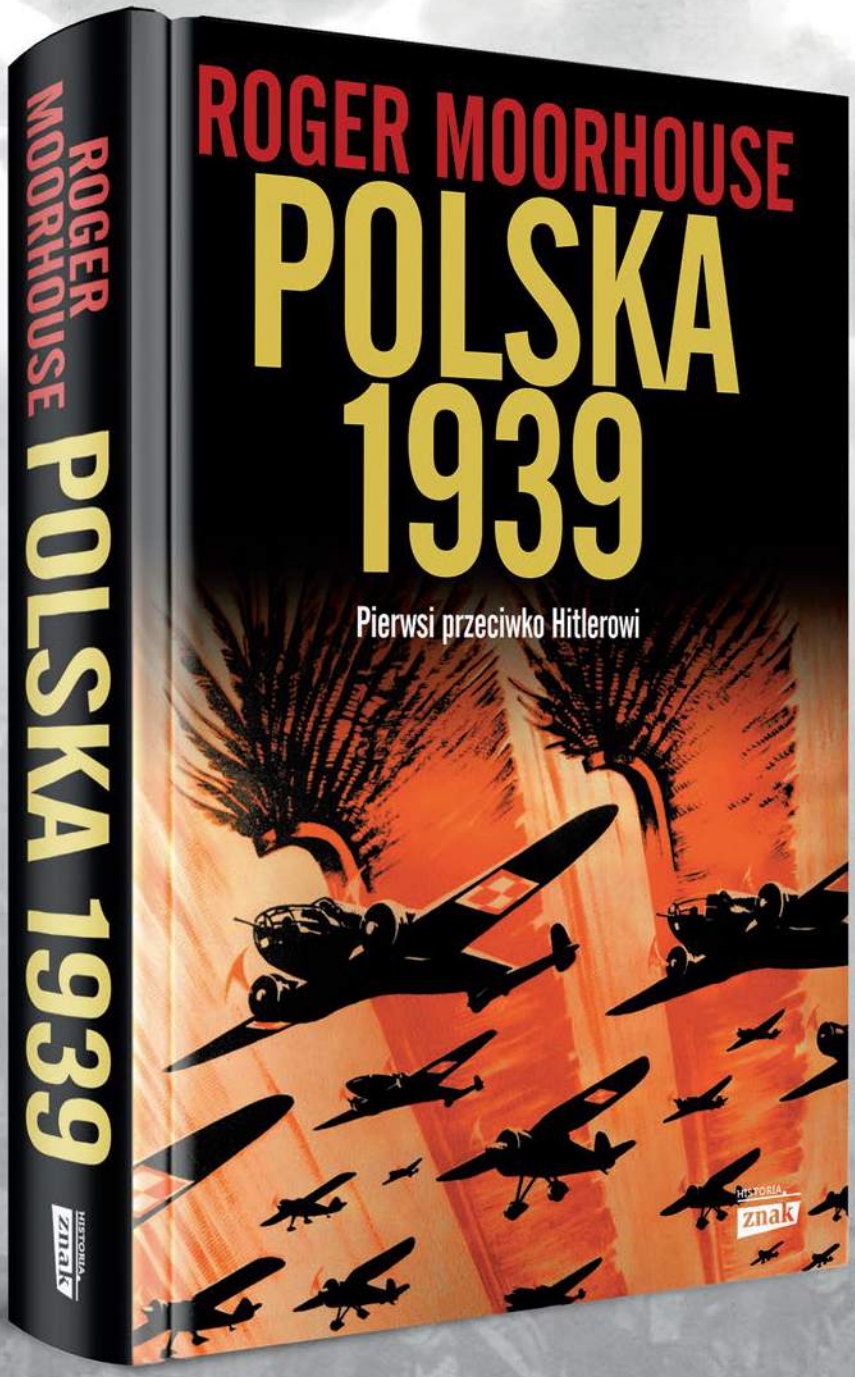

Ceniony historyk odkrywa nieznane fakty kampanii wrześniowej

Premiera 14 sierpnia

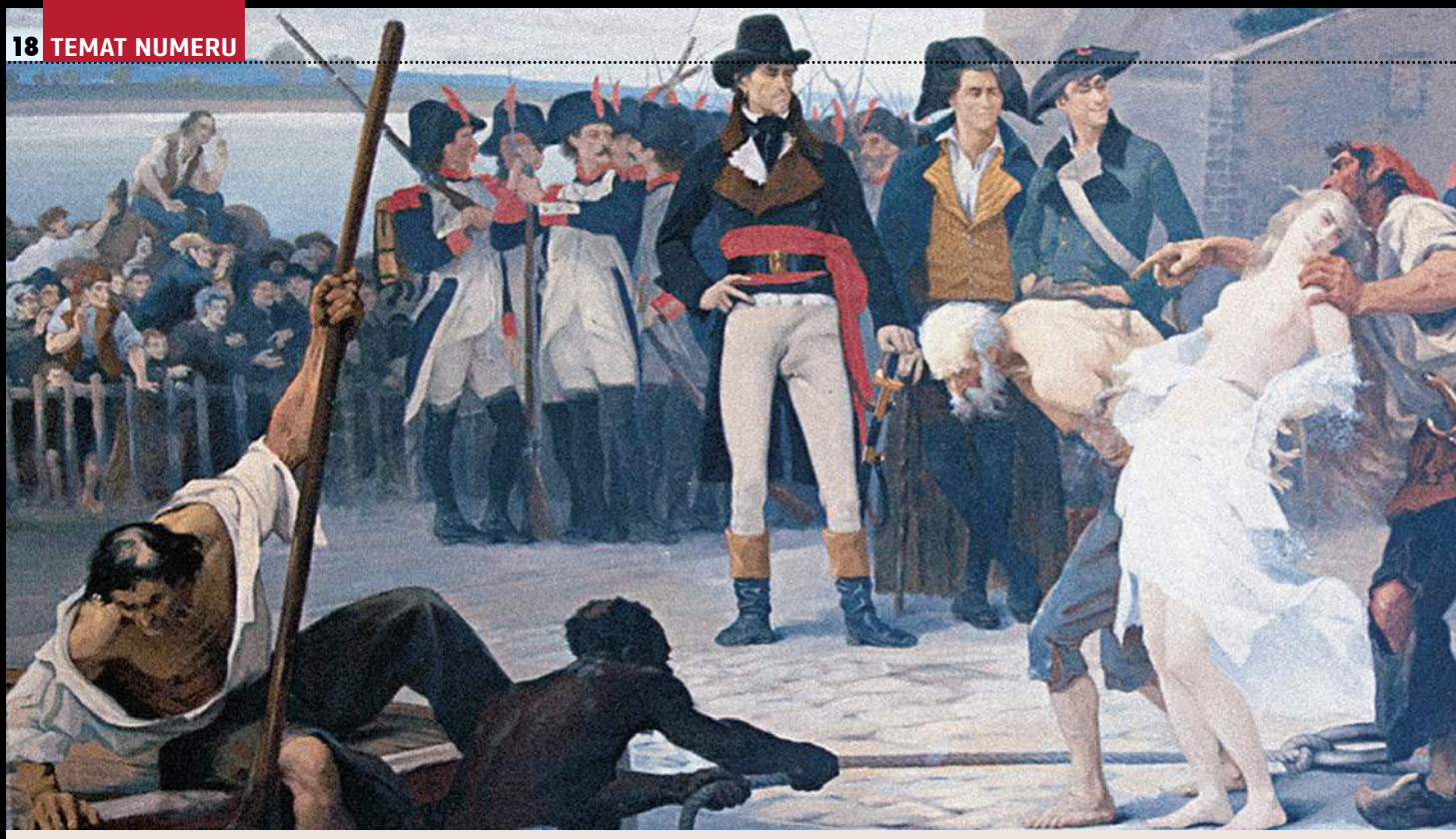

1793 r. / Opór katolików i ludobójstwo rewolucjonistów

Bohaterska rebelia w Wandei

Marcin Bartnicki

Wandejczycy nie chcieli ulec czerwonemu terrorowi i chwycili za broń. Rewolucjoniści utopili powstanie we krwi. Małe dzieci nabijali na bagnety, a kobiety palili żywcem w piecach

Nie ma już Wandei, obywatele republikanie. Umarła pod naszą wolną szablą, wraz ze swoimi kobietami i dziećmi. Właśnie pochowałem ją w błotach i lasach pod Savenay. W myśl rozkazów, jakie mi przekazaliście, zmiażdżyłem te dzieci pod końskimi kopytami, wybiłem kobiety, które – przynajmniej te – nie będą już rodzić bandytów. Nie mam sobie do zarzucenia ani jednego więźnia. Zgładziłem wszystkich" – pisał do Komitetu Ocalenia Publicznego gen. François Joseph Westermann w grudniu 1793 r., kilka dni po bitwie pod Savenay, która przyniosła ostateczne zwycięstwo siłom republikańskim. „Litość to nie rewolucyjna sprawa" – dodaje na końcu raportu przyjaciel Dantona.

Piekielne kolumny

Bitwa to dopiero początek rzezi. Karą za to, że ośmielili się wystąpić przeciw rewolucji, ma być całkowite unicestwienie Wandei. „Piekielne kolumny" mają nie tylko wymordować wszystkich ludzi, niezależnie od poglądów, lecz także zniszczyć wszystkie budynki, spalić miasta, a nawet wypalić lasy. Wandea ma zostać zamieniona w bezludną pustynię, a następnie skolonizowana przez przesiedleńców z innych regionów Francji.

eprasa.pl 7519f1e932

Egzekucje (przez topienie) Wandejczyków w Nates. Obok: symbol powstańców „Bóg i król" FOT. WIKIPEDIA

Mieszkańców departamentu traktuje się jak zwierzęta.

„Kazałem zapolować na wszystko wokół mej kwatery i nakazałem, żeby podczas naszego marszu codziennie moi myśliwi dostarczali mi dar z dwudziestu głów bandytów tylko dla mojej przyjemności. Aż dotąd regularnie otrzymywałem ten podarunek, ale ostatnio zaczyna brakować zwierzyny, której pogłowie szybko maleje" – pisze gen. Antoine Bard. W porównaniu z późniejszą orgią okrucieństwa zwykłe polowanie na ludzi przestaje szokować. Przed zamordowaniem kobiety są gwałcone, a ciężarnym rozpruwa się brzuchy. Ludzi topi się w Loarze, wiążąc ze sobą tak, aby pary patrzyły na siebie przed śmiercią. Małe dzieci dla zabawy są przerzucane nad maszerującym wojskiem na bagnetach, a stosy ciał ułożone w piramidy zalegają na polach miesiącami.

Wiele sposobów zadawania śmierci kobietom i dzieciom jest tak makabrycznych, że nie nadają się do przytoczenia w popularnonaukowej publikacji. Gdy Reynald Secher zebrał je w opublikowanej w 1986 r. książce „Ludobójstwo francusko-francuskie. Wandea – Departament Zemsty", wywołało to wstrząs we Francji, mimo że świadectwa o masowych mordach były już wcześniej znane. Żołnierze Republiki wyprzedzali w pomysłowości w zadawaniu cierpienia markiza de Sade. Niestety, w przeciwieństwie do opisów autorstwa markiza wszystkie te okropności wydarzyły się naprawdę. Ich ofiarami padli nie tylko przypadkowi ludzie, którzy mieli pecha urodzić się w zbuntowanym regionie, lecz także zwolennicy Republiki. Rozstrzyganie winy uznano za zbyt czasochłonne, dlatego rewolucyjna armia mordowała wszystkich.

„Amey (dowódca jednej z dywizji) każe rozpalić w piecach i gdy są już dobrze rozpalone, wrzuca tam kobiety i dzieci – pisał w raporcie Gannet, oficer policji. – Posłaliśmy do niego naszą delegację; odpowiedział nam, że w ten sposób Republika chce piec swój chleb. Początkowo skazano na ten rodzaj śmierci kobiety-bandytki i nie mieliśmy nic do powiedzenia; ale dzisiaj krzyki tych nieszczęśliwych tak bardzo rozochociły żołnierzy i Turreau, że chcieli pozwolić na kontynuowanie tych zabaw. Z braku żon rojalistów zabrali się do żon prawdziwych patriotów. Dotąd, według naszej wiedzy, dwadzieścia trzy kobiety poddano tej straszliwej męczarni, a przecież ich winą było tylko uwielbienie narodu [...]. Chcieliśmy odwołać się do naszej powagi, jednak żołnierze zagrozili nam tym samym losem".

Przyjaciele Republiki

Przed rewolucją Wandea była regionem stosunkowo bogatym. Gęstość zaludnienia była nieco większa niż w innych regionach Francji, ale ludność mieszkała głównie na wsi i w małych miasteczkach. Jak szacuje Secher, na terenach objętych późniejszym buntem mieszkało 815 029 ludzi, z czego niemal 300 tys. w samej Wandei. Wandejczycy i mieszkańcy sąsiednich regionów powitali rewolucję dość entuzjastycznie. Wcielenie w życie oświeceniowych idei, takich jak równość obywateli wobec prawa, zostało docenione, ale szczególnie mieszkańcy wsi bardziej liczyli na załatwienie przyziemnych spraw, dotykających na co dzień zwykłych ludzi. Pańszczyznę królewską, czyli przymusowe roboty publiczne, zniesiono co prawda jeszcze przed rewolucją, ale zastąpiono ją jeszcze bardziej uciążliwym podatkiem. A ten w latach nieurodzaju okazał się dla chłopów bardziej uciążliwy niż dwa tygodnie (rocznie) przymusowej harówki od rana do wieczora przy budowie publicznych dróg. Drugim poważnym problemem był pobór do wojska. Spośród kawalerów w wieku 18–40 lat losowano tych, którzy przez sześć lat będą musieli pełnić służbę, co nieustannie powodowało sprzeciw.

Początkowy entuzjazm szybko opadł, gdy okazało się, że nowe władze nie tylko nie poprawiły sytuacji przeciętnych Wandejczyków, lecz także stworzyły nowe, nieznane dotąd problemy. W miejsce dawnych obowiązków pojawiają się nowe podatki. W niektórych gminach do 1792 r. wzrosły nawet dwukrotnie, a ich nierównomierne rozłożenie rozpaliło lokalne antagonizmy. Przełomowe znaczenie miała też „Konstytucja cywilna duchowieństwa" z 12 lipca 1790 r. Nacjonalizacja własności Kościoła w 1789 r. w Wandei nie wywołała sprzeciwu nawet samego duchowieństwa. Co więcej, w kolejnym roku ziemie należące wcześniej do zakonów kupują przedstawiciele wszystkich warstw społecznych. Księża od tej pory mają mieć wyznaczoną stałą pensję z kasy państwowej i stają się de facto państwowymi urzędnikami. Sam ten fakt nie wywołuje jeszcze protestów. Każdy proboszcz i biskup ma być od tej pory wybierany w wyborach, a uprawnieni do głosowania są wszyscy obywatele, w tym niewierzący i wyznawcy innych religii. Zgoda papieża na obsadzanie kościelnych stanowisk we Francji nie jest już wymagana, a uznawanie biskupów mianowanych przez „obcą władzę" jest zabronione. Rozłam, poprzedzony protestami, pojawia się dopiero po 27 listopada 1790 r., gdy Zgromadzenie Narodowe domaga się od duchownych złożenia przysięgi na nową konstytucję Kościoła. W Wandei większość księży odmawia, przez co dalsze sprawowanie funkcji w parafiach staje się dla nich niezgodne z prawem. Cywilna administracja ma przydzielić do ich parafii nowych księży, a do diecezji biskupów, którzy zgodzili się złożyć przysięgę.

Księża wierni Kościołowi, którzy odmówili przysięgi, stali się dla Republiki wrogiem numer jeden. Początkowo mieszkali u swoich rodzin i wiernych parafian. Gdy rozpoczęły się masowe represje, ich przyjaciele znajdowali

eprasa.pl 7519f1e932

Julien le Blant „Egzekucja gen. Charette", Nantes, 1796 r. FOT. WIKIPEDIA

wymyślne sposoby ukrywania ich. Rolnicy i rzemieślnicy, związani od pokoleń ze swoimi społecznościami, nie akceptują nowych, narzuconych kapłanów. Zamiast uczestniczyć w oficjalnych mszach, organizują tajne nabożeństwa, chrzty i śluby w prywatnych domach, lasach czy w opuszczonych ruinach. Nawet gdy w czasie buntu grozi za to śmierć. W tym samym czasie oficjalne święta państwowe przyciągają garstkę ludzi. P

„Jestem obrażany, wyszydzany, obrzucany kamieniami, nie mam ani kantora, ani zakrystiana, ani kleryka, prawdę powiedziawszy – nie mam nawet parafian" – pisał do władz z Cholet ksiądz z Roussay. Zaprzysiężeni duchowni narzucani parafii byli obrzucani kamieniami, podpalano ich plebanie, niszczono mienie. Na państwowej pensji, będąc faktycznie częścią administracji, niektórzy kapłani zaczęli kompletnie zaniedbywać swoje obowiązki. Jak pisze w swojej książce Secher, ks. Caperon z La Chapelle-Basse-Mer zniszczył zapis pięciu miesięcy rejestru parafialnego. Po jego wyjeździe kartki znaleziono na toaletce. Używał ich jako papilotów.

Przeciw „wolności"

Gdy okazuje się, że obietnica wolności to puste słowa, za którymi stoi terror, chłopi, zmuszani jeszcze niedawno do odrabiania pańszczyzny, domagają się przywrócenia realnej władzy królowi. Podczas jednej z awantur, gdy lokalne władze Jaille zbierają się w karczmie, ludzie wykrzykują, że „mają gdzieś konstytucję i do diabła z wolnością". Podobne upokorzenia spotykają administrację coraz częściej. Jednak do furii doprowadza chłopów dopiero ścięcie Ludwika XVI w styczniu 1793 r. i przymusowy pobór do wojska, który nastąpił wkrótce potem.

Wandejczycy mieli dość Republiki. W sytuacji, gdy w Wandei stacjonowało zaledwie 1,4 tys. żołnierzy, bunt był nieunikniony. Armia Republiki, mimo zwiększenia jej liczebności w regionie, jeszcze długo nie nadawała się do walki. „Żołnierz, który nie pełni służby, nieuchronnie staje się bezczynny – wspominał jeden z dowódców. – Wychodzi z knajpy tylko po to, żeby pójść do innej, i potrzebuje niewiele czasu, aby wydać swój żołd. Gdy już go przepije, szuka okazji, i gdy tylko taka się nadarzy, sprzedaje swój ekwipunek. Szybko wyzbywa się wszystkiego. Wtedy zaczyna żądać, a w razie odmowy – rabuje". Naprzeciw zdezorganizowanej armii Republiki stanęła dobrze dowodzona, zdeterminowana i zorganizowana armia powstańców z Wandei i sąsiednich regionów, dysponująca kawalerią i artylerią. Chłopi polujący od lat w lasach byli dobrymi strzelcami. Co zaskakujące, w pierwszych bitwach Wandejczycy górowali nad regularną armią również taktyką. To wystarczyło, aby kontrolować sytuację przez dziewięć miesięcy.

Rzeź, która nastąpiła po wygranej przez Republikę bitwie pod Savenay, była bezprecedensowa, ponieważ – jak twierdzi Secher – było to pierwsze w historii ludobójstwo uwarunkowane ideologicznie. Rewolucja, która jeszcze kilka lat temu walczyła o wolność dla chłopów, głosiła równość i braterstwo, teraz podjęła decyzję o eksterminacji całego regionu, zniszczeniu wszystkich zabudowań, a nawet lasów i upraw, aby żadni ludzie i zwierzęta nie byli w stanie przeżyć w Wandei. Sprawcami i ofiarami byli ludzie z tej samej grupy etnicznej, posługujący się tym samym językiem, których jeszcze kilka lat wcześniej różniło niewiele. W czasie rzezi władze nazywały ofiary w oficjalnych dokumentach zwierzętami. Region miał zostać przykładnie ukarany, co znalazło odzwierciedlenie również w rewolucyjnej nowomowie. Nazwę departamentu zmieniono z „Vendée" – Wandei, na „Vengé", słowo oznaczające zemstę.

„Wszyscy bandyci, którzy zostaną znalezieni z bronią w ręku lub którym będzie to dowiedzione, mają pójść pod bagnety. W ten sam sposób traktujcie kobiety, dziewczęta i dzieci [...]. Osób tylko podejrzanych również nie oszczędzać. Wszystkie wioski, miasteczka, zarośla janowca i wszystko, co można spalić, należy wydać na pastwę płomieni" – pisał 17 stycznia 1793 r. gen. Louis Turreau, dowódca piekielnych kolumn, w instrukcji do swoich oficerów, opatrzonej nagłówkiem „Wolność, Braterstwo, Równość albo Śmierć".

Szybko się okazało, że doraźne metody używane do masowych mordów są nieefektywne. Armii brakowało amunicji, a oficerowie skarżyli się, że ich żołnierze łamią sobie na ofiarach bagnety. Ludzi zamykano więc masowo w starych statkach i duszono lub zatapiano w Loarze. Próby stworzenia broni chemicznej do eksterminacji cywili okazały się na szczęście nieudane. W Wandei i sąsiednich regionach zginęło co najmniej 117 tys. ludzi, ok. 15 proc. populacji. Systematyczne wyniszczanie regionu spowodowało, że w niecały rok spalono ok. 20 proc. zabudowań. Paradoksalnie, największe straty materialne, przekraczające połowę wartości nieruchomości, poniosła gmina najbardziej sprzyjająca rewolucji – La Chapelle-Basse-Mer. Odbudowa w tej gminie trwała kilkanaście lat.

Mimo że jakobini trafili na właściwe w realiach ówczesnej epoki miejsce – pod gilotynę – bezpośredni wykonawcy masakr nie tylko uniknęli kary, lecz także w większości mieli się całkiem dobrze.

Przytoczony na wstępie Antoine Bard zmarł w 1837 r. w wieku 78 lat. François Joseph Westermann, „Rzeźnik Wandejczyków", został zgilotynowany 4 kwietnia 1794 r. Padł ofiarą terroru jakobinów jako zwolennik i przyjaciel Dantona, a nie za zbrodnie w Wandei. Louis Turreau, dowódca piekielnych kolumn, w grudniu 1795 r. stanął przed trybunałem wojskowym, który uniewinnił go, orzekając, że w Wandei wykonywał tylko rozkazy. Ukarać postanowił go dopiero sam Napoleon Bonaparte. W bardzo osobliwy sposób. Turreau został wysłany jako ambasador do USA (!), co zablokowało mu dalszą karierę. „Turreau pisał do Napoleona rozpaczliwe listy, prosząc go o jak najszybsze ściągnięcie do kraju, ale cesarz był nieugięty" – mówił w rozmowie z „Historią do Rzeczy" Reynald Secher. Zbrodniarz wrócił do Francji dopiero w 1811 r. Po upadku Napoleona przeszedł na służbę u nowego króla, unikając sądu. Przed śmiercią, w 1814 r., został odznaczony Krzyżem św. Ludwika.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7519f1e932

76.TourdePologne®

03-09.08.2019

UCI WORLD TOUR

100 LAT POLSKIEGO KOMITETU OLIMPIJSKIEGO

WYŚCIG POKOLEŃ

ETAP 1 KRAKÓW – KRAKÓW / ETAP 2 TARNOWSKIE GÓRY – KATOWICE / ETAP 3 STADION ŚLĄSKI, CHORZÓW – ZABRZE
ETAP 4 JAWORZNO – ŚLĄSKIE, KOCIERZ / ETAP 5 KOPALNIA SOLI „WIELICZKA" – BIELSKO-BIAŁA
ETAP 6 MAŁOPOLSKA, ZAKOPANE / ETAP 7 BUKOVINA RESORT – BUKOWINA TATRZAŃSKA

Sponsor Główny

Carrefour

Sponsorzy Oficjalni

TAURON

LOTOS

Partner Strategiczny

LOTTO

Oficjalni Partnerzy

studio55 advertising solutions

MM CARS GROUP

Oficjalny Pomiar Czasu

TISSOT SWISS WATCHES SINCE 1853

Oficjalna Woda

CISOWIANKA

Patroni Medialni

onet

PRZEGLĄD SPORTOWY

TVP 1

radio eska

CINEMA CITY

cityboard media

pap POLSKA AGENCJA PRASOWA

TVP SPORT

SUPER express

wprost

Sponsorzy Wspomagający

Kinder+SPORT Joy of moving

IMPEL GROUP

ELMAR

PROMOKRAFT

Pogotowie Ratunkowe Siedlce

MAVIC

LAVARD

BRUNOX

Partnerzy

BUKOVINA RESORT

KOPALNIA SOLI WIELICZKA

Śląskie.

POLSKA ORGANIZACJA TURYSTYCZNA

KRAKÓW REGION MAŁOPOLSKA

SZOSA

VOX

wawa

MENADŻER FLOTY

plus radio

ESKA ROCK

POLSKI CZERWONY KRZYŻ

ZIS

quest

Związek Ochotniczych Straży Pożarnych RP

ICC PKP INTERCITY

BIKEWORLD.PL

TOUR

naszosie.pl

ORGANIZATOR LANGTEAM WWW.LANGTEAM.COM.PL

30 czerwca 1794 r. / Ścięcie pięknej księżnej Lubomirskiej

Od Czarnobyla do gilotyny

Sławomir Koper

Rewolucjoniści nie oszczędzali nawet kobiet. Zamordowali bestialsko polską arystokratkę z Czarnobyla

FOT. WIKIPEDIA

Ofiarami jakobińskiego terroru padło także kilkoro Polaków. Największe emocje towarzyszyły jednak straceniu pięknej Rozalii Lubomirskiej, nazywanej wiosenną księżną. Gdy ostrze gilotyny oddzieliło jej głowę od tułowia, miała zaledwie 26 lat, być może zresztą była także w odmiennym stanie…

Chociaż nazwa „Czarnobyl" kojarzy się obecnie wyłącznie z tragiczną katastrofą elektrowni jądrowej w 1986 r., to miasto ma swoją długą historię. Po raz pierwszy pojawiło się w źródłach pod koniec XII stulecia, natomiast w czasach Rzeczypospolitej Obojga Narodów jego właścicielami były rodziny Kmitów i Sapiehów, a następnie Chodkiewiczów. Do rozwoju Czarnobyla szczególnie przyczynił się ojciec naszej bohaterki, Jan Mikołaj Chodkiewicz. On też ocalił jego mieszkańców podczas koliszczyzny w 1768 r., gdy rozbił oddziały Iwana Bondarenki-Czałyja zmierzające do miasta.

Rozalia Chodkiewiczówna urodziła się dwa lata przed tymi tragicznymi wydarzeniami. Jej matką była Ludwika z Rzewuskich (córka hetmana Wacława Rzewuskiego), dama niezwykle dumna i preferująca raczej chłodne wychowanie dzieci (miała ich łącznie siedmioro). Pani Ludwika miała o sobie niezwykle wysokie mniemanie i tak bardzo dawała to odczuć otoczeniu, że jej rodzone dzieci nazywały ją złośliwie „ekscelencją". Oczywiście za plecami groźnej pani matki.

Rozalia od najmłodszych lat zapowiadała się na skończoną piękność, nic zatem dziwnego, że nie narzekała na brak kandydatów do swojej ręki. Starający się o jej względy wiedzieli także, że nie będą narzekać na wysokość posagu, gdyż majątek rodzinny znajdował się w dobrej kondycji. Najważniejszy z kandydatów pojawił się, gdy Rozalia miała 17 lat, był nim książę Aleksander Lubomirski. Wprawdzie uważano go za „sztywnego, oszczędnego i mało ciekawego", ale w zamian był synem jednego z najbogatszych magnatów Rzeczypospolitej. Warto jednak pamiętać, że jego ojcu – Stanisławowi – udała się rzecz niemal niemożliwa: przez skłonności do karcianego hazardu przetracił poważną część posiadanego majątku. W 1770 r. został zmuszony do zrzeczenia się jego pozostałości na rzecz synów, co ocaliło rodową schedę przed upadkiem. Być może dlatego Aleksander był człowiekiem bardzo oszczędnym i zajmował się głównie interesami, co przyczyniło się do niepowodzenia jego związku z Rozalią.

Na razie jednak nic tego nie zapowiadało, Rozalia wyszła za Lubomirskiego w listopadzie 1785 r., gdy miała 18 lat. Para zamieszkała w posiadłościach męża w Strzyżewie, gdzie młoda żona szybko zaczęła się nudzić. W listach do matki twierdziła, że chętnie powróciłaby do domu rodzinnego, narzekała też, że mąż, zajmując się interesami, mocno ją zaniedbuje. Pojawiały się także informacje o coraz częstszych kłótniach małżeńskich. Dlatego Rozalia wybrała się chętnie bez męża na karnawał do Lublina, gdzie w roli przyzwoitki występowała

eprasa.pl 7519f1e932

jedna z jego ciotek. Tam rzuciła się w wir zabaw, a jej świeżość i uroda wzbudzały powszechny podziw.

Niebawem też (tym razem w towarzystwie męża) pojawiła się w Kaniowie, gdzie Stanisław August po raz pierwszy od wielu lat spotkał się z carycą Katarzyną II. Była to oczywiście okazja do zjazdu arystokracji polskiej i rosyjskiej, a uroda młodej pani Lubomirskiej wzbudziła podobno uznanie nawet samej Katarzyny II. Sukcesy towarzyskie Rozalii zaczął doceniać mąż, zapewne z tego powodu spędzili kilka tygodni w Kijowie, gdzie zatrzymała się caryca. Pani Lubomirska nie chciała już zresztą wracać do Strzyżewa i wraz z małżonkiem udali się do Warszawy, a potem towarzyszyła mu, gdy wyjechał w interesach do Paryża.

Paryż i Warszawa

Stolica Francji olśniła Rozalię. Przybyła tam rok przed wybuchem rewolucji, a podobno kto nie żył w tych czasach, ten w ogóle nie wiedział, czym jest życie. Księżna Lubomirska poza niezwykłą urodą posiadała także odpowiednie urodzenie i pieniądze, nic zatem dziwnego, że nad Sekwaną znalazła wielu wielbicieli. Nie przeszkadzało to, że była w ciąży i w Paryżu urodziła córkę. Aleksandra nie było wówczas przy niej, powrócił już do kraju, co było potwierdzeniem faktu, że małżeństwo się rozpadło.

W Paryżu Rozalia nawiązała wiele znajomości, które w przyszłości miały zaważyć na jej losach. Poznała słynną faworytę nieżyjącego już Ludwika XV, madame du Barry, a także królową Marię Antoninę. Prowadziła życie typowe dla arystokratów tamtych lat; brała udział w hucznych balach i maskaradach, tańczyła do upadłego i oglądała modne przedstawienia. Przede wszystkim jednak nawiązywała kolejne romanse, ostatecznie była to epoka, gdy sprawy erotyzmu określano mianem zetknięcia dwóch naskórków. Kochano się zatem często oraz chętnie i bez większych zobowiązań.

Lubomirska nie pozostawała w tyle, nazywano ją nawet la gran bestiola (wielki błąd lub wielka bestyjka) ewentualnie la princesse printanière (wiosenna księżna). Opowiadano, że wraz ze swoimi dwiema przyjaciółkami z Polski (Wisłocką i Tyszkiewiczową) stanowiły zagrożenie dla każdego mężczyzny. Lubomirska bowiem „zdradzała swojego męża ze wszystkimi", natomiast pierwsza z jej przyjaciółek z ambasadorami, a druga – z ministrami.

Rozalia nie miała jednak nieograniczonych środków finansowych, a mąż nie zamierzał sponsorować rozrywek żony we francuskiej stolicy. Niebawem była już poważnie zadłużona, co utrudniało jej życie nad Sekwaną. Wprawdzie długi posiadali wówczas wszyscy arystokraci, ale inna była sytuacja cudzoziemki. Informacje o jej problemach dotarły nawet do kraju, w efekcie mąż oficjalnie ogłosił, że nie będzie honorował jej zobowiązań. To właśnie zmusiło Rozalię do powrotu do Polski, było to już po wybuchu rewolucji w Paryżu. Nie wiadomo zresztą, czy przywiązywała do tego faktu większą wagę, ostatecznie Ludwik XVI po zburzeniu Bastylii zapisał w swoim dzienniku, że tego dnia nic ciekawego się nie wydarzyło…

Rozalia nie zamierzała wracać do Strzyżewa i zatrzymała się w Warszawie. Zamieszkała w pałacu Lubomirskich za Żelazną Bramą i rzuciła się w wir stołecznych rozrywek. Były to lata Sejmu Wielkiego, co oznaczało także, że stolica doskonale się bawiła. Rozalia wzbudzała powszechne zainteresowanie nie tylko z powodu swojej urody, lecz także informacji o jej paryskich sukcesach. Nic zatem dziwnego, że jednym z jej wielbicieli był Stanisław August Poniatowski, uchodzący za wyjątkowego konesera kobiecej urody.

Rozalia miała wówczas 23 lata i cieszyła się życiem. Prowadziła bujne życie erotyczne, w czym rywalizowała z innymi damami ze stołecznego towarzystwa. Właściwie żaden mężczyzna nie potrafił jej odmówić swoich względów, a ona kolejno zaliczała najbardziej interesujących partnerów seksualnych w stolicy. Zdarzył się jednak jeden poważny wyjątek.

Okazał się nim jeden z największych kobieciarzy tej doby, książę Józef Poniatowski. Podobno Rozalia za wszelką cenę starała się zwrócić jego uwagę, ale książę pozostawał niewzruszony. Ignorował również przyjaciółki Lubomirskiej także pragnące go uwieść.

Przyczyna była prosta, Poniatowski był wówczas nieprzytomnie zakochany w aktorce Małgorzacie Sitańskiej. Ostatecznie trzy gracje (Rozalia, Barbara Kossowska i Julia Potocka) postanowiły zmusić go do posłuszeństwa i przebrane za nimfy (czyli raczej rozebrane) zaczaiły się pewnego wieczoru w jego własnej sypialni. Ku ich oburzeniu „bożyszcze Warszawy" pozostał odporny na ich wdzięki i ze wstydem musiały opuścić jego komnatę. Była to chyba największa porażka erotyczna Rozalii, która nie mogła sobie darować, że przegrała z „jakąś tam aktorką"…

Szybko się jednak pocieszyła w ramionach najmłodszego z senatorów Rzeczypospolitej, Tadeusza Mostowskiego. Uchodził on wówczas za jednego z najprzystojniejszych mężczyzn w stolicy i niezmordowanego kobieciarza. Romans rozpoczął się tak jak wiele innych w tej epoce, dla obu stron miała to być tylko przygoda erotyczna, a każdy z kochanków miał sobie dopisać następne nazwisko do swojej listy zdobyczy. Szybko jednak się okazało, że tych dwoje połączyło coś więcej niż tylko seks. Niebawem w Warszawie szeptano, że księżna Lubomirska

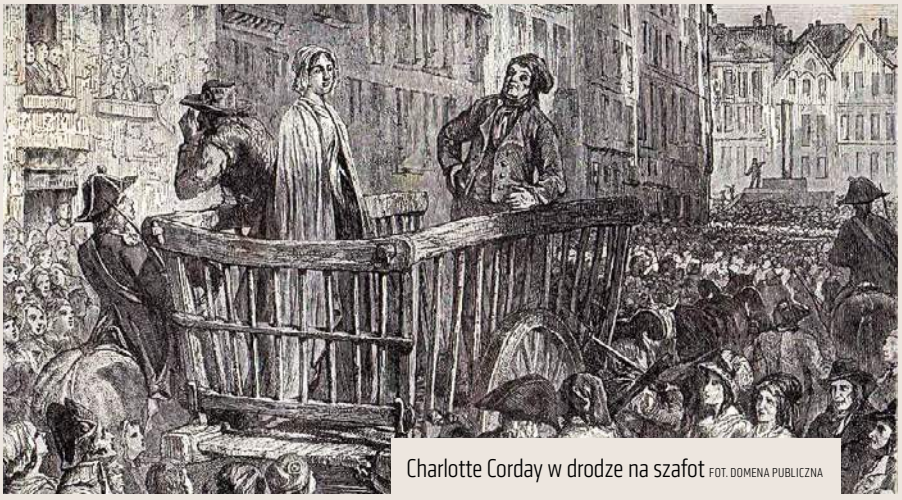

Charlotte Corday w drodze na szafot FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 7519f1e932

jest w Makowskim nieprzytomnie zakochana, a on odwzajemnił jej uczucie.

Pogłoski na ten temat dotarły także do Aleksandra Lubomirskiego, który nie okazał zadowolenia. Zgodnie z obyczajami tych lat nie zwracał uwagi na kolejnych kochanków żony, ale gdy pozostał już tylko jeden, zmieniało to sytuację. Wskazywało bowiem na zaangażowanie uczuciowe, a to księciu wyjątkowo się nie podobało.

Miłość jednak nie wybiera, a przytrafia się czasami nawet ludziom nietraktującym spraw erotyki specjalnie poważnie. Gdy zatem Makowski wyjechał do Paryża w misji dyplomatycznej, towarzyszyła mu Rozalia. Zabrała ze sobą córkę, Aleksandrę. Nie był to najlepszy pomysł, Francja stanowiła wówczas najmniej bezpieczne miejsce do życia dla arystokratów. Najwyraźniej jednak kochankowie uważali, że im jako obcokrajowcom nic nie grozi. Zresztą Makowski miał paszport dyplomatyczny.

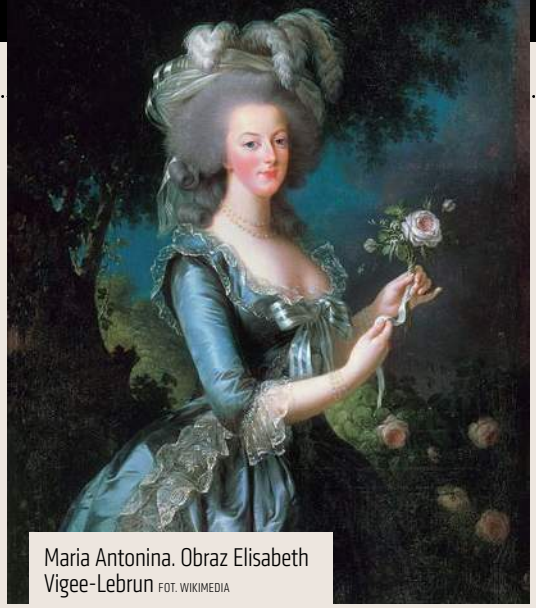

Maria Antonina. Obraz Elisabeth Vigee-Lebrun FOT. WIKIMEDIA

Cień gilotyny

W tym czasie Ludwik XVI był już pozbawiony tronu i siedział w więzieniu, a trzy miesiące po przybyciu Rozalii do Paryża rozpoczął się jego proces. „Obywatela Kapeta" skazano na karę śmierci i ścięto w styczniu na gilotynie, a w październiku 1793 r. jego los podzieliła Maria Antonina.

Były to miesiące krwawej dyktatury jakobinów, którzy bez skrupułów wysyłali na szafot każdego podejrzanego o próbę zaszkodzenia rewolucji. Arystokraci znajdowali się na czele tej listy, dlatego stali się najczęstszymi użytkownikami gilotyny. Liczba ofiar rosła w zastraszającym tempie; początkowo było to kilkadziesiąt osób miesięcznie, pod koniec rządów jakobinów liczba sięgnęła blisko tysiąca miesięcznie.

Uwięzionych zostało wielu przyjaciół Rozalii, w tym pani du Barry. Lubomirska z nią korespondowała i wyrażała negatywne opinie na temat procesu Marii Antoniny i jej egzekucji. Niestety, żadna z pań nie zniszczyła tych listów, co stało się przyczyną tragedii. W tym czasie rozstała się już z Makowskim, ale nie są znane tego przyczyny. Po egzekucji Marii Antoniny wspólnie wyjechali z Paryża, ale niebawem doszło między nimi do kłótni. W efekcie Makowski pojechał do Polski, natomiast Rozalia powróciła do Paryża.

Lubomirska została aresztowana w październiku 1793 r. i trafiła do więzienia Petite Force. Oficjalnie zarzucano jej utrzymywanie kontaktów z wrogami republiki i szpiegostwo na rzecz Rosji. Prawdopodobnie pod takim zarzutem miał być aresztowany Makowski, ale z powodu jego ucieczki zadowolono się Rozalią. Na pewno wiedziano o jej kontaktach z żyrondystami, księżna tego zresztą nie ukrywała. Jednak po obaleniu ich stronnictwa i zgilotynowaniu jego przywódców był to kolejny materiał obciążający.

W grudniu stracono panią du Barry i Rozalia wiedziała, że ma niewielkie szanse na ocalenie głowy. Żeby zapomnieć o czekającym ją losie, rzuciła się w wir szalonych więziennych zabaw. Francuskie zakłady penitencjarne doby rewolucji były bowiem jednym z najbardziej zadziwiających miejsc w dziejach ludzkości. Zgromadzeni w nich ludzie nie mieli właściwie szans na przeżycie, ale w obrębie murów zapewniano im dużo swobody. Do tego ci, którzy posiadali pieniądze, mogli liczyć na zaopatrzenie z miasta w luksusowe towary. Praktycznie każdego dnia odbywały się tam orgie seksualne (ich uczestnicy jutro mogli przecież już nie żyć) i dzikie pijatyki. Sygnałem do ich rozpoczęcia było wywołanie osób, dla których na ten dzień zaplanowano spotkanie z gilotyną, co oznaczało, że pozostali przeżyją jeszcze co najmniej jedną dobę. A zatem należało jeszcze użyć życia i zapomnieć o czekającej śmierci. Za „najweselsze" więzienie tamtych miesięcy uchodziło Conciergerie, tam też po pewnym czasie przeniesiono Lubomirską. Wiadomo też, że pomimo więziennych warunków dalej uważano ją za czarującą kobietę.

Tymczasem w próby jej uwolnienia zaangażowało się wiele osób, a list do Komitetu Ocalenia Publicznego napisał nawet Tadeusz Kościuszko. Na próżno, 22 kwietnia 1794 r. Rozalia stanęła przed Trybunałem Rewolucyjnym i oczywiście nie przyznała się do winy. Jak przystało na rasową kobietę, nawet w takiej chwili nieco się odmłodziła, podając, że ma 23 lata (w rzeczywistości miała o trzy więcej). Nie miało to oczywiście żadnego znaczenia i została skazana na karę śmierci. Z wykonaniem wyroku były jednak problemy.

Lubomirska oświadczyła bowiem, że jest w ciąży, co – biorąc pod uwagę obyczaje, które panowały w więzieniach – było całkiem prawdopodobne. Egzekucja została odroczona, a księżnę przeniesiono do szpitala więziennego L'Hospice du Tribunal Revolutionnaire. Przebywała tam przez kilka tygodni i spróbowała ucieczki. To zadecydowało o jej losach.

Dwaj lekarze stwierdzili, że nie jest w ciąży (nie wiadomo, czy w ogóle ją badano) i Robespierre nakazał natychmiastową egzekucję. Sprawa zaczynała się bowiem robić coraz bardziej kłopotliwa, a w obronę Rozalii angażowali się nawet ludzie z władz rewolucyjnych. Poza tym powszechnie mówiono, że stracenie tak pięknej i pełnej radości życia kobiety, a do tego cudzoziemki, będzie dowodem zezwierzęcenia jakobinów.

30 czerwca 1794 r. w Paryżu była wyjątkowo piękna pogoda. Rozalia założyła białą suknię i spokojnie weszła na szafot. Została ścięta na gilotynie ustawionej przy rogatce Vincennes. Jej sześcioletnią córką zajęli się przyjaciele, później odesłano ją do ojca. W przyszłości wyszła za mąż za Wacława Seweryna Rzewuskiego, słynnego podróżnika i pisarza. Przez całe życie używała też imienia matki, które przyjęła na bierzmowaniu.

Podobno w dniu egzekucji księżnej jej duch z obciętą głową pokazał się jej matce w pałacu w Młynowie, gdzie wówczas mieszkała. Widmo zgilotynowanej księżnej miało zadomowić się w tej posiadłości i ukazywać się jeszcze wielu osobom, zawsze w białej sukni i bez głowy. Przestało się pojawiać dopiero po spaleniu pałacu przez bolszewików w 1919 r.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7519f1e932

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA JACKA KOMUDY „JAKSA" ZOBACZYĆ ZEMSTĘ I PRZEŻYĆ

ZANURZ SIĘ W OPOWIEŚCI O ŚWIECIE, GDZIE DZIELNI WOJOWIE STAJĄ NAPRZECIW STRZYG I UPIORÓW.

Gdzie walka o władzę między ludźmi toczy się równie zażarcie, co walka między starymi a nowymi Bogami. W powietrzu unosi się zapach nieprzebytych borów. Ziemia drży, gdy zastęp koczowników rusza galopem do ataku. Nad pobojowiskiem krążą kruki. Dawny świat umiera, nowy dopiero zaczyna się kształtować. Tylko krok dzieli ludzi od całkowitego, niszczycielskiego chaosu i zguby.

75 zł

oszczędność 71 zł

źródło opisu: https://fabrykaslow.com.pl

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o.
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI:
E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **www.prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 7519f1e932

Piotr Zychowicz

Węgierscy żołnierze ofiarnie bronili Polaków przed UPA i dawali im broń do samoobrony. Banderowcy bali się ich jak ognia

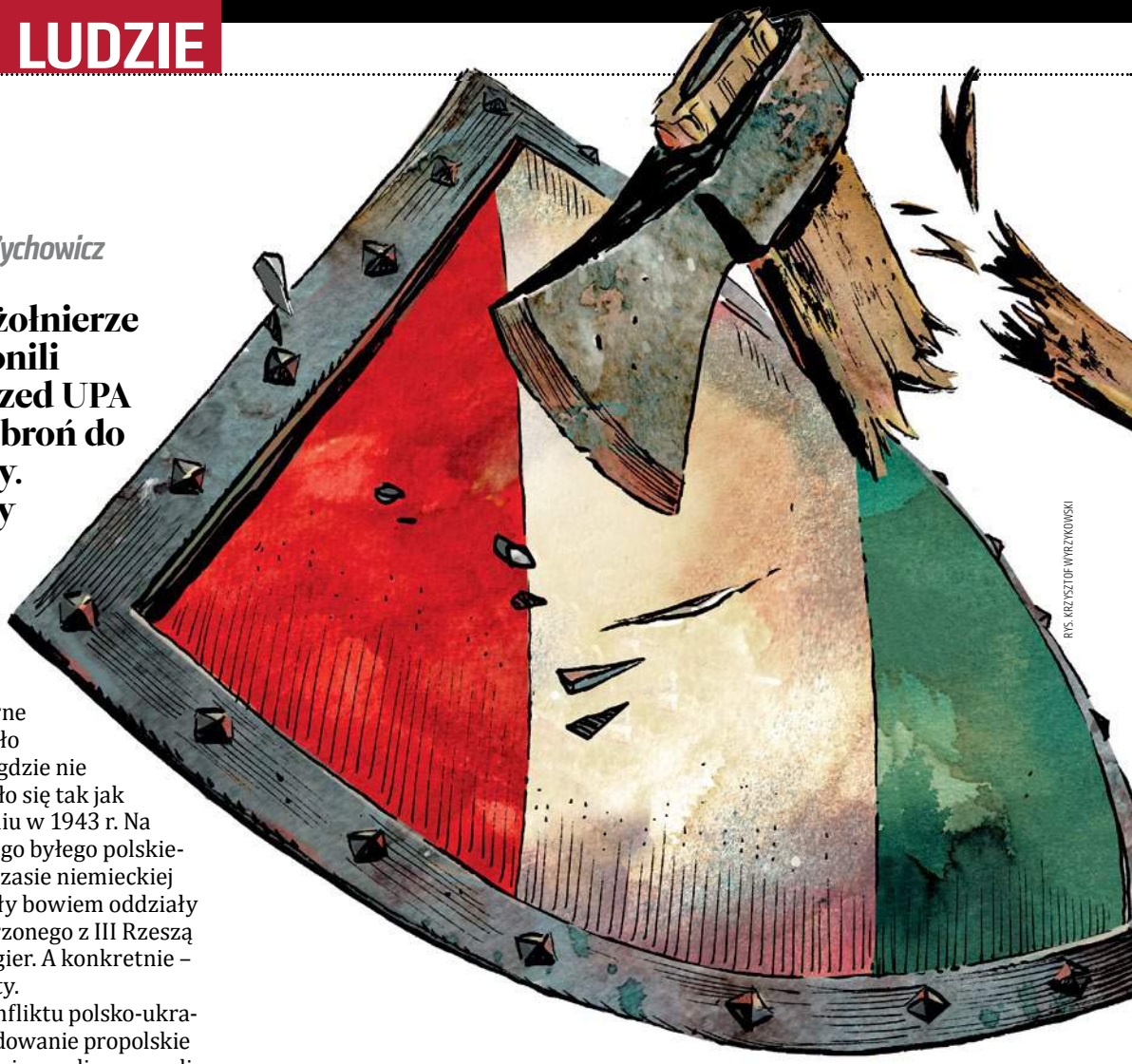

RYS. KRZYSZTOF WARZYKOWSKI

1943 r. / Fragment książki „Wołyń zdradzony"

Węgrzy na Wołyniu

Polak Węgier dwa bratanki,
I do szabli, i do szklanki.

To popularne porzekadło nigdy i nigdzie nie sprawdziło się tak jak na Wołyniu w 1943 r. Na terenie tego byłego polskiego województwa w czasie niemieckiej okupacji stacjonowały bowiem oddziały wojskowe sprzymierzonego z III Rzeszą armii Królestwa Węgier. A konkretnie – 124. Dywizja Piechoty.

Węgrzy wobec konfliktu polsko-ukraińskiego zajęli zdecydowanie propolskie stanowisko. I tam, gdzie mogli, pomagali Polakom. Starali się ich chronić przed banderowskimi rzeziami, zwalczali leśne oddziały UPA. Dostarczali Polakom żywność i zaopatrzenie, eskortowali ich z zagrożonych wsi do miast i miasteczek.

Stosunek Węgrów do ludności polskiej jest w odróżnieniu do Niemców bardzo przychylny, co starają się akcentować na każdym kroku – napisano w podziemnym sprawozdaniu sytuacyjnym z Wołynia za grudzień 1943 roku. – Czasami opowiadają chłopom na wsiach, że na tych terenach na pewno będzie Polska. Pojawienie się Węgrów powoduje u Ukraińców pewien niepokój.

We wspomnieniach Wołyniaków znalazło się wiele świadectw o pomocy medycznej, której ofiarom banderowskiego ludobójstwa udzielali węgierscy lekarze wojskowi. A także o pomocy duchowej węgierskich kapelanów. Węgrzy nie tylko dożywiali i ubierali uchodźców ze spalonych przez UPA polskich wsi – komendant garnizonu w Zdołbunowie starał się nawet o wyjazd 500 pogorzelców na Węgry!

Ważnym wydarzeniem w życiu Polaków – wspominał Wincenty Romanowski – było obsadzenie wołyńskich garnizonów Węgrami. Mieliśmy w nich prawdziwych przyjaciół i sprzymierzeńców, zarówno w rozgrywkach przeciwko Niemcom, jak i w czasie organizowania ochrony życia przed zakusami nacjonalistów z UPA.

Ludność polska nawiązała wiele kontaktów z żołnierzami i oficerami garnizonu w Zdołbunowie. W każdą niedzielę duży oddział przychodził do kościoła na mszę. Śpiewali swoje pieśni, których nauczyli się również Polacy. Strofy węgierskiego hymnu narodowego przywoływały wspomnienia polskiej pieśni „Boże, coś Polskę". Nad prezbiterium przez całą wojnę wisiało godło państwa polskiego – duży biały orzeł na czerwonym polu.

eprasa.pl 7519f1e932

Po nabożeństwie dziesiątki mundurów koloru khaki mieszały się z tłumem cywilów, serdeczny nastrój. Zdawało się, że w tym kościele i w tym mieście, pod osłoną bratniego narodu, żyła nieprzerwanie Polska. Poczuliśmy się pewniej i bezpieczniej.

Węgrzy potrafili jednak działać niezwykle zdecydowanie, wręcz brutalnie. Jeżeli na kontrolowanym przez nich terenie dochodziło do antypolskich wystąpień – honwedzi stosowali ślepy odwet. Puszczali z dymem najbliższe ukraińskie miejscowości. Robili obławy, dokonywali masowych aresztowań i rozstrzeliwań banderowskich prowodyrów.

Po dniu 11 lipca, w którym masowo mordowano Polaków – czytamy w raporcie Kierownictwa Walki Podziemnej z 3 sierpnia 1943 roku – skierowano na Wołyń wojskowe oddziały Węgrów. Ci przeprowadzają tam pacyfikacje, łapią Ukraińców i palą wsie, przy czym strzelają. Złapanych Ukraińców z narzędziami morderczymi odstawiają do Lwowa, i to grupami. Widzi się, jak transportowani przez Węgrów mają powiązane drutami ręce, a wielu z nich ma do rąk przywiązane siekiery lub widły. Odstawiają z tym, z czym ich ujęli.

A oto fragment relacji Polaka z Wołynia Wacława Czarnieckiego:

Na drugi dzień, dzięki pomocy Niemca zarządzającego młynami, dostaliśmy do ochrony drużynę „Volksdeutschów" (naszych zakonspirowanych ludzi) i samochodem pojechaliśmy do Podłuża po ciało brata.

Miklós Horthy FOT. WIKIPEDIA

Po drodze spotkaliśmy kompanię Węgrów, którą dowodził nasz serdeczny przyjaciel, porucznik Władysław Keczkejs. Na wieść o śmierci mego brata rozwinął kompanię w tyralierę i zbliżyliśmy się do Podłuża. Doszliśmy do młyna, brat leżał w kałuży krwi na podłodze, a obok niego młynarz Motylnicki. Otrzymali strzały w tył głowy. Przy podnoszeniu ciała brata wypadł mu z czoła pocisk. Mam go do dziś.

Porucznik Keczkejs pytał nas, na kogo mamy podejrzenie, z jakiej wsi mogą pochodzić mordercy. Nie mogliśmy nic powiedzieć, przecież ze wszystkimi brat żył tak zgodnie! Wówczas porucznik Keczkejs kazał swoim żołnierzom otoczyć kilka najbliższych chat i podpalić. Mój brat Stefan zaczął histerycznie krzyczeć:

– Tam są kobiety i dzieci! Tylko nie to! Nie pogłębiajcie nienawiści!

Poparłem brata.

Podobnie było w Galicji Wschodniej. Według historyka Ernesta Komońskiego w kwietniu 1944 r. w powiecie dolińskim węgierskie władze wojskowe zagroziły Ukraińcom, że przepis o doraźnej egzekucji osób odpowiedzialnych za zabicie Węgra lub Niemca zostaje rozszerzony na zabójców Polaków.

Ocalenie

Do wołyńskich miejscowości, w których stacjonowali Węgrzy – Ostroga, Ożenina czy Mizocza – ściągały tłumy zagrożonych pogromami Polaków. Gdy 25 sierpnia 1943 r. na Mizocz napadli banderowcy, doszło do zaciętej bitwy, podczas której węgierscy żołnierze, polscy „zieloni" policjanci z Schutzmannschaftu i członkowie samoobrony ramię w ramię odpierali kolejne ataki rezunów. Węgrzy zajęli stanowiska w cukrowni i majątku hrabiego Dunina-Karwickiego. Nazajutrz ocalała ludność Mizocza pod węgierską eskortą została ewakuowana.

Z kolei w styczniu 1944 r. pod Rożyszczami doszło do boju między polskim oddziałem a silnym zgrupowaniem UPA. Sytuacja była niewesoła i wyglądało na to, że polska obrona się załamie i banderowcy wyrżną mieszkańców pobliskich osiedli. Wieczorem na ratunek przybyła jednak kompania Węgrów wyposażona w kilka wozów pancernych. Ukraińcy musieli ustąpić pola. Co ciekawe, odsiecz wezwał Niemiec – miejscowy drogomistrz o nazwisku Scherentz. Człowiek ten po bitwie zorganizował ewakuację rannych Polaków samolotem wojskowym do Lwowa.

Przede wszystkim na Wołyniu kwitł polsko-węgierski handel wymienny. Za samogon i słoninę można było od honwedów kupić nie tylko amunicję i karabiny, lecz także miny przeciwpiechotne, karabiny maszynowe, a nawet moździerze. W jednej z miejscowości Węgrzy wymieniali granaty… na jabłka.

Co kilka dni Węgrzy inscenizowali napad na wiadukt – wspominał Henryk Cybulski „Harry", komendant samoobrony w Przebrażu. – Przy lada okazji, najczęściej nocą, otwierali straszliwą kanonadę w ciemności lub przy świetle rakiet. Strzelanina rozlegała się w kilku punktach. W Kiwercach wybuchało wtedy piekło. Niemcy gnali nam co sił na pomoc. Węgrzy witali ich ze spokojem: bandyci przed chwilą zostali odparci, wycofali się w popłochu, unosząc rannych i zabitych. Wiadukt stał nietknięty.

Następnego dnia sprzedawali po kryjomu nowe porcje amunicji. Kto byłby w stanie policzyć, ile naboi zużyli w czasie ostatniej obrony wiaduktu.

Jednym z głównych zadań Węgrów była obrona przebiegającej przez Wołyń linii kolejowej. Był to bowiem jeden z najważniejszych szlaków komunikacyjnych, przez które Niemcy mogli pompować zaopatrzenie dla walczących na froncie wschodnim armii. Wzdłuż torów przemieszczały się więc węgierskie patrole, co kilkadziesiąt metrów stały posterunki i schrony bojowe.

Trasa ta przecinała Wołyń na pół i była poważną przeszkodą dla oddziałów samoobrony spieszącym na ratunek mordowanym Polakom. A w późniejszym okresie oddziałów partyzanckich AK. Od czego jednak polsko-węgierska przyjaźń?! Z reguły polski dowódca spotykał się z węgierskim oficerem odpowiedzialnym za obsadę określonego odcinka torów. Panowie uzgadniali godzinę przejścia i sygnały. W oznaczonym czasie Węgrzy udawali, że nic nie widzą, a polskie oddziały nieniepokojone przekraczały tory.

Bywało zresztą i odwrotnie. To Polacy przepuszczali przez swoje tereny Węgrów. Roman Kucharski, weteran partyzanckiego oddziału „Krwawa Łuna", wspominał jedną z takich sytuacji. Żołnierze Armii Krajowej zajmowali most, po którym chciał przejechać oddział węgierski.

Ich dowódca zsiada z konia – wspominał Kucharski. – Oddaje cugle żołnierzowi i schodzi do mostu. W jego połowie staje, trzydzieści metrów przed lufą mojego kaemu, i woła po niemiecku, że chce rozmawiać z oficerem, naszym dowódcą. Komendant powoli wchodzi na most, a z drugiego brzegu równocześnie zbliża się oficer

eprasa.pl 7519f1e932

węgierski. W połowie mostu stanęli, zasalutowali i wymieniwszy kilka słów, uścisnęli sobie dłonie. Po paru minutach pertraktacji powrócili do swoich oddziałów.

Komendant oznajmił, że przepuścimy braci Węgrów przez nasze tereny, aby mogli być w porządku wobec Niemców, którzy wytyczyli im ten szlak przemarszu. I aby mogli zameldować, że dokładnie przez te miejscowości przejechali. Potem rozkazał zwiadowcom stworzyć szpaler po obu stronach drogi w takich odstępach, aby ciasno jadące sanie z Węgrami objąć w całości ochroną.

Węgrzy poukładali broń na spód sanek i powoli zaczęli zjeżdżać z pagórka na most. Uśmiechając się, składali dłonie w charakterystyczny uścisk, mający oznaczać braterstwo, i powtarzali jedyne zrozumiałe nam słowo „Lengyel". Któryś podał nam papierosy, sięgnęliśmy po tytoń, ale to wydawało się nam słabym rewanżem, więc zaczęliśmy im wręczać suchą kiełbasę i połcie słoniny.

Doszło nawet do tego, że z dowódcą jednej z węgierskich jednostek stacjonujących nad Bugiem spotkał się sam płk Kazimierz Bąbiński „Luboń", komendant wołyńskiej AK. Chociaż zachowano środki ostrożności – „Luboń" wystąpił incognito – świadczy to, że polskie podziemie Węgrom ufało. Inaczej nigdy nie zdecydowałoby się na podjęcie takiego ryzyka.

Polacy i Węgrzy starali się nie sprawiać sobie problemów również podczas przypadkowych spotkań w terenie. Jedno z nich w książce „Kainowe dni" opisał wołyński konspirator Wincenty Romanowski. Dotyczyło to przygody, którą miał żołnierz AK o pseudonimie Sybir.

Przekroczył próg domu po partyzancku, bez pukania. Z niezachwianą pewnością siebie wpadł do środka izby. Miał na sobie węgierski pistolet maszynowy i granat. Gdy w następnej sekundzie jego wzrok zatrzymał się na obecnych w izbie ludziach – stanął przy progu zdrętwiały z przerażenia. Wnętrze było pełne węgierskich żołnierzy. Wśród nich, przy stole, siedział oficer w rozpiętym mundurze. Broń znajdowała się w nieładzie, na sprzęcie domowym i na podłodze. Oniemieli Węgrzy, zbladł gospodarz domu.

W tym momencie „Sybir" krzyczy:

– Lengyel-magyar barátság!

– Éljen! – krzyknął któryś z Węgrów.

Wszyscy odetchnęli.

„Lengyel-magyar barátság" to przyjaźń polsko-węgierska.

Pod koniec wojny doszło nawet do tego, że całe węgierskie oddziały deklarowały chęć przejścia na stronę polskiej samoobrony. Zdarzało się też, że przebijających się do polskich baz dezerterów wyłapywali i bestialsko mordowali banderowcy. Jedną z takich historii w swoich wspomnieniach opisał Apolinary Oliwa, komendant z Rafałówki:

Podczas gęstego deszczu ze śniegiem przyszli do Rafałówki niecodzienni goście. Byli to Węgrzy z kompanii stacjonującej w Kiwercach i ochraniającej tamtejszy wodociąg przed dywersją. Od czasu do czasu dawali nam jakąś broń, krzywdy nikomu nie robili, ale mimo to ich wizyta wydała nam się intrygująca.

Pomogliśmy im zdjąć nasiąknięte wodą płaszcze i wskazaliśmy krzesła. Izbę wypełnił zapach rosołu i wieprzowej pieczeni. Znalazła się też wódka. Suty obiad wyraźnie poprawił Węgrom humory. Opowiadali o węgierskiej kuchni, o trunkach i wreszcie, gdy gospodyni przestała się krzątać koło stołu i wyszła, przystąpili do wyjaśnienia celu wizyty.

– Przysyła ich dowódca kompanii. Chcą z całą kompanią przejść na naszą stronę – tłumaczy zdziwiony Konefał.

Posiedzieli jeszcze trochę i zaczęli szykować się do drogi. Podarowali nam węgierskie granaty z biegnącą przez środek czerwoną obwódką i skórzaną klapką przy zawleczce. Któryś wsypał do wiadra po kartoflach kilkadziesiąt sztuk amunicji. Podziękowali za poczęstunek i poszli.

Niestety, historia ta zakończyła się tragicznie. Kompania Węgrów zrealizowała swój zamiar, ale niestety zrobiła to za późno, bo dopiero 2 lutego. Tego dnia do Rafałówki przyszło 162 węgierskich żołnierzy w pełnym uzbrojeniu. Niestety, po kilku godzinach do wsi wkroczyli bolszewicy i sympatyczni Węgrzy wpadli w ich łapska. Nietrudno się domyślić, jaki spotkał ich los.

Setki tysięcy węgierskich jeńców, którzy dostali się do sowieckiej niewoli, przeszły przez prawdziwe piekło. Honwedzi byli mordowani na miejscu lub wtrącani do straszliwych łagrów pod kołem biegunowym. Tam w ekstremalnych warunkach, przy mrozie spadającym do minus 50 stopni Celsjusza, odziani w łachmany i głodzeni – musieli wyrąbywać tajgę. Olbrzymia część z nich zmarła w męczarniach. A ostatni węgierski jeniec – András Toma – wrócił do ojczyzny w… 2000 r. Po 55 latach od dostania się do niewoli.

„Burza"

Nawet gdy na początku 1943 r. Polacy wystąpili do otwartej walki z Niemcami, oddziały węgierskie częstokroć zachowywały życzliwą neutralność wobec, jakkolwiek by było, wrogów swoich sojuszników. „Węgrzy na Wołyniu użyci do akcji wycofują się z natarcia przeciw naszym oddziałom, stwierdziwszy, że to Polacy, a nie Ukraińcy, nawiązują z naszymi oddziałami łączność i starają się być pomocni".

Jak to wyglądało w praktyce? Tak jak 22 lutego 1944 r. podczas polsko-niemieckiego boju pod Kalinówką. Towarzyszący oddziałowi Wehrmachtu węgierscy żołnierze nie wzięli udziału w walce, tylko dyskretnie wycofali się do lasu. Tam natknęli się na polski pluton. Polacy zostali rozbrojeni i wzięci „w areszt". Po zakończeniu polsko-niemieckiej bitwy Węgrzy zwrócili AK-owcom broń i ich zwolnili.

Bywały i sytuacje odwrotne – Polacy puszczali wolno wziętych do niewoli Węgrów. Tak postąpił między innymi słynny zagończyk Władysław Czermiński „Jastrząb".

W krytycznej sytuacji oddziału – pisał Jerzy Turowski w swojej książce „Pożoga" – Węgrzy stali się dla niego ciężarem. Nie mógł on wyżywić jeńców wojennych, sam nie mając źródeł zaopatrzenia. Węgrzy to rozumieli, a zachowanie ich wskazywało, że spodziewali się rozstrzelania. „Jastrząb" jednak zdecydował się wypuścić ich na wolność. Byli nieufni. Odchodząc pod wieczór, z wyraźną obawą wchodzili do wody, oglądając

eprasa.pl 7519f1e932

Oddział węgierski witany przez mieszkańców Kołomyi FOT. NAC

się niespokojnie do tyłu. Nikt jednak nie chciał strzelać do nich, szczególnie że byli to Węgrzy. Gdy oddalili się od wyspy, a później wyszli na brzeg rozlewiska, długo jeszcze machali rękami na pożegnanie, stojąc w czerwieni zachodzącego słońca. Potem znikli w lesie.

Z kolei Węgrzy wstawiali się za Polakami z 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK wziętymi do niewoli przez Niemców.

W Ziemlicy wozy z rannymi wjechały w mrowisko wojska niemieckiego i węgierskiego – pisał Jerzy Turowski. – Żołnierze niemieccy z okrzykiem „banditen" rzucali się do wozów, rabując resztki rzeczy osobistych, zdzierając nawet medaliki z szyi wystraszonych Polaków. Z pomocą przerażonym partyzantom przybył oficer węgierski, który przegonił żołdactwo od furmanek, kierując kolumnę dalej do wsi, gdzie zatrzymano ją w pobliżu kwater węgierskich. Tam polecił swoim żołnierzom oczyścić dwie stodoły, nanieść grubą warstwę słomy i siana, dokąd po kolei przynosili i układali rannych. Oficer węgierski oświadczył, że Węgrzy wiedzą, że mają do czynienia ze szpitalem partyzanckim, zapewnił, że nie zamierzają zrobić krzywdy Polakom. Wypytywał o stan rannych.

Węgier następnie rozstawił zbrojne straże, które miały czuwać nad bezpieczeństwem Polaków. Niestety, jeńców wkrótce przejęli Niemcy. Polskie sanitariuszki zostały odkomenderowane do szpitala polowego Wehrmachtu, a rannym kazano wziąć łopaty i kopać dla siebie masowy grób.

Kiedy tak zrezygnowani wykonywali swoją pracę – pisał Turowski – nadjechało konno trzech oficerów węgierskich. Jeden z nich, wyższy rangą, widząc scenę kopania grobu, bardzo się zdenerwował. Wzburzony głośno krzyczał coś do Niemców, a następnie rozkazał partyzantom rzucić łopaty i w dwójkach maszerować do tej samej stodoły, gdzie ponownie ustawiono wartę węgierską. Niemcy nie protestowali.

Oczywiście nie we wszystkich przypadkach relacje Polaków z Węgrami układały się sielankowo. Szczególnie w czasie operacji „Burza", gdy Armia Krajowa wystąpiła zbrojnie po stronie bolszewickich najeźdźców, dochodziło do polsko-węgierskich potyczek i bitew. Można jednak zaryzykować tezę, że obie strony biły się z ciężkim sercem. Bez nienawiści, a raczej z żołnierskiego obowiązku. Do jednej z takich potyczek doszło 23 marca 1944 r. w miejscowości Turopin. Teren ten chciał zająć polski oddział partyzancki Franciszka Pukackiego „Gzymsa". Niestety, na drodze stanął mu schron bojowy obsadzony przez załogę węgierską.

Z bunkra wyszedł oficer węgierski – pisał Jerzy Turowski. – Rozmowa obyła się w niedalekiej stodole, gdzie „Gzyms" przyjął go w otoczeniu swoich oficerów. Sam przed wojną był na Węgrzech, rozmawiano więc swobodnie, wspominając czasy Jagiellonów, a szczególnie generała Józefa Bema. Węgier wyciągnął manierkę z rumem, wszyscy wypili z nim toast za przyjaźń polsko-węgierską.

Niestety, sytuacja była jednak patowa. Porucznik „Gzyms" zażądał od Węgrów wycofania się ze schronu i z linii umocnień przy pobliskim moście na Turii. Dowódca schronu odmówił. Powołał się przy tym na rozkaz wojskowy, za którego złamanie zostałby rozstrzelany. W grę nie wchodziło również odbycie pozorowanej walki – czyli strzelanie w powietrze na wiwat – bo o wszystkim bez trudu dowiedzieliby się Niemcy.

– A więc będziemy się bić – zakończył rozmowy „Gzyms".

Do walki niestety doszło. Polakom po ciężkim boju udało się wyprzeć siły niemiecko-węgierskie. A jeden z pocisków wystrzelonych przez naszych artylerzystów niefortunnie trafił w sam środek schronu ze stanowiskiem dowodzenia węgierskiego oddziału.

Walkę – i to zaciętą – z węgierską piechotą stoczył również oddział 27. Dywizji, w którym służył Roman Domański.

Goniąc Węgrów przez coraz rzadszy las – wspominał – krzycząc „Hurra!", biegnąc, dotarliśmy do polany, na której aż roiło się od Węgrów i Niemców. Nie mogli do nas strzelać, bo wjechaliśmy na polanę na plecach uciekających Węgrów. Wykorzystaliśmy to, kosząc ich i Niemców, bezlitośnie. Mój sąsiad, erkaemista, nie nadążał z wymianą magazynków. Około 200 Niemców i Węgrów zginęło.

Wiadomo również o rozstrzelaniu przez żołnierzy 27. Wołyńskiej Dywizji AK węgierskiego jeńca, który podjął próbę ucieczki. Na szczęście jednak takie bratobójcze walki należały do rzadkości. Były odstępstwem od reguły.

Przyjazne stosunki między Polakami a węgierskim wojskiem panowały nie tylko na Wołyniu, lecz także w Galicji Wschodniej. Czyli w drugiej części okupowanej Polski, na której doszło do banderowskiej akcji eksterminacyjnej wymierzonej w polską ludność.

Obecność wojsk węgierskich w Małopolsce Wschodniej jest z punktu widzenia polskiego wysoce korzystna – napisano w podziemnym meldunku z maja 1944 roku. – Wszędzie, gdzie są Węgrzy, stan bezpieczeństwa wybitnie się poprawił. Węgrzy bezwzględnie tępią antypolskie wystąpienia band ukraińskich i zdarzają się często wypadki, że oddziały węgierskie specjalnie udają się do miejscowości, gdzie ludność polska może być zagrożona ze strony band ukraińskich, aby przewieźć ją wraz z mieniem do bezpiecznych ośrodków.

Dowództwo węgierskich jednostek stacjonujących w Galicji zwróciło się nawet z ostrym apelem do dowództwa niemieckiego, w którym domagało się podjęcia energicznych kroków na rzecz ratowania Polaków. Doprowadziło to do poważnego zadrażnienia w relacjach sojuszników.

Zaiste fatalnie się ułożyło, że podczas II wojny światowej Polacy i Węgrzy znaleźli się w przeciwnych obozach.

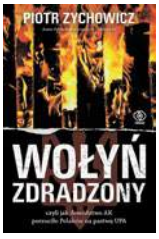

PIOTR ZYCHOWICZ
„WOŁYŃ ZDRADZONY"
REBIS

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7519f1e932

1940–1941 / Tajemnice konspiracji

Okulicki we Lwowie

Stefan K. Kozłowski

Mój ojciec w 1940 r. przyjął Okulickiego do naszego mieszkania we Lwowie. A Okulicki wydał go NKWD

Ostatnio – za sprawą wydania dzienników gen. Iwana Sierowa – znowu zrobiło się głośno o gen. Leopoldzie Okulickim. Słynny sowiecki czekista napisał bowiem, że generał był „prowokatorem NKWD". Poniżej fragment wspomnień mojego ojca, adwokata Antoniego Feliksa Kozłowskiego, który rzuca ciekawe światło na postać Okulickiego. Wspomnienie to dotyczy pobytu „Mrówki" – taki pseudonim wówczas nosił – w naszym mieszkaniu przy ul. Akademickiej 23 we Lwowie. Pojawiają się w nim fakty dotąd nieznane, koryguje on także niektóre dotychczasowe tezy.

Prowadząc od marca 1938 kancelarię adwokacką we Lwowie (ul. Akademicka 23), zaprzyjaźniłem się tak ja, jak i moja żona z często odwiedzającą moją kancelarię (prowadzoną w mieszkaniu) panią Bronisławą Wysłouchową, wdową po senatorze Wysłouchu, właścicielką drukarni, mającą szereg kłopotów wynikłych z prowadzonej działalności. Podczas załatwiania tych spraw zawiązała się między nami stała serdeczność i wzajemne zaufanie. Wysłouchowa znana była na terenie Lwowa również ze swej pracy społecznej. Bardzo ceniłem panią Wysłouchową. Bywała u nas bardzo często, tak u żony, jak i w kancelarii.

Po zajęciu Lwowa przez Sowietów zaprzestałem wykonywania mego zawodu i rozpocząłem pracę jako tokarz. Dowiedziałem się od kogoś, iż Wysłouchowa wyjechała ze Lwowa i jest w Generalnej Guberni.

Po wejściu Sowietów do Lwowa został przymusowo zakwaterowany w moim salonie sowiecki lejtnant o nazwisku Dubinski, który sprowadził z Rosji swoją żonę i dwuletniego synka, Fomę. Jak się potem dowiedziałem z jego wypowiedzi, pełnił obowiązki „politruka" w jakiejś jednostce zmotoryzowanej.

W codziennych kontaktach nie było między Dubinskimi a moją rodziną jakichkolwiek nieporozumień, przeciwnie – korzystali oni na każdym kroku z wszelkiej pomocy ze strony moich kobiet. Wieczorami często przesiadywali u nas, opowiadając o swoim kraju i panujących tam idealnych stosunkach życiowych. Musieliśmy wysłuchiwać tych wywodów i na to nie było rady.

Dom mój był pełen ludzi, ponieważ poza mną, żoną i małym wówczas naszym synem Stefanem mieszkali z nami: mój przyjaciel Bizanc, dwie kuzynki żony – H. Janowska i M. Haywas, oraz służąca. Żona moja i pani Haywas pracowały w aptece przy ul. św. Mikołaja.

Gdzieś na początku listopada 1940 r. w godzinach wieczornych pojawiła się u mnie pani Bronisława Wysłouchowa wraz z nieznanym mi mężczyzną ubranym w chłopski kożuch. Byłem tak jak i żona uradowany jej pojawieniem się. Po serdecznym przywitaniu się z nami przybyła oświadczyła, że jednak wróciła na „stare śmieci" do Lwowa i to ze swym kuzynem tu obecnym, który musi załatwić szereg spraw rodzinnych we Lwowie i poza nim. Ponieważ przyjechali dość niespodziewanie i nie ma gdzie umieścić chwilowo swego krewnego, a my dysponujemy dużym mieszkaniem, zapytuje, czy nie przygarnęlibyśmy na kilka dni jej krewnego. Powoływała się w tej sprawie na naszą serdeczną zażyłość.

Byłem prośbą tą nieco zaskoczony, wiedząc, że oboje przybyli „z za kordonu", niemniej zdając sobie sprawę z beznadziejnej sytuacji jej krewnego i pamiętając o więzach przyjaźni, nie znajdowałem wraz z żoną wystarczającej podstawy do odmowy ich prośbie. Uważałem jednak, z ostrożności, że muszę poinformować

Kamienica we Lwowie, w której Antoni Kozłowski udzielił gościny Leopoldowi Okulickiemu FOT. ZBIORY AUTORA

eprasa.pl 7519f1e932

Zdjęcie sygnalityczne Leopolda Okulickiego wykonane przez NKWD FOT. ARCHIWUM

Wysłouchową, iż w naszym mieszkaniu kwateruje oficer sowiecki, zresztą bardzo miły, ze swą rodziną, który pełni w swym oddziale obowiązki oficera politycznego.

Ze strony zainteresowanych uzyskaliśmy zapewnienie, że pomoc w zakwaterowaniu może potrwać raptem kilka dni, póki Wysłouchowa, mająca szereg znajomości w mieście, nie natrafi na odpowiednią inną kwaterę; obecność Sowieta jest bez znaczenia.

Nie wiedząc niczego więcej o przyprowadzonym krewnym, a mając zapewnienie obojga, iż sprowadzają go jedynie sprawy rodzinne, a ponadto na skutek nalegania mojej żony, zgodziłem się na kilkudniowy pobyt u nas krewnego pani Bronisławy. W tym momencie, poza informacjami Wysłouchowej oraz przedstawieniem nam przybysza jako pana Mrówki, nie byłem zorientowany, kim on jest.

Mrówka nocował w mojej kancelarii, rano wychodził, wracając po obiedzie. Często przychodziła pani Wysłouchowa, zabierając go ze sobą. Mrówka, rzecz oczywista, stykał się z Dubinskimi, niejednokrotnie prowadzili wspólne rozmowy, tak że się zawiązał między nimi jakiś węzeł przyjaźni. Na moje pytania pani Bronisława zapewniała nas, iż szuka nadal dla krewnego odpowiedniej kwatery, ale natrafia na szereg trudności. Mimo zastrzeżeń, jakie rodziły się we mnie, nie mogłem jednak wyrzucić człowieka na bruk.

Wtedy to, po porozumieniu się z panią Bronisławą, udałem się do zaprzyjaźnionych jeszcze z okresu moich studiów gimnazjalnych w Chyrowie Jezuitów, a to ks. Walczaka oraz ks. Kazimierza Konopki (byłego kapelana legionowego), z prośbą o pomoc w znalezieniu dla naszego lokatora odpowiedniej kwatery. Starania moje spełzły na niczym, gdyż Jezuici okazali raczej brak zainteresowania tego typu pomocą.

Chyba jeszcze na początku pobytu prosiła mnie Wysłouchowa o ułatwienie kontaktu z prof. Zychem (p.o. Okręgowego Delegata Rządu). Już dziś nie jestem w stanie przypomnieć sobie, jaką drogą załatwiłem jej prośbę.

Tak doczekaliśmy świąt Bożego Narodzenia.

Ponieważ okres świąt wiąże się zawsze z pewnymi przygotowaniami kulinarnymi, przygotowania te nie uszły uwagi pani Dubinskiej i byliśmy zasypywani pytaniami, co to jest za uroczystość to „Boże Narodzenie" i dlaczego przygotowuje się w domu na tę intencję specjalny „prazdnik". Okazane zainteresowanie uroczystością świąteczną spowodowało normalne zaproszenie Dubinskich na wilię. Uważaliśmy również za słuszne nie zapomnieć o obecności w tym dniu tak Wysłouchowej, jak i też Mrówki. Skromna uroczystość świąteczna przeszła zatem przy udziale wyżej wymienionych. Nastrój był istotnie „świąteczny", wszystkim rozwiązały się gadatliwe usta, przy czym część męska dość obficie korzystała z obecności na stole alkoholu. Pierwszy raz zauważyłem, że tak Dubinski, jak i nasz lokator zażywali go w dość obfitych dawkach. Rozpoczęły się w konsekwencji popisy śpiewacze. Dubinski – piosenki rosyjskie, Mrówka – legionowe.

Po zakończeniu wilii i odejściu Dubinskich do siebie Wysłouchowa poprosiła mnie, bym na chwilę wraz z jej „krewnym" przeszedł do jego pokoju, gdyż chcą mi coś pokazać. I za chwilę znalazłem się w sytuacji kompletnego szoku. Wysłouchowa oświadczyła bowiem, że dopiero dziś, za przyzwoleniem Mrówki, chcą mnie zawiadomić, kim on jest i w jakim celu zjawił się wraz z nią we Lwowie. Nie na tym koniec. Mrówka wyjął gdzieś z podszewki swego ubrania kawałek jedwabnego materiału, stanowiącego dowód jego nominacji przez Komendanta ZWZ na dowódcę okręgu lwowskiego. Na tym jedwabiu znajdował się jakby odpis pisma maszynowego o treści dotyczącej tej nominacji.

Wiedząc o istnieniu organizacji konspiracyjnych i dysponując normalnym stopniem wrodzonej inteligencji, przyznaję, że już po kilkudniowym pobycie Mrówki w naszym domu, jego stałym wychodzeniu na miasto, i to przeważnie pod opieką Wysłouchowej, powstały w mojej świadomości oczywiste i logiczne zastrzeżenia, czy poza uzyskanymi informacjami od Wysłouchowej o celu przyjazdu Mrówki jego obecność nie łączy się z pracą konspiracyjną. Nie uważałem jednak jak dotąd za wskazane poruszania tego tematu, opierając się na bezwzględnym zaufaniu, jakie żywiłem do pani Bronisławy.

Wiadomości, jakie w tej chwili od nich uzyskałem, stanowiły mimo wszystko oczywisty dla mnie szok, biorąc również pod uwagę fakt, iż Mrówka w chwili upojenia alkoholowego w sposób niedopuszczalny ujawnił się wobec, jakby nie było, przypadkowego znajomego z największej tajemnicy konspiracyjnej. Było to dla mnie jako Polaka wprost przerażające. Potraktowanie mnie jako człowieka godnego tak wielkiego zaufania tłumaczyć można chyba jedynie trwającym upojeniem alkoholowym. Zresztą nie dojdziemy, co było przyczyną zdradzenia tak wielkiej tajemnicy. Faktem jest, o czym zresztą wspominała Wysłouchowa, że Okulicki mimo szeregu niezaprzeczalnych walorów nie gardził alkoholem.

Po uzyskaniu tak niespodziewanej informacji uważałem za słuszne z miejsca zażądać od obojga jak najszybszego wyprowadzenia się z naszego domu, mając odpowiedzialność za całą moją rodzinę, a równocześnie stwierdziwszy, że Wysłouchowa nie ujawniła na

eprasa.pl 7519f1e932

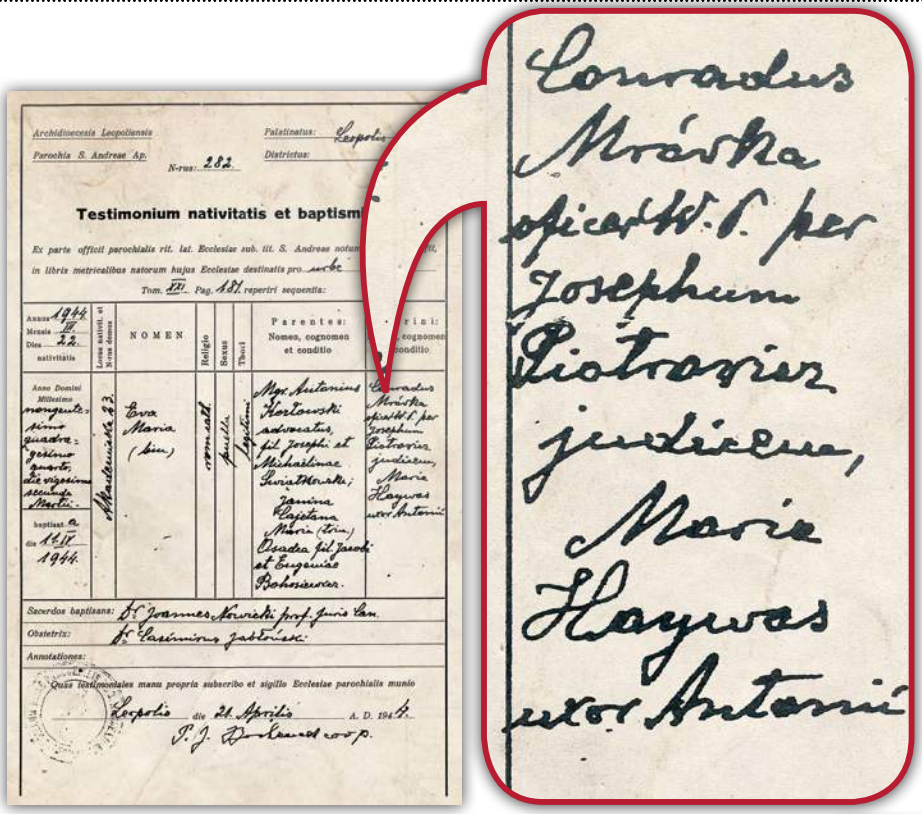
Archidiocesis Leopoliensis
Parochia S. Andreae Ap.
Palatinatus: Leopolis
Districtus:
N-rus: 282
Testimonium nativitatis et baptism
Ex parte officii parochialis rit. lat. Ecclesiae sub. tit. S. Andreae notum
in libris metricalibus natorum hujus Ecclesiae destinatis pro
Tom. XII Pag. 181 reperiri sequentia:
Anno 1944 Mensis III Die 22 nativitatis
NOMEN
Religio
Sexus
Thesis
Parentes: Nomen, cognomen et conditio
Anno Domini Millesimo nongentesimo quadragesimo quarto, die vigesima secunda Martii.
Mastowska 23
Ewa Maria (bin)
Mgr Antonius Kozłowski advocatus, fil. Joseph et Michaelinae Świątkowski; conjunx Captiana Maria (bin.) Osada fil. Jacobi et Eugeniae Bohniewicz.
baptisat. die 14 IV 1944
Sacerdos baptisans: Dr Joannes Nowicki prof. Juris Can.
Obstetrix: Dr Casimirus Jabłoński
Annotationes:
Quod testimoniales manu propria subscribo et sigillo Ecclesiae parochialis munio
Leopolis die 24 Aprilis A. D. 1944
P. J. Dorlemont coop.
Conradus Mrówka officiali W.C. per Josephum Piotrowicz judicem, Maria Hagywas uxor Antonii

wstępie prawdy, przez co oczywiście musiała stracić zaufanie, jakim ją przez lata darzyłem. Przyrzekła mi dostosować się w możliwie krótkim czasie do mego żądania. Przed opuszczeniem mego domu była jeszcze raz u mnie.

Na tym kończy się rzetelna opowieść o kontaktach moich z Okulickim, podczas jego pobytu w r. 1940 i początkach 1941 we Lwowie.

I jeszcze jeden drobny szczegół. Okulicki przy wcześniejszym powrocie z miasta przeważnie wdawał się w rozmowę w jadalni z mymi domownikami. Syn nasz Stefan miał wówczas raptem 2 lata i był bardzo przez Okulickiego lubiany. Wspomniał, iż ma podobnego synka w domu. Kiedyś, przy okazji prowadzenia zwykłych codziennych rozmów, wspomniała żona, iż w domu jedno dziecko to za mało, należy pomyśleć jeszcze o córce. Po tym oświadczeniu Mrówka-Okulicki powiedział, że jak urodzi się drugie nasze dziecko, zastrzega sobie prawo do wybrania właśnie jego na ojca chrzestnego. I tak się stało, gdy córka nasza Ewa urodziła się w 1944 r., a chrzest miał odbyć się w katedrze łacińskiej 11 kwietnia, w obecności ks. Rektora Jana Nowickiego, moi najbliżsi wybrali na ojca chrzestnego Okulickiego, działającego przy tej ceremonii przez prokurę (sędzia Józef Piotrowicz).

Sprawa miała swój zaskakujący ciąg dalszy. Generał Leopold Okulicki po opuszczeniu naszego domu zamieszkał w innym mieszkaniu na terenie Lwowa. Tam w nocy z 21 na 22 stycznia został aresztowany przez NKWD i wywieziony do Moskwy. Gdyby ojciec go nie usunął z domu, do aresztowania tego doszłoby zapewne u nas. I rodzina nasza miałaby kolosalne kłopoty.

Dzisiaj, po latach, znane są już zeznania, które Okulicki złożył w Moskwie w marcu 1941 r. Niestety, zdradził on sowieckim śledczym tożsamość mojego ojca.

Po przyjściu do Lwowa – czytamy w zeznaniu – razem z Wysłouchową zajechaliśmy do Kozłowskiego, Akademicka 23. Wysłouchowa zatrzymała się u niego, a mnie skierował z karteczką zdaje mi się ks. Walczaka do Jezuitów do ks. Konpoki. Nowy paszport miałem otrzymać przez Kozłowskiego i Szarego. Dałem fotografię, z dowodem zwłóczyli. Po przyjściu do Lwowa zostawiłem pieniądze u Kozłowskiego, który zgodził się prowadzić kasę.

Przez Kozłowskiego poznałem się z Hoszowskim, który pełnił funkcję mojego adiutanta, oraz z „Szarym" prof. Zychem.
Przed moim aresztowaniem sztab przedstawiał się następująco:
Szef sztabu „Zosia" – Klotz – „Niewiarowski".
Wywiad „Janka" – nazwiska nie znam.
Łączność „Bronka" – Wysłouchowa.
Pieniądze „Mechanik" – Kozłowski.
Organizacja w rękach szefa sztabu, pomagał Hoszowski.

Wszystko to było nieprawdą. Mój ojciec – choć potem, za okupacji niemieckiej, pomagał wyciągać ludzi z obozu na Janowskiej i przechowywał ich w swoim sklepie – nigdy nie był zaprzysiężony w Związku Walki Zbrojnej. Nie mówiąc już o pełnieniu tam jakichś funkcji sztabowych. Opowiadając podobne „rewelacje" o moim ojcu i podając śledczym z NKWD jego lwowski adres, Okulicki wydawał na niego wyrok. Paradoksalnie życie ojcu uratował wybuch wojny niemiecko-sowieckiej. W lipcu miasto znalazło się już w rękach Wehrmachtu. Sowieci nie zdążyli aresztować taty. Biurokratyczna machina sowiecka na szczęście działała bardzo powoli.

Okulicki wyszedł na wolność po podpisaniu paktu Sikorski-Majski. Dołączył do formowanej w Związku Sowieckim armii gen. Władysława Andersa. W złożonym na ręce rządu londyńskiego meldunku… oskarżył mojego ojca o to, że był sowieckim agentem! „Podejrzewam, że adwokat Kozłowski – napisał – był na służbie NKWD. Na to mam pewne dane prawie w 100%".

Antoni Feliks Kozłowski
FOT. ZBIORY AUTORA

Znowu podawał nieprawdę. W swoim meldunku o współpracę z NKWD Okulicki pomówił zresztą również prof. Władysława Zycha „Falko", przedstawiciela Delegatury Rządu na Kraj we Lwowie. Zaniepokojony tymi informacjami dowódca ZWZ gen. Stefan Grot-Rowecki zwrócił się 2 października 1941 r. do dowódcy Okręgu Lwów gen. Sawickiego z prośbą, aby zweryfikował oskarżenia „Mrówki".

Oskarżenia Okulickiego wobec prof. Zycha i mec. Kozłowskiego zostały obalone. Mój ojciec mieszkał dalej we Lwowie i – przez nikogo nieniepokojony – działał „za Niemca" w Radzie Głównej Opiekuńczej aż do wiosny 1944 r.

Jaki był motyw Okulickiego? Dlaczego fałszywie oskarżył mojego ojca? Mogła to być zemsta za wyrzucenie go z mieszkania. Nie można też wykluczyć, że Okulicki zdawał sobie sprawę z tego, że jego zeznania złożone w Moskwie prędzej czy później wyjdą na światło dzienne, a oskarżając mec. Kozłowskiego o współpracę z NKWD, chciał usprawiedliwić to, że zdradził jego tożsamość sowieckim śledczym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7519f1e932

NAJ NIE BIERZE SIĘ ZNIKĄD

NAJ musi być doskonałe z każdej strony. Paliwa LOTOS powstają w najnowocześniejszej rafinerii w Europie. Tworzą je zaangażowani w swoją pracę eksperci oraz ludzie z pasją.

LOTOS

Droga do NAJ jest długa. Dlatego jako pierwsi połączyliśmy Gdańsk z Warszawą **NIEBIESKIM SZLAKIEM** elektromobilności, tworząc sieć stacji ładowania samochodów elektrycznych.

NAJ Z KAŻDEJ STRONY

Starożytny Rzym / Śledztwo w sprawie watykańskich grobów

Miasto, do którego przybył Piotr

Paweł Lisicki

Najwięcej Żydów przed rokiem 70 po Chrystusie mieszkało w Palestynie, Judei i Galilei. W Rzymie było ich od 40 do 60 tys. – liczba ogromna

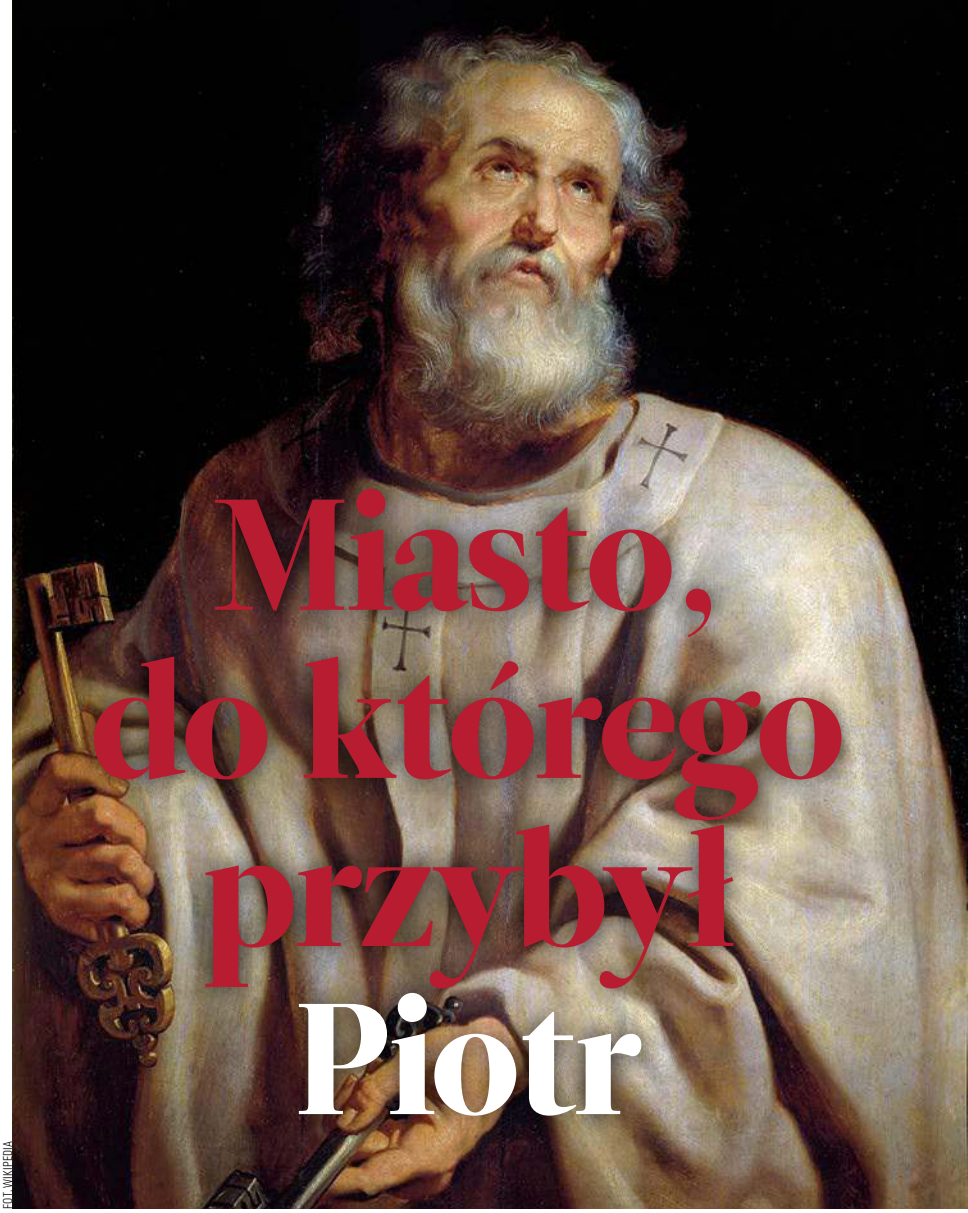

FOT. WIKIPEDIA

Watykan" to słowo pochodzenia etruskiego. Łacińskie „Vaticanus" pochodzi od etruskiego „Vatica" lub „Vaticum" – pokazuje to, że cały obszar wokół dzisiejszego pl. św. Piotra należał wcześniej do Etrusków. Obejmował on Montes Vaticani, czyli wzgórza, które rozciągały się od dzisiejszej Monte Mario do Gianicolo i położoną u ich stóp równinę (dzisiaj: Prati di Castello, Borghi, via della Conciliazione, nadbrzeża Tybru pod wzniesieniem Gianicolo). Wraz z upadkiem miasta Wejo (396 r. przed Chr.) terytorium Watykanu zostało włączone w obszar miasta Rzymu, pozostając jednak wciąż poza murami stolicy, zarówno tymi zbudowanymi w IV w. przed Chr. (tzw. mury serwiańskie), jak i znacznie później poza murami cesarzy Aureliana i Probusa, w latach 70. III w. po Chr. Zgodnie z podziałem wprowadzonym przez Augusta Watykan stał się XIV dzielnicą obejmującą cały obszar za Tybrem (trans Tiberim).

Na początku naszej ery Rzymianie starają się zmienić dotychczasowy charakter okolicy, nieużytków i pastwisk. Bogatsi Rzymianie kupują tu grunty i zlecają budowę podmiejskich willi. Teren ten skupia na sobie uwagę różnych bogatych osobistości rzymskich. Część ziem należy do rodziny Domiceuszów, między innymi do Domicji Lepidy, ciotki Nerona, którą ten w 59 r. zmusił do wypicia trucizny. Wszystkie te tereny stały się częścią jednego obszaru nazywanego ogrodami Nerona (horti Neronis).

Poza tymi „ogrodami Nerona" – pisze Guarducci – znajdowały się obszerne parki należące do M. Aquilio Regalo, człowieka chciwego i ambitnego, żyjącego w okresie od rządów Nerona aż do czasów Trajana. Mimo nazwy tereny te składały się nie tylko z parków i ogrodów w ścisłym tego słowa znaczeniu, lecz także z zagajników, nieużytków i pastwisk.

W pobliżu ogrodów i cyrku było też sanktuarium, frygianum, a więc miejsce kultu Kybele i Attysa. Najstarsze wspomnienie o tej budowli pochodzi z roku 160 po Chr., ale – jak zauważa Guarducci – bardzo prawdopodobne, że początki budowli sięgają czasów znacznie wcześniejszych. Jak pokazał Brandenburg, w roku 318 po Chr. kult Kybele w sanktuarium zanika, co może być znakiem, że wtedy rozpoczyna się tam budowa bazyliki Konstantyna.

eprasa.pl 7519f1e932

Dokładne badania archeologiczne wykazały, że groby budowano tu już wcześniej, w I w. po Chr. – dowodem na to jest pieczęć na jednej z płyt nagrobnych pochodząca z czasów cesarza Wespazjana (69–79 r. po Chr.). Z kolei pod zakrystią watykańską znaleziono nagrobek z inskrypcją umieszczoną tam przez wyzwoleńca cesarza Domicjana (83–96 r. po Chr.). Dzięki pracy archeologów udało się też odkryć w tym miejscu lampki nagrobne, które nosiły imię L. Munatiusa Threptusa – takie same znaleziono wcześniej w grobowcu Messaliny, trzeciej żony Nerona, zamkniętym w roku 70.

Pierwsze grobowce

Wynika z tego, że już w latach 60. I w. w okolicy tej mogły znajdować się pierwsze, rozproszone jeszcze groby. Pojawiły się one wzdłuż starożytnej drogi, zapewne via Cornelia, która wiła się między Tybrem a wzgórzami, Montes Vaticani. Via Cornelia pokrywa się zapewne z dzisiejszą via della Conciliazione, oprócz tego starożytna droga przechodziła przez pl. św. Piotra, przez oś bazyliki aż do miejsca, gdzie wznosi się kościół św. Szczepana, zwany też kościołem Abisyńczyków.

Z pozostałymi dzielnicami stolicy Watykan łączył tzw. most Nerona. Cały teren był mało przyjazny, bagnisty i niezdrowy. Jak pisał Pliniusz Starszy, na obszarze Watykanu mieszkały potężne węże, tak wielkie, że mogły połknąć całe dziecko. Z kolei Tacyt wspomina o „niesławnych terenach Watykanu" (infamibus Vaticani locis), na których stacjonujący tam w 69 r. po Chr. żołnierze umierali masowo od malarii. Ich ciała następnie miały wypełniać Tybr. Z kolei rzymski poeta Marcjalis pisał w swoich epigramatach, że wytwarzano tam wino znane ze swojej niskiej jakości, porównywane do trucizny, któremu przeciwstawił doskonałe wino z Falerno. Na miejscu, gdzie stoi obecna bazylika Świętego Piotra, znajdowały się gaje i lasy, tzw. ogrody Agrypiny Starszej, żony Germanika, matki Kaliguli i ciotki Nerona.

Łacińskie określenie „horti" ogólnie tłumaczy się jako „ogrody"; jednak w przypadku horti Nerona na Watykanie nie należy przyjmować, że chodziło o ogrody we właściwym tego słowa znaczeniu. W niektórych punktach, szczególnie wzdłuż brzegów Tybru, znajdowały się przyjemne gaje, fontanny, klomby kwiatów – reszta jednak to były nieużytki, pastwiska, zagajniki – wyjaśnia Guarducci.

To właśnie tam zaczął budowę cyrku, czyli toru wyścigowego dla rydwanów, Kaligula. Później kontynuował ją Klaudiusz i dokończył Neron. Według Pliniusza Starszego cyrk nosił nazwę Kaliguli i Nerona. Dzięki pracom wykopaliskowym z lat 60. XX w., które prowadził Ferdinando Castagnoli, wiadomo, że cyrk rozciągał się bezpośrednio na południe od dzisiejszej Bazyliki Świętego Piotra do pl. św. Marty. Nie był to duży dystans – był to cyrk, można powiedzieć, prywatny, który miał służyć do rozrywek imperatorowi i jego dworowi. Miał ok. 590 metrów długości i 95 metrów szerokości. W środku, jak to było w zwyczaju, znajdowała się ścianka działowa, spina, którą musieli okrążyć powożący rydwanami. Pośrodku niej stał mierzący 25 metrów wysokości i ważący 327 ton obelisk.

To ten sam, który obecnie stoi na samym środku pl. św. Piotra, dokładnie na wprost wejścia do bazyliki. Obelisk sprowadził z Egiptu do Rzymu Kaligula, a dokładny opis całej operacji przewozu przekazał Pliniusz Starszy: Kaligula miał przywieźć obelisk na statku o niezrównanej piękności i wyporności. Przez 16 wieków obelisk stał nieporuszony aż do chwili, kiedy to w 1586 r. na rozkaz papieża Sykstusa V przeniesiono go na wprost wejścia do bazyliki, gdzie stoi do dziś. Pracami kierował wówczas architekt Domenico Fontana. Jak pisze Pietro Zander, do przeniesienia obelisku potrzebna była praca 907 ludzi, 40 ciągników i 75 koni. Na dawnym miejscu, gdzie stał obelisk, czyli na pl. Pierwszych Rzymskich Męczenników, dokładnie przed wejściem do dzisiejszego Biura Wykopalisk, Ufficio Scavi della Fabbrica di San Pietro, pozostawiono tablicę upamiętniającą oryginalne miejsce obelisku.

Wychodząc z centrum miasta i przekraczając Tybr, starożytny Rzymianin mógł podążać dalej via Cornelia. Idąc przed siebie, ówczesny Rzymianin widział wzgórza, pastwiska, gaje, zapewne także niezbyt wielki, zbudowany w kształcie elipsy cyrk Nerona i położoną w pobliżu świątynię Kybele. Dostrzegał też dachy podmiejskich willi. Żaden z ówczesnych wędrowców i podróżników, żaden z dowódców wojsk i posłusznie podążających za ich rozkazami żołnierzy pogańskich nie mógł się domyślać, że mija miejsce, które kiedyś stanie się prawdziwym centrum świata. „Jak wszędzie indziej, również i w Rzymie chrześcijaństwo powstało w oparciu o istniejącą tam diasporę żydowską" – pisze ks. prof. Eugeniusz Dąbrowski. Na podstawie dokumentów można ustalić, że Żydzi zamieszkiwali tam od połowy II w. przed Chr.

O zamieszkiwaniu Żydów w Rzymie już w tym czasie świadczy okoliczność, że przymierze [Rzymu] z Szymonem nie przeszkadzało bynajmniej Rzymianom skazać na wygnanie wraz z astrologami chaldejskimi i Żydów z tej przyczyny, iż „obyczaj rzymski zatruwali oni kultem Jahwe Sebaot (Sabazii Iovis cultu)" – pisał ks. Dąbrowski. Czasowe skazywanie na wygnanie było sposobem Rzymian na obronę przed wschodnią propagandą, a Żydów zaliczano do jej propagatorów. Była to broń stosowana często, co najlepiej świadczy o jej nieskuteczności. Następna duża fala Żydów pojawiła się w Wiecznym Mieście po zwycięstwie Pompejusza nad Jerozolimą w 63 r. przed Chr. Przywiódł on ze sobą licznych jeńców, którzy chociaż po pewnym czasie odzyskali wolność, to pozostali nad Tybrem, dołączając do istniejących już synagog. Potędze i wspaniałości Rzymu nikt nie mógł się oprzeć, nawet ci, którzy przybyli tam jako pokonani i upokorzeni. Wódz, w którego orszaku szli jeńcy z Judei, był przecież tym samym, który wtargnął do samego środka świątyni, do Świętego Świętych, łamiąc w ten sposób wszelkie prawa i reguły. A jednak wielu Żydów wolało zostać w mieście nad Tybrem. Nigdzie też zapewne nie można było robić lepszych interesów i nigdzie lepiej nie dało się dbać o korzyści własnej społeczności.

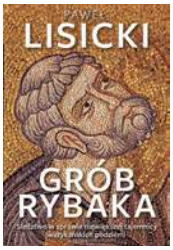

PAWEŁ LISICKI „GRÓB RYBAKA"
FRONDA

Musiała to być w owym czasie wspólnota liczna i wpływowa: kiedy po śmierci Heroda Wielkiego przybyła do Rzymu 50-osobowa delegacja, prosząc o uwolnienie od Herodowej dynastii i przywrócenie rządów teokratycznych, dołą-

eprasa.pl 7519f1e932

czyło do niej ok. 8 tys. Żydów stale w Rzymie zamieszkałych.

Bariera obrzezania

Organizacja Żydów rzymskich nie odbiegała w niczym od znanej nam skądinąd. Życie religijne i narodowe grupowało się przy synagogach, których liczba wzrastała ustawicznie. Rada Starszych (gerusia) czuwała nad zachowaniem Prawa mozaistycznego oraz podtrzymaniem ducha jedności narodowej wśród członków poszczególnych gmin synagogalnych. Wielu Żydów osiedliło się na Zatybrzu, inni w samym mieście lub u bram miejskich na skraju dróg komunikacyjnych, zwłaszcza w okręgu pierwszym Porta Capena, przy appijskiej drodze, ulubionym miejscu spacerowym bogatych Rzymian. Gaj Numy Pompiliusza z fontanną Egerii leżał w pobliżu, ściągając mieszkańców na wycieczki zamiejskie. Obsiedli go Żydzi, na pełnym powietrzu wykonujący swoje rytualne ablucje. Wywołało to cierpką uwagę Juwenalisa: „Nimby przepędzono stamtąd, a teraz gaj żebrze".

Niezależnie od edyktów banicyjnych i niechęci bardziej konserwatywnie nastawionych Rzymian Żydzi przetrwali w mieście dzięki możnym protektorom. Już Juliusz Cezar, a później August i jego następcy odnosili się do nich przychylnie. Korzystali z licznych przywilejów, z których wiele szczegółowo opisuje Józef Flawiusz. Dodatkowo liczni Rzymianie cenili i podziwiali żydowski monoteizm.

Prozelityzm żydowski spotkał się z przychylniejszym przyjęciem u wielu matron rzymskich i napisy wskazujące na przyjmowanie mozaizmu przez kobiety są w Rzymie dość częste: Paulina Veturia zmienia imię na Sara i wraz z całym swym domem wstępuje do synagogi.

Niewielu pogan decydowało się na tak radykalny krok, częściej można spotkać tych, którzy przyjmowali ogólne zasady wiary w jednego Boga, nie podporządkowując się obowiązkowi przestrzegania wszystkich przepisów żydowskich. Prawdziwą barierą był nakaz obrzezania, który skutecznie ograniczał liczbę konwertytów. Przyjacielem Kaliguli był Herod Agryppa, a ogromny wpływ na Nerona wywierała Poppea. Klaudiusz, który objął władzę po śmierci Kaliguli, nie tylko powierzył Agryppie rządy nad dużą częścią Palestyny, lecz także za jego namową wziął w obronę Żydów w ich sporach z aleksandryjczykami.

Bazylika św. Piotra w Watykanie FOT. ADOBE STOCK

Według historyków, których cytuje ks. Dąbrowski, liczba mieszkańców Rzymu wynosiła ok. miliona, z czego Żydów było ok. 20–30 tys. Ksiądz Dąbrowski słusznie zauważa, że skoro Tyberiusz mógł spośród nich wybrać 4 tys. młodych, zdolnych do noszenia broni, to wskazywałoby to na liczbę 50–60 tys. Wszystkie dane dotyczące statystyk i liczby ludności są hipotetyczne i niedokładne. Nie należy się zatem dziwić, że inne podaje współczesny amerykański historyk i socjolog Rodney Stark. Według niego populacja Rzymu wynosiła ok. 450 tys. ludzi. Obecne dane w większej mierze niż wcześniejsze uwzględniają dane archeologiczne: znając strukturę architektoniczną i urbanistyczną miast starożytnych, łatwiej obliczyć gęstość zaludnienia i liczbę mieszkańców. Zakłada się, że ludność całego Cesarstwa Rzymskiego w okresie rozkwitu, a więc w wiekach od I do III, liczyła ok. 50 mln mieszkańców, z czego Żydów było od 9 do 15 proc. Najwięcej przed rokiem 70 po Chr. mieszkało ich w Palestynie, Judei i Galilei, ale praktycznie we wszystkich dużych miastach imperium stanowili oni znaczącą część ludności. Wynikałoby z tego, że w Rzymie było ich od 40 do 60 tys. – liczba ogromna.

Grecko-rzymskie miasta były małe, ekstremalnie zatłoczone, ponad wyobrażenie brudne, chaotyczne, wypełnione obcymi i narażone na ciągłe katastrofy – pożary, epidemie, podboje i trzęsienia ziemi – te słowa Starka pokazują inną rzeczywistość niż ta, którą zwykle wyobrażają sobie miłośnicy antyku. A jednak to one trafnie opisują rzeczywistość życia miejskiego w okresie od I do IV w. po Chr. Stark pisze, że tylko dwa wielkie miasta w cesarstwie, Rzym i Aleksandria, liczyły więcej niż 150 tys. mieszkańców, a wiele miało ich poniżej 50 tys. Były to jednak małe miasta nie tylko z powodu niewielkiej liczby mieszkańców: zajmowały niewielki obszar i przez to były niezwykle wręcz zagęszczone – twierdzi Stark.

W środku ula

Amerykański autor podaje przykład Antiochii, która licząc 100 tys. mieszkańców, zajmowała obszar 3 na 1,5 km, co daje niemal 20 tys. osób na kilometr kwadratowy. Jeśli odejmie się 40 proc. powierzchni miasta przeznaczonej na ulice, świątynie i budynki publiczne, to zagęszczenie wzrasta do ponad 30 tys. osób na 1 km kw. W najgęściej zaludnionym mieście w Polsce, Świętochłowicach, mieszka 3,9 tys. ludzi na 1 km kw., a w Warszawie 3,3 tys. na 1 km kw. Dla porównania można podać, że w najbardziej zagęszczonym mieście świata – Dakce w Bangladeszu – na 1 km kw. żyje 44 tys. osób, w Bombaju – 31 tys., a w Medellin – 19,7 tys. mieszkańców na 1 km kw. I tak jednak pod względem gęstości zaludnienia Antiochia była daleko poniżej Rzymu, gdzie na 1 km kw. mieszkało od 50 do 75 tys. osób.

„Kto chce zrozumieć, co to oznaczało, niech wyobrazi sobie – pisał Stark – mieszkanie w środku zatłoczonej, morskiej plaży". Mieszkaniec starożytnego miasta wszędzie otoczony był przez tłum. Mógł mieć poczucie, jakby znajdował się w środku gigantycznego ula, gdzie zewsząd napierali na niego, patrzyli, podchodzili i dotykali go pozostali ludzie. Wielkie zagęszczenie było możliwe dzięki licznym, bardzo wąskim ulicom. Nawet słynne drogi prowadzące z Rzymu, takie jak via Appia i via Latina, były niewiele szersze niż ścieżki – miały ok. 4,8 metra szerokości. Rzymskie prawo wymagało, aby ulice w granicach miasta były szerokie na 2,8 metra, ale wiele było znacznie

eprasa.pl 7519f1e932

węższych. Najszersza ulica starożytnego świata w Antiochii miała ledwo 9 metrów szerokości. Żeby zobaczyć, jak w praktyce mogło wyglądać życie w takim mieście, wystarczy wybrać się do ruin starożytnych Pompei, gdzie dokładnie widać, jak wąskie były ulice. Uderzać musi też to, że aby przejść z jednej strony na drugą, zwykle wystarczało zrobić dwa niewielkie kroki, korzystając z położonego pośrodku drogi wysokiego kamienia, którego wysokość odpowiadała poziomowi bruku na wąskich chodnikach.

To wrażenie wszędobylskich współmieszkańców musiało być tym mocniejsze, że starożytne miasta na ogół nie były wysokie. Nic nie przypominało w nich centrów nowoczesnych metropolii, gdzie wznoszą się wielkie drapacze chmur. Na ogół, zauważa Stark, domy nie miały więcej niż trzy piętra. A mimo to mieszkańcy żyli w stanie ciągłego zagrożenia: budynki wznoszono naprędce, katastrofy budowlane były częste, a dodatkowo we wschodniej części imperium raz po raz zdarzały się trzęsienia ziemi. Najgorszym jednak nieszczęściem były pożary: tylko niektóre budynki publiczne, pałace i świątynie wznoszono przy użyciu kamienia, cała reszta zbudowana była z drewna. Stąd „strach przed pożarem był obsesją tak wśród bogatych, jak i biedaków" – pisze Stark.

[Starożytne miasta z niewielkimi wyjątkami niemożebnie wręcz śmierdziały. Rowy na ścieki biegły przez sam środek wąskich ulic, a wrzucano do nich wszystkie śmieci i odpady, również ludzkie ekskrementy wyrzucane w nocy z drugiego lub trzeciego piętra. Praktyka ta musiała być wyjątkowo rozpowszechniona, skoro często potępiali ją i skarżyli się na nią urzędnicy miejscy. Wodę wprawdzie doprowadzano akweduktami, ale następnie przetrzymywano ją w potężnych cysternach, gdzie szybko stawała się niezdrowa i niesmaczna. Tylko najbogatszych stać było na doprowadzenie wody rurami do domów, reszta czerpała ją bukłakami i dzbanami z publicznych fontann. Brakowało jej często do mycia i prania, co tłumaczy, dlaczego starożytni tak bardzo zwracali uwagę na perfumy, kadzidło i olejki.

Musiało to powodować też wysoką umieralność, a skoro wszystko odbywało się publicznie, na ulicach nieustannie natykało się na ludzi chorych, okaleczonych, z opuchniętymi oczami, podrapaną skórą, a także – dotyczyło to wielu weteranów – pozbawionych kończyn i okaleczonych. „Ze względu na wysoką śmiertelność miasta potrzebowały nieustannego dopływu nowej ludności, aby zachować swoją populację" – wskazuje Stark i tym tłumaczy skalę przestępczości. Brak oświetlenia, nieobecność policji, szybki napływ wielorakiej etnicznie i religijnie ludności sprawiały, że noce były prawdziwym koszmarem. „Każdy uciekał do domu, zamykał się w nim i barykadował wejście". Jeśli bogaci potrzebowali podróżować po mieście, towarzyszyły im oddziały uzbrojonych niewolników, którzy nieśli pochodnie i w każdej chwili gotowi byli odeprzeć atak rabusiów lub bandytów.

W tak właśnie wyglądającym Rzymie w pewnym momencie pierwszej połowy I w. po Chr. pojawili się też chrześcijanie, a wśród nich Szymon Piotr, najważniejszy z uczniów Jezusa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

10 ANNIVERSARY
IL VOLO
Musica TOUR
KONCERT
14 WRZEŚNIA 2019
ARENA GLIWICE
BILETY: PRESTIGEMJM.COM
IL VOLO WEBSITE: ILVOLOMUSIC.COM FB: /ILVOLOMUSIC INSTAGRAM: / @ILVOLOMUSIC
OPERA BLUES management

Prestige MJM · Gliwice · Arena Gliwice · Dziennik Zachodni · wprost · Do Rzeczy · WP · naszemiasto.pl · Ströer · Press Service · Vixon · pap · TVS · TV Toruń · Grupa Medialna · proart · ETV

eprasa.pl 7519f1e932

Teksas 1835 r. /

Teksańskie

Na czele barwnych typów znajdujemy Jamesa Bowiego, Sama Houstona i Davida Crocketta FOT. GETTY IMAGES

eprasa.pl 7519f1e932

Filmy o bitwie o Alamo

Termopile

eprasa.pl 7519f1e932

Przeciętny żołnierz meksykański był źle wyćwiczony i źle umundurowany FOT. WIKIPEDIA

Jakub Ostromęcki

Hancock dokonał korekt w biografiach kilku bohaterów tak, aby pasowali do współczesnego systemu wartości. Ich nieokrzesanie byłoby dla wielu widzów nie do przyjęcia

Naszymi Termopilami są Dytiatyn i Wizna, dla Amerykanów, w szczególności Teksańczyków, takim miejscem jest Alamo. W 1835 r. amerykańcy osadnicy w meksykańskim jeszcze wówczas Teksasie przystąpili do powstania czy też – jak mówi się na południe od Rio Grande – buntu. Zrazu chcieli jedynie odsunąć od władzy dyktatora Santa Annę, z czasem jednak zaczęli myśleć o niepodległości. Na przełomie lutego i marca 1836 r. w zapuszczonej starej misji położonej nieopodal miasteczka San Antonio szczupłe siły powstańców opierały się przez dwa tygodnie meksykańskiej armii. Wszyscy obrońcy z wyjątkiem jednego zginęli w walce lub zostali straceni po wzięciu do niewoli. Straty atakujących wielokrotnie przewyższyły obrońców. Na podstawie tych wydarzeń nakręcono kilka filmów. Najbliższy prawdzie jest ten z 2004 r.

O co ta wojna?

Filmowy narrator informuje dość ogólnie, że przyczyną buntu Teksańczyków jest wojskowa dyktatura generała Santa Anny nad Meksykiem. „Santa Anna podarł konstytucję Meksyku!" – grzmi jeden z delegatów na obrady świeżo powołanego rządu zwołane w San Felipe. Wtóruje mu reszta. Różnice zdań pojawiają się dopiero przy rozstrzyganiu kwestii operacyjnych. Jest to część prawdy. W 1835 r. Teksańczycy nie mówili wcale jednym głosem w sprawie Meksyku. Po przewrocie Santa Anny do wojny z nim parła większość osadników, ale ci bardziej zasiedzieli byli wciąż wierni liberalnej meksykańskiej konstytucji 1824 r. Nowi osadnicy, tacy jak Wiliam B. Travis marzyli o pełnej niepodległości. Generał Sam Houston jeszcze kilka miesięcy przed Alamo przestrzegał przed pochopnym ogłaszaniem radykalnych deklaracji, ponieważ taki krok mógłby zrazić rzesze meksykańskich liberałów, z którymi Teksańczycy szli ramię w ramię przeciw wojskowej dyktaturze.

Niepodległościowcem stał się dopiero w czasie walk w Alamo. Żaden z filmowych bohaterów nie wypowiada głośno opinii, którą głosił Lewis Cass, gubernator Michigan, podzielanej przez wielu Amerykanów na temat ich południowo-zachodnich sąsiadów: „Nie chcemy ludzi z Meksyku ani jako obywateli, ani jako poddanych. Wszystko, czego chcemy, to część terytorium z ludnością, która wkrótce się wycofa albo zidentyfikuje z naszą".

Księstwa Śląskie, Naddniestrze, Kosowo, Teksas – niezależnie od czasu i miejsca mechanizm jest ten sam. Gdy w jakiejkolwiek części państwa przybysze zaczynają ilościowo dominować nad autochtonami, a władze tych drugich nie mają za grosz autorytetu, homines novi bardzo szybko zaczynają myśleć o odseparowaniu się od państwa, które zamieszkują. Dzieje meksykańskiego stanu Coahuila-Texas potoczyły się właśnie według takiego scenariusza. Film koncentrujący się na losach bohaterów obecnych w Alamo, lub potem szukających odwetu pod San Jacinto, nie dotyka tych złożonych kwestii. Nie zobaczymy również potężnego wsparcia, które Teksańczycy otrzymywali z USA w postaci nowych ochotników. I w końcu słów przypisywanych prezydentowi Andrew Jacksonowi: „USA nigdy nie powinny rezygnować z okazji zajęcia Teksasu, a najlepszym sposobem uzyskania tego terytorium będzie jego faktyczna okupacja, po której

eprasa.pl 7519f1e932

powinny nastąpić negocjacje w sprawie jego sprzedaży, tak jak to miało miejsce w przypadku Florydy".

Niepodległy od 1821 r. Meksyk był państwem chorym i niewydolnym. Wymagał od amerykańskich osadników wierności religii katolickiej oraz zakazywał posiadania niewolników. Nie był jednocześnie w stanie wyegzekwować tych nakazów, bo meksykańska armia była równie podatna na patologie jak państwo, którego integralności miała bronić. Jak pisze Jarosław Wojtczak w monografii bitwy o meksykańskiej kadrze dowódczej: „Kreolscy oficerowie o niskim poziomie fachowości, za to pięknie wystrojeni i skłonni do poparcia każdego, kto gwarantował im pieniądze i przywileje. Przeciętny żołnierz meksykański był źle wyćwiczony i umundurowany, często głodny i prawie zawsze skłonny do rabunku. Dowódcy darzyli go pogardą i traktowali jak zwykłe mięso armatnie". Obraz Santa Anny w filmie nie jest zatem przesadzony. Ów bufon rzeczywiście twierdził, że jest Napoleonem Zachodu, i faktycznie porównał wartość życia przeciętnego żołnierza do kurczaka.

Reżyser John Lee Hancock uchylił się od odpowiedzi na dość palące pytanie: Jaki sztandar wywiesili Teksańczycy nad murami Alamo w czasie oblężenia? Wiele wskazuje na to, że była to flaga… Meksyku, z tą różnicą, że zamiast orła widniała tam data 1824 symbolizująca konstytucję, której osadnicy, przynajmniej ci starsi, byli wciąż wierni. Flaga ta na pewno znajdowała się na jesieni 1835 r. w pobliskim San Antonio de Bexar po zdobyciu go przez Teksańczyków i zgodnie z decyzją lokalnych władz miała powiewać nad teksańskimi okrętami. Kłopot polega na tym, że w lutym 1836 r. w Alamo pozostało bardzo mało dawnych osadników. Większość obrońców stanowili nowi przybysze nastawieni bardzo radykalnie. Mało prawdopodobne, aby byli skłonni oddawać życie za flagę Meksyku, choćby federalnego. Nie wiadomo zatem, czy nad ruinami misji nie wywieszono przypadkiem teksańskiej flagi z „samotną gwiazdą".

Trzej awanturnicy

Hancock dokonał korekt w biografiach kilku bohaterów, tak aby z grubsza pasowali do współczesnego sytemu wartości. Ich nieokrzesanie tudzież źródło utrzymania byłoby dla wielu widzów nie do przyjęcia.

Teksas lat 30. XIX w. był typowym dzikim pograniczem działającym jak magnes dla wszelakiej maści oryginałów niemogących znaleźć sobie miejsca w cywilizacji. Na czele takich barwnych typów znajdujemy Jamesa Bowiego, Sama Houstona i Davida Crocketta. W filmie James Bowie to przystojniak w długim rozchylonym płaszczu, w kapeluszu i z nieodłącznym straszliwym nożem ochrzczonym nazwiskiem swojego właściciela. Nie wiemy o nim za wiele poza tym, że ma potężny mir u osadników, stracił rodzinę podczas epidemii cholery, za kołnierz nie wylewa i choć jest honorowy, to nie przestrzega wojskowych regulaminów i łatwo sprowokować go do bójki. Taki twardziel pasowałby i do czasów współczesnych. Gdyby jednak w filmie wspomnieć o innych talentach Bowiego, to filmowy czar mógłby prysnąć. Aferzysta – ten epitet idealnie opisuje jego karierę. Słynny pionier, zanim trafił do Teksasu, zrobił fortunę na nielegalnym handlu niewolnikami i nic nie wskazuje na to, aby żałował potem tego procederu.

Prawo zakazujące importu niewolników weszło życie w 1808 r., więc Bowie dogadał się z piratami, od których bardzo tanio kupował Murzynów i przemycał ich w granice kraju. Idiotyczne prawo panujące wówczas w USA mówiło, że ten, kto poinformuje władze o nielegalnym „towarze", otrzyma w nagrodę połowę rynkowej wartości niewolnika. Bowie denuncjował więc… sam siebie. Przekazywał czarnych celnikom, ci musieli zaś „legalizować" ich pobyt, wystawiając ich na aukcji. Bowie kupował ich po raz drugi, zgarniał upust i już przez nikogo nieniepokojony jechał do Nowego Orleanu, gdzie sprzedawał niewolników kilka razy drożej. Zysk przeznaczał na zakup ziemi nad Missisipi, aby odsprzedać ją z zyskiem innym osadnikom. Okazało się jednak potem, że Bowie nie miał prawa do wielu działek, dokumenty zaś sfałszował. Gdy sprawa zaczęła śmierdzieć, dokumenty mogące obciążać Bowiego w dziwny sposób zniknęły z archiwów sądowych. Dodajmy jeszcze, że w czasie bitwy o Alamo słynny pionier był wykończony gruźlicą dużo bardziej, niż pokazano to w filmie.

Teksas jak magnes ściągał oryginałów niepasujących do cywilizacji FOT. MATERIAŁY PRASOWE

W filmie widzimy dość szorstkie teksańskie obyczaje polityczne, którym hołduje gen. Sam Houston. Gdy jeden z lokalnych polityków i dowódców James Grant wnioskuje o odwołanie Houstona z funkcji głównodowodzącego teksańskiej armii, ten nazywa go „szkockim sodomitą" i dalej „kimś gorszym nawet od pederasty". Grant, który z pochodzenia rzeczywiście był Szkotem, sięga po nóż i tylko interwencja Bowiego powstrzymuje obu dżentelmenów przed krwawą bójką.

To nie „Objawione Przeznaczenie" lub

eprasa.pl 7519f1e932

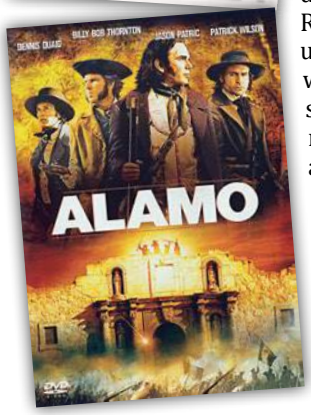

chęć przygody przywiodły Houstona do Teksasu. Powód był bardziej prozaiczny. Houston był skłonny do rękoczynów również w czasach, gdy był członkiem Izby Reprezentantów, gdzie – wydawałoby się – panowały zgoła bardziej cywilizowane normy. Jeden z kongresmenów, Stanbery, zarzucał mu czerpanie osobistych korzyści z rządowych dostaw dla Indian.

Houstona oskarżenie to bardzo zabolało, ponieważ sam był przyjacielem i rzecznikiem Czirokezów. Stanbery nie odpowiedział na pisemne wyjaśnienia Houstona, pojedynkować się też nie chciał, więc pewnego wieczoru został dotkliwie pobity orzechową lagą w samym centrum Waszyngtonu.

Houston nie szczędził przy tym nawet nieczystych ciosów w krocze. Za ów czyn, dzięki plecom we władzach partii demokratycznej, został skazany jedynie na grzywnę. Kary nie zamierzał jednak płacić, więc zwiał za Missisipi do meksykańskiego wówczas Teksasu.

W biografii Davida Crocketta nie trzeba było aż tyle zmieniać. Ów były kongresmen, uczestnik wojen z Krikami i sprzymierzeniec Czirokezów, był zarazem trybunem ludowym broniącym praw drobnych rolników zagrożonych utratą ziemi na skutek dziur w prawie. Był też autorem wniosku o rozwiązanie akademii West Point, co motywował tym, że jest to „bezpieczna przystań dla synów bogaczy opłacana z publicznych pieniędzy". O prezydencie Jacksonie wyraził się że „jest gorszy niż Cezar, Cromwell i Bonaparte". Takiego bohatera, podejrzliwego wobec elit, amerykańskie kino kocha.

Większą część z zarobionych przez siebie pieniędzy Crockett zawdzięczał sprzedaży opowiadań ze zmyślonymi i ubarwionymi przygodami, będącymi amerykańską wersją rewelacji naszego Radziwiłła „Panie Kochanku". Reżyser nie chciał, aby filmowy Crockett wyszedł na brutala, toteż przemilczał poradę, którą trybun z Tennessee zwykł dawać młodym ochotnikom: „Musisz przebić serce wroga tak, jakbyś przebił serce faceta, który napluł ci w twarz, powalił twoją żonę, spalił ci dom i nazwał twojego psa śmierdzielem! Nadziej jego trupa kulami jak kiełbasę, a na dodatek odgryź mu nos".

Ważną postacią w filmie jest też William B. Travis, dowódca obrony Alamo. Również i jego delikatnie upudrowano, obsadzając w jego roli wzbudzającego sympatię Patrica Wilsona. „Dumny, nadmiernie ambitny i przeświadczony o swojej misji dziejowej nie cieszył się sympatią ludzi, chociaż powszechnie podziwiano jego odwagę, pomysłowość i zdolności przywódcze" – pisał o pułkowniku Jarosław Wojtczak. Jego przyjaciel, cytowany w innej monografii przez Stephena L. Hardina, nie ukrywał, że Travis „był zdolny i szczery, ale także głośny i nieco nieokrzesany, odznaczał się gburowatym sposobem bycia". Ten z filmu ma jednak nienaganne maniery i jest wyważony. Reżyser, będąc do końca wierny takiej kreacji, każe Travisowi rzeczowo i zarazem życzliwie rozmawiać z płk. Jamesem Neillem, od którego przejmuje dowodzenie posterunkiem w Alamo. W rzeczywistości rozmowa ta toczyła się w dużo mniej przyjemnych okolicznościach, ponieważ Neil był wściekły, że musi oddać dowodzenie gburowi i arogantowi, który znany był z tego że porzucił własną żonę. Spór Travisa z Bowiem nie był z kolei aż tak gardłowy jak w filmie – nikt nie wyciągnął wtedy noża, choć kwestie dowodzenia naprawdę rozwiązano za pomocą głosowania, gdzie pyszałkowaty Travis oczywiście przepadł. Jak powiedzieliśmy jednak wyżej, stan zdrowia Bowiego był tak zły, że oddał on dowodzenie Travisowi.

Bitwa

Rekonstrukcję obrony Alamo potraktowano w filmie bardzo poważnie i drobiazgowo. Są tu wszystkie siły i słabości obu walczących stron. Teksańska biegłość w posługiwaniu się bronią palną, potężna motywacja i dość luźny stosunek do dyscypliny. Z drugiej strony meksykańskie tradycyjne podejście do walki, gdzie reżyser pamiętał nawet o tym, by przed zwartym szykiem piechoty liniowej ustawić strzelców wyborowych przesłaniających natarcie. Równie wiernie odtworzono „odwrót przez błoto" na zachód pod dowództwem Houstona, a także błędy aroganckiego Santa Anny, który podzielił swoje siły ufny, że złapie Teksańczyków niczym uciekającego zwierza.

Inaczej ma się sprawa z bitwą, która rozegrała się niedługo potem nad San Jacinto, gdzie doszło do rzezi Meksykanów. Tutaj dyscyplina opuściła na chwilę reżysera. Nie wiadomo bowiem, czemu Meksykanie, chroniący się wszak za barykadą i posiadający artylerię, mieliby ulec Teksańczykom szarżującym na nich pieszo przez otwarte pole?

Prawdziwe San Jacinto było pasmem koszmarnych błędów po obu stronach, ale to meksykańskie okazały się bardziej brzemienne skutkach. 21 kwietnia po południu Meksykanie, w większości nowi rekruci nienawykli do codziennych trudów wojaczki, pewni że w czasie sjesty wróg już nie zaatakuje, rozłożyli się na odpoczynek i zasiedli do posiłków. Nikt nie wystawił wart, a sam Santa Anna – zależnie od przekazów – albo był zajęty ognistą dziewką, albo palił opium. Dodatkowo obie strony dzielił wysoki garb ziemny, który przesłonił nacierających Amerykanów. Obozujące najbliżej barykady „świeże wojsko" na widok atakujących wpadło w panikę, pociągając za sobą resztę batalionów. Dobry dowódca po stronie meksykańskiej mógłby jeszcze uratować sytuację, ponieważ teksański szyk w tym momencie praktycznie nie istniał, czemu z kolei próbował zaradzić wściekły Houston. Dopiero seria przekleństw zmusiła ochotników do ustawienia się w linię i oddania salwy. Nastąpił pogrom Meksykanów. Od tego momentu filmu na powrót widzimy drobiazgowe odtworzenie ostatnich aktów bitwy łącznie z masakrą poddających się, motywowaną zemstą za identyczne postępowanie Santa Anny pod Alamo i Goliad, a także słynną scenę, w której schwytany meksykański dowódca kapituluje przed rannym Hustonem pod konarami drzewa, ratując życie za cenę zrzeczenia się Teksasu.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7519f1e932

XX w. / Tragedia narodu ormiańskiego

Stalin i Armenia turecka

Góra Ararat widziana z Erewania FOT. WIKIPEDIA

Mikołaj Iwanow

Związek Sowiecki wyrzekł się roszczeń terytorialnych wobec Turcji dopiero 30 maja 1953 r. Trzy miesiące po śmierci Stalina

Latem 1945 r. na pokojowej konferencji zwycięzców w II wojnie światowej w Poczdamie Stalin, ku ogromnemu zdziwieniu Trumana i Attlee, niespodziewanie poruszył kwestię sprawiedliwego zadośćuczynienia za ludobójstwo tureckie na narodzie ormiańskim, który w wyniku wielowiekowych prześladowań ze strony Turcji stracił prawie 80 proc. swego etnicznego terytorium. Teraz – powiedział sowiecki przywódca – kiedy narody zjednoczone zajmują się ustaleniem sprawiedliwych powojennych granic w Europie, nadszedł czas na zwrot historycznych ziem ormiańskich ich prawowitym spadkobiercom.

Ktokolwiek z Polaków odwiedzał Erewań, stolicę dzisiejszej niepodległej Armenii, jeszcze niedawno centrum związkowej republiki sowieckiej, być może zadawał sobie pytanie: Jak to się stało, że górująca nad miastem biblijna góra Ararat z czarującym śnieżnym wierzchołkiem znajduje się za granicą? Ararat – historyczny symbol Armenii, symbol wieczności i żywotności narodu ormiańskiego – znajduje się w Turcji.

Lenin „dobrodziej"

Paradoksalnie, Ararat razem z całym terytorium północnej Armenii został utracony przez Ormian nie w wyniku agresji tureckiej i ludobójstwa narodu ormiańskiego w czasie I wojny światowej, ale tzw. internacjonalistycznej polityki Lenina i jego bolszewickiej partii. Ormianie, jak już nieraz bywało w ich historii, zastali pokrzywdzeni w imię wielkiej polityki światowego komunizmu, dążącego do rewolucji światowej. W 1921 r. Rosja sowiecka podpisała z republiką turecką Kemala Atatürka traktat o przyjaźni i braterstwie, przewidujący wieczny sojusz w walce z siłami międzynarodowego imperializmu. Na podstawie tego traktatu z Rosji do Turcji szerokim strumieniem popłynęły: broń, amunicja, zaopatrzenie różnego rodzaju. Lenin nawet zgodził się przekazać Atatürkowi złoto dla wypłaty pensji tureckim urzędnikom. Pomoc bolszewicka odegrała kluczową rolę w zwycięstwie kemalistów w wojnie ormiańsko-tureckiej i grecko-tureckiej.

Przypomnijmy, że przed 1914 r. rosyjsko-turecka granica przebiegała o 150–200 km na południowy wschód od dzisiejszej granicy między niepodległą Armenią a Turcją. W składzie Imperium

eprasa.pl 7519f1e932

Rosyjskiego znajdowały się dwa regiony z przeważającą ludnością ormiańską, miasta Kars i Erzurum. Na tych terenach nie było również ludobójstwa, bo armia rosyjska w toku wojny zajęła prawie całą turecką Armenię, tylko Ormian już tam nie było. Zostali przeważnie wymordowani, a pozostali przy życiu – wysiedleni.

Ormianie to wyjątkowy naród. Już w IV w. król Armenii Tiridates III ustanowił chrześcijaństwo religią państwową, co uczyniło Armenię najstarszym chrześcijańskim państwem świata. Dzisiaj, w wyniku wielowiekowych prześladowań (przede wszystkim ludobójstwa Ormian podczas I wojny światowej przez imperium tureckie), naród ten – podobnie jak Żydzi – rozpłynął się po całym świecie. Z 10 mln Ormian na całym świecie w niepodległej Armenii mieszka ich zaledwie 3 mln (1 mln w stolicy Erywaniu). Ormianie są drugim co do liczebności narodem w Libanie i pseudoniezależnej Abchazji. Trzecim w Gruzji, Syrii i Jordanii. Język ormiański jest jednym z języków państwowych w Libanie i Iraku. Ponad 1 mln Ormian mieszka w Rosji. Bardzo wpływowa mniejszość ormiańska zamieszkuje Jerozolimę. Co najmniej 2 mln Ormian mieszka w Europie Zachodniej, przeważnie we Francji, w Niemczech, we Włoszech i w Holandii. W Polsce ormiańska diaspora znana jest od średniowiecza.

Był jednak w tragicznej historii narodu ormiańskiego moment, kiedy wydawało się, że uda się naprawić krzywdy i odbudować własne państwo na ormiańskim terytorium etnograficznym. W roku 1918, po porażce państw centralnych i Turcji w I wojnie światowej, zwycięzcy (USA, Brytania i Francja) rozpatrywały plan ostatecznego rozkrojenia Turcji i stworzenia na jej terytorium państwa ormiańskiego. W maju 1918 r. na terytorium pod kontrolą Rosji została proklamowana niepodległość Armenii. W zamyśle jej twórców państwo przy poparciu ententy miało obejmować wszystkie ziemie etniczne Ormian i zapewnić wysiedlonym mieszkańcom tych ziem bezpieczny powrót do domów.

10 sierpnia 1920 r. utworzenie niepodległego państwa ormiańskiego zostało potwierdzone we francuskim mieście Sèvres w traktacie pokojowym rozmów między ententą a Turcją. Zapisany w tym traktacie rozpad imperium osmańskiego przewidywał przekazanie Armenii większej części tzw. Armenii Zachodniej (Wan, Bitlis, Erzurum i Trapezund). Delegacja turecka ten traktat podpisała, jednak nowy rząd turecki na czele z Mustafą Kemalem Paszą odmówił jego ratyfikacji.

Rozpoczęła się kolejna wojna ormiańsko-turecka, w której siły były zupełnie nierówne. Heroizm pierwszych obrońców ormiańskiej niepodległości nie uratował młodej republiki. Na dodatek ormiańskim oddziałom ochotniczym wypadła walka na dwa fronty. Z północy Armenia została zaatakowana przez bolszewików, którzy demagogicznie twierdzili, że idą na ratunek narodowi ormiańskiemu przed groźbą nowego ludobójstwa. Paradoksalnie była to prawda. Rząd niepodległej Armenii zgodził się przyjąć ultimatum Lenina i ogłosić wolne od tureckiej nawały rejony kraju Ormiańską Sowiecką Republiką Socjalistyczną. Władze przejęli w kraju wkraczający z Armią Czerwona ormiańscy bolszewicy. Rozpoczął się wieloletni romans Ormian z komunizmem, który w rzeczywistości w dziwnych formach nie zakończył się do dziś.

Konflikt bolszewicko-ormiański miał również polski akcent. Armia Czerwona na Kaukazie walczyła pod dowództwem byłego oficera armii carskiej, polskiego bolszewika Michała Lewandowskiego.

Podpisany traktat o przyjaźni i braterstwie przez rządy bolszewików i kemalistów z jednej strony promował geopolityczne interesy dwóch byłych imperiów, ale z drugiej gwarantował bezpieczeństwo tej małej części narodu ormiańskiego, która znalazła się w granicach Rosji sowieckiej. Traktat przewidywał wyprowadzenie wojsk tureckich z rejonu aleksandropolskiego (dzisiejsze Giumri), okupowanego przez armię turecką w czasie niedawnej wojny. Bolszewicy ogłosili Armenię niezależną sowiecką socjalistyczną republiką znajdującą się pod protektoratem Rosyjskiej Sowieckiej Socjalistycznej Republiki. Ta niepodległość oczywiście była jedynie na użytek propagandowy. W rzeczywistości Armenia na ponad 70 lat została pozbawiona suwerenności.

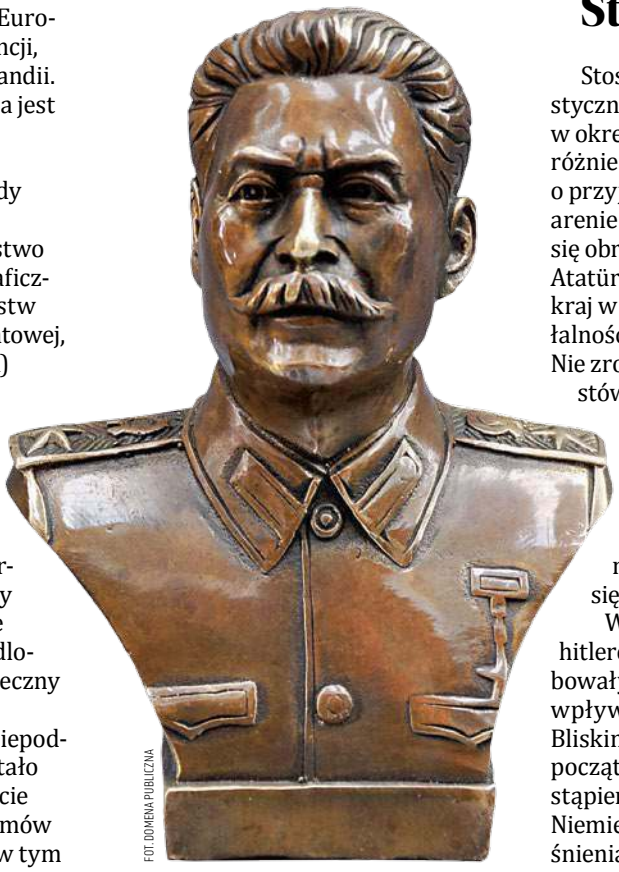

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Stalin się cofnął

Stosunki wzajemne między Kemalistyczną Turcją a Związkiem Sowieckim w okresie międzywojnia układały się różnie. Podpisywano nowe układy o przyjaźni, popierano się wzajemnie na arenie międzynarodowej, powiększały się obroty handlowe. Jednak w 1925 r. Atatürk, który powoli przekształcał swój kraj w państwo totalitarne, zakazał działalności wszystkich partii politycznych. Nie zrobiono wyjątku także dla komunistów. Setki zwolenników światowego komunizmu trafiły w Turcji za kraty. Finansowana przez Międzynarodówkę komunistyczną partia tureckich bolszewików zmuszona była zejść do podziemia, co oczywiście nie spodobało się Kremlowi.

W przededniu II wojny światowej hitlerowskie Niemcy ponownie spróbowały wciągnąć Turcję w orbitę swych wpływów i zrobić z niej forpocztę na Bliskim Wschodzie. Rząd turecki jednak początkowo odrzucił propozycję przystąpienia do „żelaznego paktu" – sojuszu Niemiec, Włoch i Japonii. Zamiast zacieśnienia współpracy z Berlinem w 1939 r.

eprasa.pl 7519f1e932

został podpisany brytyjsko-francusko-turecki układ o wzajemnej pomocy. Przedłużono również układ o przyjaźni i współpracy z Moskwą.

Początek wojny i błyskotliwe sukcesy armii niemieckiej na polach bitewnych w Europie spowodowały wzrost proniemieckich nastrojów w tureckich elitach politycznych. W Ankarze poważnie rozpatrywano opcję przyłączenia się do III Rzeszy i dokonanie rewanżu za porażkę w I wojnie światowej.

18 czerwca – cztery dni przed napadem Niemiec na Związek Sowiecki – III Rzesza i Turcja podpisały traktat o przyjaźni i nieagresji. W Berlinie rozpatrywano ten traktat jako podstawę do wciągnięcia Turcji w wojnę przeciwko Związkowi Sowieckiemu. Jesienią 1941 r., w szczytowym okresie niemieckich zwycięstw na froncie wschodnim, kiedy wydawało się, że ostateczne zwycięstwo nad Związkiem Sowieckim jest bliskie, do Niemiec udała się rządowa delegacja turecka w celu uzgodnienia dalszych warunków współpracy. Delegacja odwiedziła także front wschodni. Wydawało się, że przystąpienie Turcji do wojny po stronie III Rzeszy jest tylko kwestią czasu. Turcja przeprowadziła częściową mobilizację. Liczebność armii tureckiej osiągnęła 1 mln żołnierzy. Ku granicy ze Związkiem Sowieckim ściągnięto kilkanaście dywizji. Zanotowano liczne lokalne zbrojne starcia z obu stron.

Kolejną częściową mobilizację ogłoszono latem 1942 r. Niektórzy historycy są zdania, że Ankara czekała na wynik bitwy stalingradzkiej, aby ruszyć na pomoc muzułmańskim narodom Kaukazu, które nie wykazywały zbytniej lojalności wobec władzy bolszewickiej. Na terytorium Czeczenii trwała prawdziwa wojna partyzancka przeciwko cofającym się oddziałom Armii Czerwonej.

Nie najlepiej układały się również stosunki na odcinku Ankara–Londyn. Brytyjczycy zażądali od Turcji ograniczenia wymiany handlowej z III Rzeszą. Chodziło przede wszystkim o dostawy surowców strategicznych dla niemieckiego przemysłu wojennego (np. ruda chromu). Wielka Brytania nawet chciała wykupić całe wydobycie rudy chromu w Turcji. Ankara jednak się nie ugięła i nadal aktywnie handlowała z Niemcami.

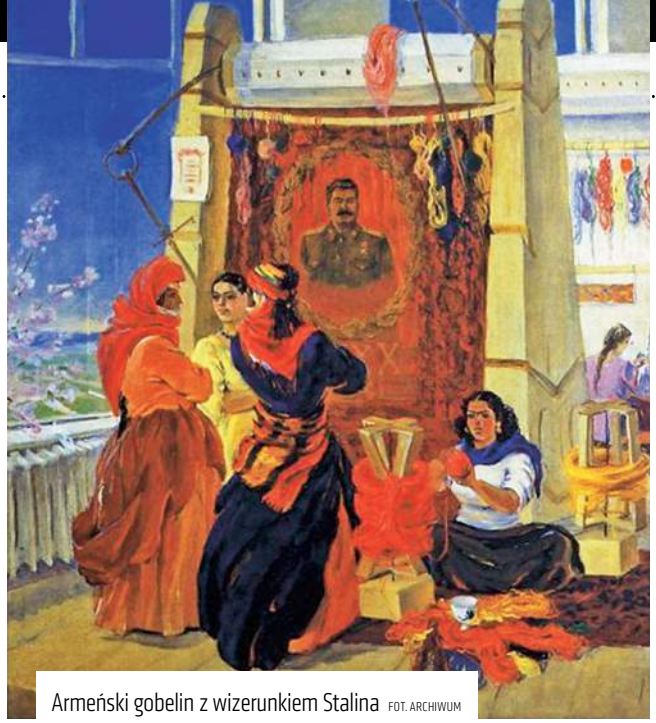

Armeński gobelin z wizerunkiem Stalina FOT. ARCHIWUM

Tragiczne doświadczenia I wojny światowej powstrzymały rząd turecki przed dołączeniem się do koalicji prohitlerowskiej. Turcja była gotowa do agresji przeciwko Związkowi Sowieckiemu jedynie w przypadku kolejnych zwycięstw armii niemieckiej. Zamiast zwycięstw Niemcy ponieśli druzgocącą klęskę pod Stalingradem zimą 1942/1943, musieli się wycofać z Kaukazu, opuścić swych sojuszników wśród muzułmańskich narodów, których Stalin w odwecie zdecydował się wysiedlić na Syberię i do Kazachstanu. Ten sam los spotkał również Tatarów krymskich, których znacząca część na próżno czekała na swym półwyspie na opiekę ze strony odwiecznego starszego brata – Turcji.

Latem 1944 r. wynik wojny był już przesądzony. Armia Czerwona po błyskotliwych zwycięstwach na Białorusi stanęła u bram Warszawy, pozwalając Niemcom zniszczyć polską stolicę, centrum polskiego niepokornego ducha i niepodległości. Alianci wylądowali w Normandii i ruszyli w głąb Francji. W obawie o swe bezpieczeństwo Turcja zerwała stosunki dyplomatyczne z III Rzeszą.

Stalin jednak miał swoje plany wobec niedawnego najbliższego sojusznika Lenina. W Moskwie snuto wizję całkowitej odbudowy imperium carskiego. Pozbawiono niepodległości kraje bałtyckie, próbowano siłą włączyć w granice Związku Sowieckiego Finlandię, pierwotna wersja układu Ribbentrop-Mołotow przewidywała włączenie w skład ZSRS całej wschodniej Polski wraz z Warszawą. W 1945 r. nadarzyła się sprzyjająca okazja do odnowienia starej rosyjsko-tureckiej granicy sprzed 1914 r. Zadośćuczynienie za ludobójstwo dla ormiańskiego narodu miało być dobrym pretekstem do legitymizacji roszczeń Stalina wobec Turcji.

Na początku 1945 r. na Kaukazie, mimo toczącej się wojny z III Rzeszą, odbywały się przygotowania do ewentualnego konfliktu zbrojnego z Turcją. Z terenów przygranicznych wysiedlono cały naród Turków-meschetyńców, podejrzany o protureckie sympatie. Ku granicy przerzucano doborowe jednostki, zahartowane w bojach z Niemcami, dowożono ciężki sprzęt i zaopatrzenie dla wielkiej armii kaukaskiej. Zapowiadała się krótka, zwycięska (kolejna 13.) wojna rosyjsko-turecka. Do starć jednak nie doszło. Wyprzedzając atak sowiecki, Turcja 23 lutego wypowiedziała wojnę upadającej III Rzeszy i tym samym dołączyła do koalicji antyhitlerowskiej, teoretycznie stając się sojusznikiem Moskwy w II wojnie światowej.

Wywołało to prawdopodobnie wściekłość Stalina, który nie chciał rezygnować z planów poszerzenia Związku Sowieckiego. 19 marca ZSRS wypowiedział Turcji układ o przyjaźni i współpracy. Jednocześnie minister spraw zagranicznych i drugi po Stalinie wpływowy członek biura politycznego Wiaczesław Mołotow skierował do Ankary notę dyplomatyczną sugerującą korektę traktatu z 1921 r. i powrót do granic sprzed 1914 r. Jednocześnie Moskwa zaproponowała Turcji wspólną kontrolę nad cieśninami Bosfor i Dardanele.

Stalin nie znalazł jednak dla swych roszczeń terytorialnych poparcia u sojuszników zachodnich. Atakowanie Turcji bez akceptacji Zachodu Stalin uznał za zbyt ryzykowne. Z rozpoczęciem zimnej wojny sowieckie roszczenia stały się jedną z przyczyn przyłączenia się Ankary do NATO i do rozmieszczenia stałych baz wojskowych NATO na jej terytorium. Oficjalnie Związek Sowiecki wyrzekł się roszczeń terytorialnych wobec swego południowego sąsiada dopiero 30 maja 1953 r., niespełna trzy miesiące po śmierci Stalina.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7519f1e932

1926–1934 / Polskie lotnictwo

Pilot por. Franciszek Żwirko i inż. Stanisław Wigura przy RWD-6 FOT. NAC

Laury i katastrofy

Tomasz Stańczyk

Nasi piloci pokonali Atlantyk. Zwyciężyli w dwóch zawodach Challenge na polskich samolotach RWD

Porucznik Bolesław Orliński służący w 11. Pułku Lotniczym w Lidzie został wezwany latem 1926 r. do Warszawy. Zapraszał go płk Ludomił Rayski. Miał dla niego niezwykłą propozycję: lot do Tokio. Rayski sam chciał lecieć do Japonii, ale właśnie został szefem departamentu lotnictwa w Ministerstwie Spraw Wojskowych i przełożeni nie zgodzili się na lotniczą wyprawę do Kraju Kwitnącej Wiśni.

„Głęboki niepokój dręczył mnie, czy zdołam wywiązać się z powierzonego mi zadania. Przecież skutkiem decyzji szefa stałem się znienacka jednym ze współzawodników o międzynarodowe pierwszeństwo w powietrzu" – wspominał Orliński w książce „Do Krainy Wschodzącego Słońca". Orliński zdecydował się na brégueta XIX, samolot, na którym Rayski rok wcześniej dokonał długodystansowego rajdu nad Morzem Śródziemnym.

Orliński i mechanik Kubiak wystartowali z Warszawy 27 sierpnia 1926 r. do wieloetapowego lotu. Ich trasa przebiegała przez Moskwę, Kazań, Omsk, Krasnojarsk, Harbin (gdzie żyła kolonia polska), Seul i kończyła się w Tokio.

Po drodze, na sowieckich lotniskach, spotkali żołnierza, który opowiadał, jak bardzo dały im się we znaki nasze samoloty w 1920 r., i pilota, który stoczył walkę powietrzną z Polakami. Byli też obiektem podejrzliwości czekistów: „Polaki?! Ano to musimy poddać tych panów szczegółowej rewizji, a także zrewidować dokładnie ich aeroplan. To jest jakaś nieczysta sprawa. Taki lata i lata, a ty człowieku… później odpowiadaj…" – rela-

eprasa.pl 7519f1e932

cjonował Orliński to spotkanie. Po pokonaniu ponad 10 tys. km dotarli do Tokio. Japończycy uhonorowali polskich lotników Orderami Wschodzącego Słońca i medalami Cesarskiego Towarzystwa Lotniczego. W drodze powrotnej doszło do nieoczekiwanych wydarzeń. Jeden z mechaników na lotnisku zerwał gwint mutry mocującej przewody olejowe i Kubiak musiał je prowizorycznie łączyć. I tak jednak z ciśnieniem oleju były problemy. Musieli awaryjnie lądować. Braki oleju, który wyciekał, uzupełnili... olejem rycynowym, którego cały zapas wykupili w aptece. Potem, już w Rosji, w Byrce, stepowy wiatr rzucił nieprzymocowanego brégueta o płot. Odłamał się kawałek skrzydła. Buriatki zszyły płótno na skróconym skrzydle, z drugiego skrzydła Orliński zerwał część płótna, by zachować równowagę w sile nośnej.

Połatano też pękniętą łopatę śmigła i tak dolecieli do Warszawy, mimo że „silnik pluł opiłkami metalu z zacierających się tłoków".

Przez Atlantyk

Z pomysłem przelotu nad Atlantykiem wystąpił kpt. Ludwik Idzikowski (awansowany 1 stycznia 1928 r. do stopnia majora), przełamując opór władz wojskowych. Zakupiony samolot Amiot 123 nazwano „Marszałek Piłsudski". Idzikowski wystartował wraz z Kazimierzem Kubalą w sierpniu 1928 r., jednak musieli przerwać lot i wodować koło statku z powodu awarii silnika. To była ich wersja. Jak wspominał gen. Ludomił Rayski, który dał zgodę na lot, komisja badająca samolot nie stwierdziła takiego uszkodzenia. Rayski twierdził, że lotnicy nie mogli odnaleźć Azorów, nad którymi mieli przelatywać, i zdenerwowani zawrócili. Jednak sądząc, że zabłądzili, wodowali koło napotkanego statku...

Drugą próbę podjęli Idzikowski i Kubala rok później, w lipcu 1929 r. Niestety, tym razem z całą pewnością zawiódł silnik. Idzikowski zdecydował się więc na lądowanie na wyspie Graciosa na Azorach. Lotnicy nie zauważyli niewielkiego murku, o który samolot się przewrócił. Idzikowski zginął na miejscu.

Kolejną próbę podjął kpt. Stanisław Skarżyński. Podczas Bitwy Warszawskiej, pod Radzyminem został poważnie ranny w nogę. Groziło mu przeniesienie do rezerwy. Zawziął się jednak. Ukończył szkołę pilotów, potem służył w eskadrze myśliwskiej. Jego celem było pokonanie Atlantyku. „Gdy w 1931 r. leciałem wraz z kpt. Markiewiczem wzdłuż wybrzeży Atlantyku, w Afryce marzenia te odżyły. Oczy mimo woli zwracały się w stronę oceanu, który kusił gładką, spokojną powierzchnią rozpostartą pod błękitem nieba" – wspomniał Skarżyński w książce „Na RWD-5 przez Atlantyk". Afrykański lot odbył Skarżyński na samolocie PZL Ł-2, pokonując prawie 26 tys. km.

Kapitan Bolesław Orliński w roli pilota w filmie „Orlątko" z Hanką Ordonówną

FOT. NAC

Skarżyński wiedział, że po niepowodzeniach Idzikowskiego i Kubali wojsko nie będzie chętne do zaangażowania się w ryzykowny projekt. Zwrócił się więc do gen. Gustawa Dreszera, prezesa Ligi Morskiej i Kolonialnej, o protektorat. Generał zgodził się chętnie. Żałował tylko, że samolot będzie jednomiejscowy, więc nie może polecieć ze Skarżyńskim przez Atlantyk.

Skarżyński przestawił projekt „kochanym erwudziakom" – inżynierowi Jerzemu Wędrychowskiemu, dyrektorowi Doświadczalnych Warsztatów Lotniczych (produkujących samoloty RWD), oraz konstruktorom Stanisławowi Rogalskiemu i Jerzemu Drzewieckiemu. Ustalili, że najlepszy będzie odpowiednio przystosowany RWD-5. Na miejscu fotela pasażera wbudowano dodatkowy 300-litrowy zbiornik.

Na RWD-5 bis Skarżyński poleciał do Saint Louis we francuskim Senegalu. Tam przyznał się komisarzowi sportowemu, panu de Vieux, delegatowi francuskiego aeroklubu, że nie zamierza dokonać rekordowego lotu z Saint Louis do Lyonu, lecz chce lecieć do Ameryki Południowej. Zdumienie Francuza nie miało granic. Nazwał Polaka szalonym. „Jak można w takiej łupince lecieć przez ocean? Jak się pan będzie orientował w locie bez sekstansu, bez radioaparatu? Nie ma pan spadochronu ani łodzi ratunkowej na wypadek katastrofy? To szaleństwo!" – relacjonował Skarżyński reakcję de Vieux. Francuz był jednak zaskoczony, że polski lotnik ma doskonałe rozeznanie w sile i kierunku wiatrów nad Atlantykiem, co było zasługą Głównej Wojskowej Stacji Meteorologicznej.

Skarżyński wystartował 7 maja 1933 r. RWD 5 bis mógł przelecieć 5 tys. km. Do brzegów Ameryki Południowej było 3,2 tys. km. Lotnik miał więc dużą rezerwę w razie zagubienia się podczas lotu. Senność i monotonię lotu zwalczał wyciągiem z orzeszków kola. Przedzierał się przez strefę ulewnych deszczów i musiał posługiwać się sztucznym horyzontem.

„Nerwowo w czasie lotu czułem się zupełnie dobrze, ponieważ nie miałem

eprasa.pl 7519f1e932

żadnego powodu do nadwyrężania nerwów. Uważałem bowiem, że jeśli rozważyłem lot dostatecznie pod względem przygotowania maszyny i nawigacji, jeśli stwierdziłem, że mam wszelkie szanse i wierzyłem, że lot musi się udać – to nie miałem żadnych powodów do obaw" – stwierdzał Skarżyński. I dodawał tajemniczo: „Spokój mój przy locie był tym większy, że miałem decyzję dalej idącą – nie chciałem być wyławiany z wody".

Być może lot Skarżyńskiego skończyłby się w oceanie, gdyby nie to, że – jak wspomniał gen. Rayski – dowództwo lotnictwa postanowiło skontrolować samolot przez wylotem z Warszawy. Okazało się, że w angielskim silniku przerobiono, już w Polsce, regulację gazu i zapłonu na system kontynentalny, ale pozostawiono angielski system zubożania mieszanki. „Wobec tego po kilku godzinach lotu przepaliłyby się zawory wylotowe, moc silnika zmalałaby gwałtownie. Dla jej zachowania pilot dałby pełny gaz, zużycie paliwa wzrosłoby niepomiernie i niespodziewanie. Przelot skończyłby się katastrofą" – twierdził Rayski w „Słowach prawdy o lotnictwie polskim 1919–1939".

Skarżyński pokonał prawie 3,6 tys. km. Lot trwał ponad 20 godzin, w tym nad Atlantykiem 17 godzin. Skarżyński ustanowił międzynarodowy rekord odległości w klasie samolotów turystycznych o masie własnej do 450 kg.

Polski lotnik wylądował w Maceió w Brazylii. Na lotnisku spytano go, skąd przyleciał. Nie uwierzono mu, tym bardziej że z samolotu wyszedł w garniturze. Dopiero telegram z Saint Louis przekonał pracowników lotniska, że polski lotnik rzeczywiście pokonał Atlantyk.

Kapitan Stanisław Skarżyński i jego RWD-5 bis

FOT. CENTRALNA BIBLIOTEKA WOJSKOWA

Triumf i katastrofa

Pierwszy raz Polacy startowali w Międzynarodowych Zawodach Samolotów Turystycznych Challenge w 1930 r. Nie odnieśli sukcesów. Najlepszy był Stanisław Płonczyński, pilot PLL LOT, który na RWD-2 znalazł się w drugiej dziesiątce.

Na Challenge w 1932 r. inżynierowie Stanisław Rogalski, Stanisław Wigura i Jerzy Drzewiecki skonstruowali samolot RWD-6. Na krótko przed zawodami, podczas lotu wykonywanego na tej maszynie przez Drzewickiego, urwały się skrzydła. Szczęściem samolot był bardzo nisko nad ziemią i Drzewiecki, choć ranny, przeżył. Komisja Ministerstwa Komunikacji uznała, że winą było samoczynne przestawienie się statecznika poziomego, co spowodowało nadmierne obciążenie skrzydeł. Sprawdzanie obliczeń wytrzymałościowych nic nie dało.

Na jednym z samolotów RWD-6 startowali w Challenge por. Franciszek Żwirko i inż. Stanisław Wigura. Żwirko miał już na koncie sukcesy sportowe. Zwyciężył w dwóch konkursach krajowych awionetek i samolotów turystycznych. Zawody rozgrywały się w Berlinie, ponieważ Niemcy wygrali poprzedni Challenge, nokautując zresztą konkurencję.

Emocjonujące były starty na ośmiometrową bramkę, nad którą trzeba było przelecieć, startując około 100 m przed nią.

„Z odległości 115 m stratuje Żwirko [...]. Zda się, że maszyna nie nabrała jeszcze pełnego rozpędu, gdy tuż przed bramką wspaniałą świecą wystrzela do góry. [...] Ten moment przejścia nad sznurkami bramki jest najwięcej denerwujący; maszyna traci szybkość, zdaje się, że lada chwila, a zwali się na skrzydło" – opisywał w piśmie „Lot Polski" Adam Wojtyga, szef polskiej ekipy, jedną z prób w konkursie.

Równie trudny był lot na minimalnej szybkości. Kilka samolotów straciło siłę nośną i zwaliło się na ziemię. Gdy leciał Żwirko, „wszyscy byli wpatrzeni i oszołomieni, w jaki sposób ten człowiek trzyma się w powietrzu". RWD-6 leciał z prędkością 57 km/godz., podczas gdy najwięcej punktów można było zdobyć za prędkość 63 km/godz. Niższej prędkości nie przewidywano...

Polskie zwycięstwo było bezapelacyjne. Żwirko i Wigura zajęli pierwsze miejsce, a w pierwszej dziesiątce znalazł się, na miejscu dziewiątym, startujący także na RWD-6 kpt. Tadeusz Karpiński z mechanikiem Stanisławem Ziętkiem.

Edward Malak, historyk lotnictwa, pisał: „W znękanym gospodarczym kryzysem kraju, w którym wciąż istniała świadomość potrzeby rywalizacji z Niemcami, współautorami rozbiorowej tragedii Rzeczypospolitej, pokonanie Teutonów na ich terenie nabrało wymiaru narodowej Victorii".

Wkrótce po zwycięstwie w Challenge Żwirko i Wigura polecieli na RWD-6 do Pragi. Samolot uległ katastrofie pod Cierlickiem na Zaolziu. Obaj lotnicy zginęli. Stanisław Prauss, konstruktor PZL, oceniał: „Naturalnie, że przyczyną katastrofy był błąd konstrukcyjny, dziś jasny i elementarny, ale wtedy dopiero podejrzewany, niewciągnięty jeszcze w rutynę wymaganych obliczeń konstrukcji" („Z Zakopanego na Stag Lane"). Nie wytrzymały skrzydła, słabo podparte tylko jednym zastrzałem, a ponadto rozerwało się okucie łączące skrzydło z kadłubem, podobnie jak podczas wypadku Drzewieckiego.

Niemal rok po katastrofie Żwirki i Wigury zginął kpt. Józef Lewoniewski,

eprasa.pl 7519f1e932

który chciał pobić, wraz z ppłk. Czesławem Filipowiczem, rekord długości lotu samolotu turystycznego I klasy. Celem miał być Omsk (3,4 tys. km) albo nawet Krasnojarsk (4,6 tys. km). Niestety, PZL-19 wpadł w korkociąg, z którego piloci wyprowadzili go, lecz byli zbyt nisko nad ziemią. Zahaczyli skrzydłem. W wyniku kraksy Lewoniewski zginął. Cztery lata później zginął jego brat Zygmunt, sowiecki lotnik, podczas próby przelotu czteromotorowym bombowcem z Moskwy przez biegun północny do Stanów Zjednoczonych.

Szaleni amatorzy

Bracia Bolesław i Józef Adamowiczowie, mieszkający w Stanach Zjednoczonych emigranci z Wileńszczyzny, postanowili odwiedzić ojczyznę. Wykalkulowali, że najtańsza będzie podróż własnym samolotem przez Atlantyk. Żeby sfinansować jego zakup, założyli fabryczkę wody sodowej. Zrobili kurs pilotażu i zakupili samolot Bellanca J-300. Nazwali go „City of Warsaw". Wystartowali 29 czerwca 1934 r. do lotu przez Atlantyk.

Najedli się strachu nad Atlantykiem w ciężkich warunkach pogodowych. Jeden z braci zapisał w dzienniku pokładowym; „Boże, zmiłuj się nad nami". Dolecieli szczęśliwie.

Witold Rychter, sam pilot, w „Skrzydlatych wspomnieniach" oceniał: „Przedsięwzięcie ich było właściwie czystym szaleństwem, ale oni tego nie rozumieli, nie mając żadnego doświadczenia w dłuższych lotach […]. Nie wiadomo było, czy należałoby ich uznać za bohaterów czy po prostu za nieprawdopodobnych szczęściarzy".

W Warszawie 2 lipca 1934 r. przyjmowani byli jak bohaterowie. Jak wspominał Rychter, po powrocie do Stanów Adamowiczowie umieścili na etykietach wody sodowej flagi polską i amerykańską. Mieli jednak kłopoty z prawem, gdyż obwiązywała prohibicja, a „woda sodowa zamieniała się w butelkach z dwoma flagami w »wodę życia«".

Miażdżący sukces

Dwa lata po sukcesie Żwirki i Wigury kpt. Jerzy Bajan i mechanik Gustaw Pokrzywka powtórzyli na RWD-9 ich sukces na rozgrywanym w Warszawie Challenge. Bajan słynny był już z akrobacji powietrznych. Podziwiano „trójkę Bajana" – trzy samoloty połączone sznurami wykonujące ewolucje. W 1934 r. Bajan startował trzeci raz w Challenge, poprzednio zajął miejsca 32. i 11. Drugie miejsce zajęli, też na RWD-9, Stanisław Płonczyński z mechanikiem Stanisławem Ziętkiem, a dziewiąte na samolocie tego samego typu – Jan Buczyński z mechanikiem Lewkowiczem.

„Zwycięstwo Polski było miażdżące i udowodniło, że samoloty RWD górują nad najlepszymi zagranicznymi, a nasi piloci znajdują się w światowej czołówce. Na szczególne podkreślenie zasługuje fakt, że zwycięskie samoloty miały polskie silniki Nowkuńskiego Skoda GR 760 wspaniale rywalizujące z wypróbowanymi silnikami Hirth i Argus" – oceniał Witold Rychter.

Inżynier Stanisław Nowkuński, świetny konstruktor, niestety, zginął podczas wspinaczki w Tatrach w 1936 r., pozostawiając niedokończony projekt silnika PZL Foka dla samolotu myśliwskiego PZL-38 Wilk.

Sukces Polaków mógłby być większy, gdyby nie porażka pilotów startujących na PZL-26, z winy odpowiedzialnych za zakup amerykańskich silników Menasco Buccaneer. Firma informowała, że niezawodna praca to 72 godzin. Z oszczędności kupiono za mało silników i te same, które służyły do treningów, zostały użyte w zawodach. Podczas lotu okrężnego limit 72 godzin został przekroczony i niektóre samoloty uległy awarii.

Marszałek Piłsudski, schorowany, izolujący się od życia publicznego, zrobił wyjątek i przyjął zwycięzców Challenge podczas urlopu spędzanego w Moszczanicy.

Rywalizacja Polskich Zakładów Lotniczych z zespołem budującym samoloty RWD była jedną z przyczyn opóźnienia prac nad samolotami bojowymi. Inżynier z PZL, Stanisław Prauss, uważał, że ambicją zespołu powinno być jak najszybsze doprowadzenie do prób samolotu bombowego PZL-23 Karaś. Usłyszał od przełożonego: „Każdy z was ma swoje ambicje, a powinniście wiedzieć, że największą ambicją nas wszystkich powinno być wygranie Challenge przed erwudziakami!".

Podczas II wojny światowej Stanisław Skarżyński był pilotem polskiego 305. Dywizjonu Bombowego. Zginął po przymusowym wodowaniu wellingtona na Morzu Północnym w 1942 r. Bolesław Orliński był dowódcą 305. Dywizjonu. Jerzy Bajan ranny w rękę podczas kampanii wrześniowej, mimo utraty władzy w dłoni, brał udział w lotach bojowych 316. Dywizjonu.

Kapitan Jerzy Bajan i mechanik Gustaw Pokrzywka FOT. NAC

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7519f1e932

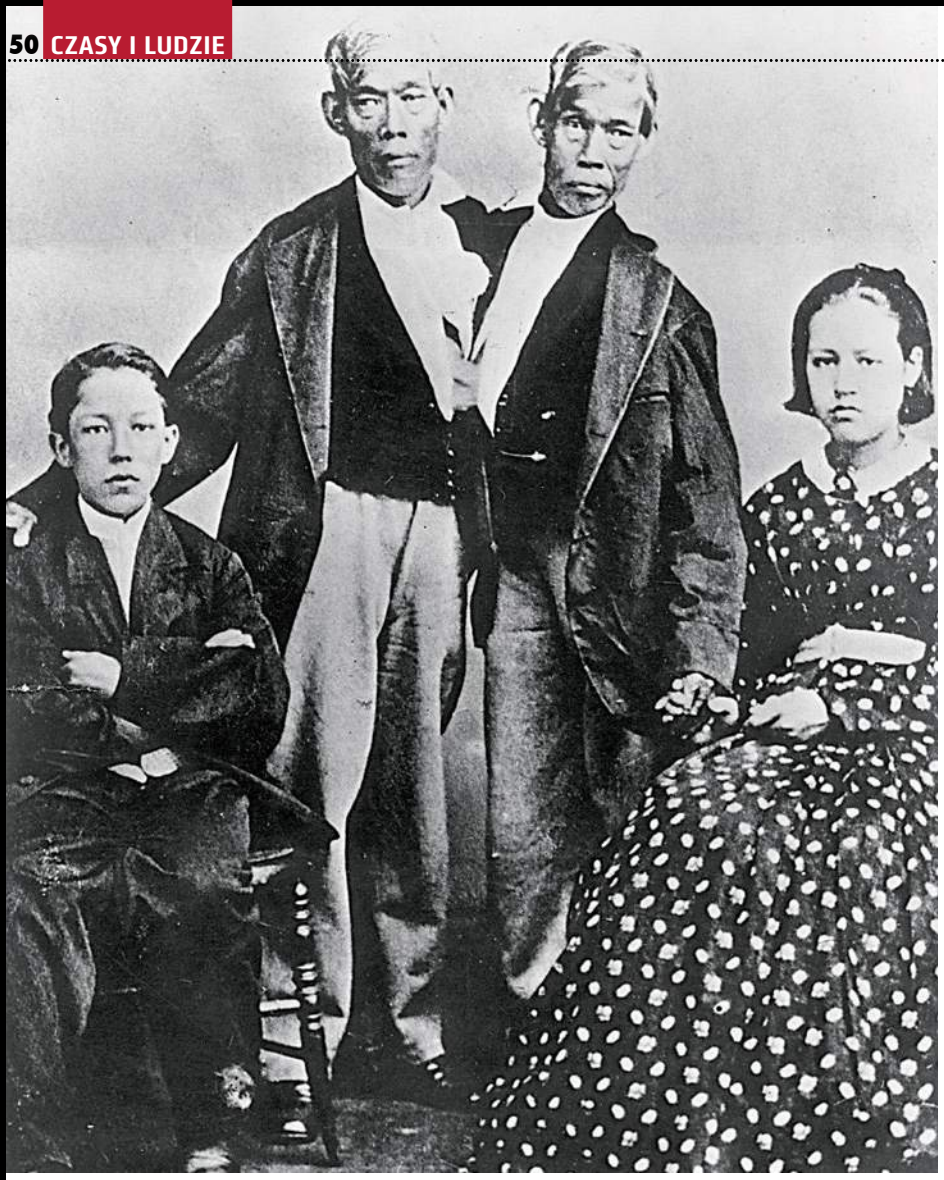

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Wywiad / Z prof. Yunte Huangiem, autorem książki „Nierozłączni..."

„Potwór" z Syjamu podbija USA

rozmawia Piotr Włoczyk

Zrośnięci ze sobą bliźniacy trafili do Ameryki jako niewolnicy, ale dzięki sprytowi dorobili się fortuny. Wzięli za żony białe kobiety i zawojowali Południe

PIOTR WŁOCZYK: To od nich wzięło się określenie „bliźnięta syjamskie", ale na pierwszy rzut oka trudno dopatrzyć się, że Chang i Eng byli faktycznie nierozłączni...

PROF. YUNTE HUANG: Rzeczywiście, w porównaniu z innymi bliźniętami syjamskimi Chang i Eng byli zrośnięci ze sobą na stosunkowo niewielkiej powierzchni. Łączył ich pas tkanki chrzęstnej, przez który dzielili wspólną wątrobę. Ich wygląd i tak wzbudzał jednak powszechną sensację, bo w tamtych czasach to się ludziom po prostu nie mieściło w głowach. I to był właśnie największy „kapitał" braci.

Co Ameryka im zawdzięcza?

Przede wszystkim amerykański show-biznes zawdzięcza im bardzo wiele. Ich przybycie do USA nadało bowiem zupełnie nową dynamikę tamtejszej branży rozrywkowej. Pokazy osobliwości, w których brali udział, były niezwykle popularne, a bracia bardzo szybko stali się gwiazdami. Do tej pory w takich pokazach oszukiwano widzów, wystawiając np. „syrenę", czyli po prostu kobietę z doczepionym ogonem. Każdy wiedział, że była to „lipa". Tymczasem szokująco zrośnięci ze sobą bracia byli jak najbardziej realni i każdy mógł sprawdzić, że to nie było oszustwo. To była zupełnie nowa jakość, jeżeli chodzi o masową rozrywkę, bo – proszę pamiętać – Ameryka w początkach XIX w. była niesamowicie nudnym miejscem.

Ojczyzna show-biznesu była nudnym miejscem?!

To była zupełnie inna Ameryka – wciąż był to bowiem bardzo purytański naród. Picie alkoholu i wszelkie związane

eprasa.pl 7519f1e932

z tym uciechy były uważane za głęboko niemoralne. Zresztą potwierdzają to wspomnienia pozostawione przez europejskich podróżników, którzy nie mogli się nadziwić, jak wyjałowione z rozrywki były wówczas Stanu Zjednoczone.

Po tym, gdy Chang i Eng przybyli do USA z Syjamu (dzisiejsza Tajlandia), przez trzy lata pracowali bardzo ciężko na rzecz swojego właściciela. Gdy w końcu uwolnili się od niego, przez siedem kolejnych lat pracowali już na własny rachunek. Odwiedzali każdą miejscowość, nie omijali nawet zapadłych dziur. Gdziekolwiek się pojawili, momentalnie gromadzili tłumy.

Do czego można porównać ich ówczesną sławę?

Myślę, że byli tak słynni jak rodzina Kardashianów, znana z telewizyjnego show, którą od ponad dekady pasjonuje się Ameryka. Gazety nie przestawały pisać o tych dwóch niezwykłych braciach. Zresztą nie bez przyczyny wyrażenie „bliźnięta syjamskie" na stałe weszło dzięki nim do słownika języka angielskiego jako określenie czegoś nierozerwalnego. Amerykanie byli nimi po prostu zafascynowani.

To chyba nie była zdrowa fascynacja...

Nie, to nie było zdrowe. Amerykanie patrzyli na nich jak na dziwadła, ale trudno się temu dziwić, skoro bracia występowali na swoich pokazach właśnie jako osobliwości. Dzisiaj jesteśmy już przyzwyczajeni do zdjęć bliźniąt syjamskich, ale 200 lat temu pojawienie się takich ludzi na scenie sprawiało, że widz zbierał szczękę z podłogi. Kto wtedy słyszał o zrośniętych ze sobą ludziach? Nikt!

Kiedy bracia po raz pierwszy pojawili się w Bostonie w 1829 r., ich pierwszy show miał być zatytułowany po prostu „Potwór". Właściciel chłopaków stwierdził jednak, że to zbyt mocne słowo. Chodziło oczywiście o marketing i strach przed wystraszeniem potencjalnych klientów, a nie o szacunek dla Changa i Enga. Występy nazwano więc inaczej: „Podwójni syjamscy chłopcy".

Gdzie ta historia się zaczyna?

Kilka lat wcześniej w syjamskiej dżungli. Robert Hunter, rzutki angielski biznesmen, zobaczył tam w rzece „tajemnicze stworzenie". Kiedy zdumiony podpłynął w to miejsce łódką, spostrzegł, że w rzeczywistości byli to dwaj chłopcy połączeni ze sobą przedziwnym pasem skóry tuż nad biodrami. Hunter od razu zwietrzył szansę na złoty biznes. Świat nie miał jeszcze wówczas pojęcia, że taka anomalia jest możliwa!

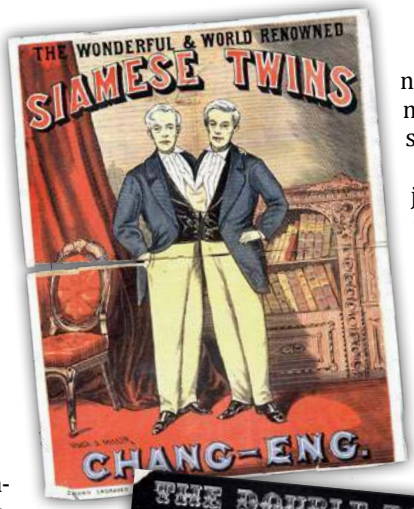

Musimy na moment przestać patrzyć na to wszystko z naszej dzisiejszej perspektywy. Obecnie, dzięki rozwojowi medycyny, bliźnięta syjamskie mogą żyć całkiem długo. W tamtych czasach jednak bardzo niewiele z nich przychodziło na świat żywych. Jeżeli już jakimś cudem dzieci przeżyły ciążę i poród, to prawie zawsze umierały we wczesnym dzieciństwie. Chang i Eng, z racji bardzo specyficznego rodzaju połączenia ich ciał, nie tylko przeżyli, lecz także cieszyli się bardzo dobrym zdrowiem! Słynęli przecież w USA m.in. z tego, że byli w stanie zrobić równocześnie salto do tyłu!

Matka chłopców była gotowa „wypożyczyć" ich Hunterowi na kilka lat za dobre pieniądze, ale Anglik napotkał niespodziewany sprzeciw na szczytach władzy w Syjamie. O co dokładnie chodziło?

Kiedy o całej sprawie dowiedział się król Syjamu, nie chciał słyszeć o wypuszczeniu chłopców. Władca był bowiem właścicielem całego kraju, wliczając w to ludzi. Na tej samej zasadzie Japonia czy Chiny zabraniały wówczas emigracji. Mieszkańcy należeli do władcy, więc nie mogli się po prostu spakować i wyjechać.

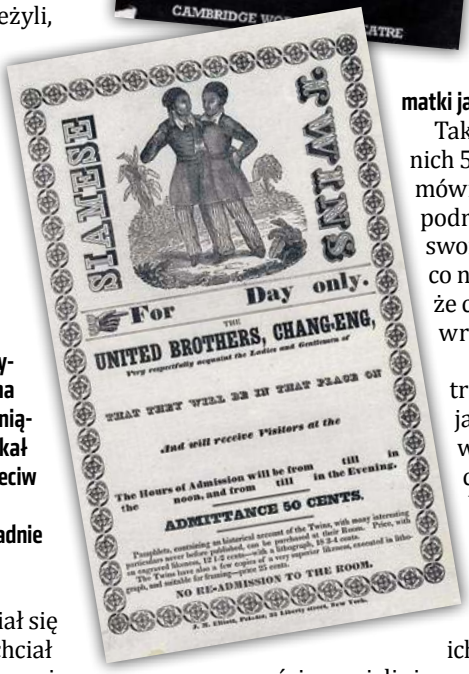

Kiedy wydawało się już, że nic nie wyjdzie z planu Huntera, na scenę wkroczył jego amerykański wspólnik, kpt. Abel Coffin, który wiedział, jakich argumentów użyć w negocjacjach z królem. Coffin, poza specjalnymi prezentami, uderzył w jego próżność, mówiąc, że pokazywanie chłopców na świecie będzie podkreślało to, jak wspaniałym krajem jest Syjam – tylko tam mógł się pojawić taki cud natury! Król stwierdził, że będzie to świetna promocja jego kraju, i wyraził zgodę. Chłopcy mogli w ten sposób zacząć swoją wielką karierę.

Zostali kupieni od matki jak przedmioty?

Tak. Ich matka przyjęła za nich 500 dol. Kontrakt jasno mówił, że chłopcy będą podróżować po świecie ze swoim właścicielem przez co najmniej pięć lat. Z tym że chłopcy już nigdy nie wrócili do domu.

Przez trzy lata byli traktowani właściwie jak niewolnicy. Ich właściciel robił z nimi, co chciał. Widowiska były dla nich bardzo poniżające. Widzowie, jako że płacili, oczekiwali, że chłopcy będą spełniali wszystkie ich zachcianki. Oczywiście musieli się rozbierać, by każdy mógł z bliska zobaczyć łączący ich pas.

Ci prości chłopcy z odległego Syjamu byli jednak bardzo zaradni, świetnie odnaleźli się w amerykańskich realiach,

eprasa.pl 7519f1e932

szybko nauczyli się języka i po prostu zapragnęli żyć normalnie. Kiedy skończyli 21 lat, oswobodzili się z kontraktu i otworzyli własny „biznes". To ich wyzwolenie się z wyzysku robi wrażenie.

Czym różnił się ich nowy show od starego?

Kiedy już rozpoczęli działalność na własną rękę, odmawiali wykonywania najbardziej poniżających poleceń ze strony publiczności. Czasem dochodziło nawet z tego powodu do bójek z wściekłą klientelą i zdarzało się, że bracia trafiali na krótko do aresztów! Mając taką przypadłość, bracia nie musieli jakoś specjalnie się starać, żeby zaciekawić widzów. Wystarczyło samo pokazanie się na scenie i rozmowa z widzami, ale – jak już wspomniałem – Chang i Eng nauczyli się różnych sztuczek, w tym właśnie ich popisowego salta do tyłu. Bracia byli świetnymi szachistami, ale nie lubili grać sami ze sobą, więc zapraszali do gry ludzi z widowni. Bardzo trudno było ich pokonać.

Jak bogaci byli?

Po siedmiu latach pracy „na swoim" przeszli na emeryturę. Mieli wtedy 28 lat. Zgromadzili do tego momentu majątek wart ok. 10 tys. dol. W dzisiejszych warunkach byliby milionerami. Kupili w spokojnym, górzystym regionie Karoliny Północnej 300 akrów ziemi (ok. 120 ha) i osiedli tam. Chcieli cieszyć się życiem. Chcieli uciec od tłumów. Byli młodzi, bogaci i zdrowi...

Brakowało im tylko żon.

Tak. Byli normalnymi mężczyznami i bardzo chcieli założyć rodziny.

Jednak oczywiście był pewien „mały" problem. Jak przywitali ich sąsiedzi?

(śmiech) No tak, bracia wyróżniali się nieco na tle innych właścicieli ziemskich w Karolinie Północnej… Nie dość, że byli ze sobą zrośnięci, to jeszcze byli w trzech czwartych Chińczykami – ich ojciec był Chińczykiem, a matka była w połowie Chinką. To musiało wzbudzać bardzo różne emocje u sąsiadów. Na amerykańskim Południu przed wojną secesyjną żyła dosłownie garstka Azjatów.

Jak w takim razie szło im poszukiwanie żon?

Chang i Eng zakochali się w dwóch siostrach, córkach bogatego farmera mieszkającego w okolicy. W tym momencie zaczyna się dramat szekspirowski. Chang zakochał się w Adelajdzie, młodszej siostrze. Wyglądało na to, że z wzajemnością. Niestety, starsza Sara kompletnie nie była zainteresowana Engiem. Tymczasem Chang i Adelajda wiedzieli, że ich związek nie wypali, jeżeli Sara nie zwiąże się równolegle z Engiem. Sporo czasu zajęło przekonanie opornej kobiety, ale w końcu wszyscy zawarli małżeństwa.

Dom zbudowany przez braci Bunker FOT. WILSON LIBRARY

Ludzie siłą rzeczy musieli plotkować – co sprawiło, że siostry zainteresowały się „potworami"...

Tak, plotkom nie było końca. Niektórzy sąsiedzi twierdzili, że siostry były zboczone, skoro interesował je taki układ. Spójrzmy na to jednak na spokojnie. Chang i Eng byli znani, bogaci i – pracując tyle lat w show-biznesie – wiedzieli, jak zabawić ludzi. To się mogło podobać kobietom z malutkiej, nudnej miejscowości na Południu. Poza tym taki związek mógł się wydawać z ich perspektywy bardzo ciekawym wyzwaniem.

Co na to ich rodzice?

To już inna historia (śmiech). Ich ojciec był plantatorem, a przy okazji pastorem. Oczywiście mocno sprzeciwiał się takiemu układowi. Myślę, że ważnym czynnikiem w całej tej historii było to, że matka dziewczyn sama była obiektem niezdrowej ciekawości sąsiadów, bo ważyła ponad 200 kg.

YUNTE HUANG
„NIEROZŁĄCZNI"
WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

Czyli powinna współczuć braciom.

Nie, nie współczuła im i jakoś specjalnie za nimi nie przepadała. Chodziło o coś innego. Dziewczyny były przyzwyczajone do życia obok kogoś, kto nieustannie skupiał na sobie wzrok całego otoczenia. Myślę, że to bardzo pomogło w przezwyciężeniu oporów.

Chang i Eng jeszcze przed ślubem zostali amerykańskimi obywatelami. Jakim cudem udała im się ta sztuka?

Oczywiście było to nielegalne, ponieważ prawo nie zezwalało na nadawanie obywatelstwa takim ludziom. Z tym że prawo było prawem, a życie życiem... Obywatelstwo nadawały władze lokalne, więc bracia – pamiętajmy, że byli bardzo bogaci – potrafili je sobie zwyczajnie „załatwić".

Jedna rzecz to załatwienie sobie obywatelstwa, ale druga to ślub z białymi kobietami. Przecież to było jawne podeptanie zwyczajów i prawa Południa! Co się nagle stało z dbaniem o „czystość" białej rasy?

Ma pan rację, związki mieszane były tam wtedy generalnie zakazane. Początkowo lokalna społeczność bardzo sprzeciwiała się planowanemu podwójnemu małżeństwu i naciskała na ojca dziewczyn, by zabronił im wożenia się po

eprasa.pl 7519f1e932

okolicy z dwoma „potworami". Ostatecznie jednak skoro ojciec, bardzo poważany w lokalnej społeczności człowiek, przystał na to, reszta też machnęła na to ręką. Ojca przekonał oczywiście ostatecznie argument finansowy.

Nie chcę idealizować Południa czasów Ante Bellum, ale wtedy jeszcze przymykano nierzadko oczy na związki międzyrasowe. Paradoksalnie później, już po wojnie secesyjnej, takie związki były bardziej zwalczane. Wojna zaostrzyła rasizm.

Czy była w ogóle jakakolwiek szansa na to, żeby Chang i Eng żyli osobno?

Bracia myśleli o tym i konsultowali to z lekarzami. Istniała szansa, żeby ich rozdzielić. Powstał nawet wstępny plan, żeby ślub brali już osobno. Co ciekawe jednak, ich narzeczone wkroczyły do akcji i błagały braci, żeby tego nie robili.

Bały się wielkiego ryzyka związanego z taką operacją?

To też, ale myślę, że chodziło jednak o coś innego. Oddzielenie braci zabrałoby cały ich „urok"… Te siostry chyba naprawdę chciały podjąć wielkie wyzwanie życia z „nierozłącznymi" bliźniakami.

Jak już wspomnieliśmy, Chang i Eng zostali kupieni od matki i przez trzy lata żyli prawie jak niewolnicy, ale kiedy zamieszkali na Południu…

Wtedy sami zaczęli kupować niewolników. Pierwszą niewolnicę dostali w prezencie ślubnym. Potem wyspecjalizowali się w handlu niewolnikami. Kupowali bardzo młodych ludzi, a potem sprzedawali ich z dużym zyskiem.

Ten rozdział ich historii nie należy do pięknych.

Tak. Zachowywali się bowiem tak jak każdy inny właściciel niewolników na Południu. Bili ich i chłostali. Traktowali czarnoskórych jak przedmioty. W ten sposób zachowywali się ich sąsiedzi i Chang oraz Eng w niczym od nich nie odstawali.

Jak bracia zareagowali na wybuch wojny secesyjnej?

Z ogromnym entuzjazmem! Chang i Eng nienawidzili „tych cholernych Jankesów" (śmiech). Bracia z Syjamu stali się zagorzałymi południowcami, kochali ten styl życia i mieli nadzieję, że Skonfederowane Stany Ameryki (CSA) wygrają wojnę. Gdy tylko ich najstarsi synowie osiągnęli pełnoletność, Eng i Chang wysłali ich do wojska. Obaj młodzieńcy zostali ranni i trafili do jankeskiej niewoli, ale na koniec razem powrócili do domów.

Wynik konfliktu oznaczał jednak dla Enga i Changa upadek fortuny zbudowanej na niewolnikach.

Tak, Cheng i Eng zostali bankrutami. U szczytu pomyślności byli właścicielami 30 niewolników, wartych 26 tys. dol. To była fortuna, jeżeli będziemy pamiętali, że przeszli na emeryturę z 10 tys. dol. Zniesienie niewolnictwa nie było jedynym powodem ich finansowej ruiny. Bracia syjamscy byli bowiem na tyle pewni zwycięstwa Południa, że zainwestowali bardzo pokaźną część gotówki w obligacje wojenne CSA…

Mieli wielkie rodziny – w sumie dochowali się 21 dzieci – więc musieli zarabiać dużo pieniędzy. Wrócili więc do show-biznesu. To nie było dla nich przyjemne doświadczenie. Przez ponad dwie dekady żyli wygodnie jako właściciele niewolników, przyzwyczaili się do władzy, a teraz znów stali się „potworami" na pokaz. Tym razem brali na pokazy swoje dzieci.

Przepraszam za pytanie, ale jak wyglądały u nich „te" sprawy?

Proszę się nie krępować, każdy się nad tym zastanawia (śmiech). Kiedy się urodzili, łączący ich pas tkanki chrzęstnej miał ok. 7 cm długości. Przez lata rozciągnął się do ponad 10 cm. Wciąż było im jednak ciasno… Tutaj nie było dobrego rozwiązania – za każdym razem brat musiał leżeć obok. Jednak przez lata Chang i Eng wypracowali pewien niesamowity mechanizm umożliwiający w miarę normalne funkcjonowanie w sprawach rodzinnych.

Jak sobie z tym radzili?

Na zmianę „wycofywali się" mentalnie. Doprowadzili to do perfekcji. Stworzyli specjalną trzydniową regułę. Każdy z braci zbudował własny dom, ponieważ ich rodziny tak szybko się rozrastały, że trudno było im wszystkim żyć spokojnie pod jednym dachem. Domy znajdowały się po przeciwległych stronach posiadłości. Co trzy dni przeprowadzali się od jednej żony do drugiej. Wtedy następowała zmiana „dowodzenia" w tym duecie. Przykładowo Chang przejmował pełnię władzy, a Eng „wycofywał się". Był po prostu bierny, tak jakby go tam w ogóle nie było. Nawiasem mówiąc, ten trzydniowy styl życia ich zabił.

Jak to?

Chang był porywczy i dużo pił. Eng był jego przeciwieństwem, ale skoro mieli wspólną wątrobę, to siłą rzeczy Eng odczuwał skutki popijaw brata. Chang zaczął mieć problemy ze zdrowiem, przeszedł udar. Zima 1874 r. była bardzo ostra (bracia mieli wtedy 63 lata) i Chang mocno się rozchorował. Doktor powiedział mu wyraźnie, że musi przeczekać chorobę w domu, pod żadnym pozorem nie wolno mu wychodzić na mróz. Niestety, właśnie kończył się czas pobytu w domu Changa, a ten nalegał, by trzymać się ich grafiku. Eng próbował go przekonywać, że to nie jest najlepszy pomysł, ale Chang powiedział wtedy: „Jesteśmy u mnie, więc ja tu rządzę. Jeżeli mówię, że jedziemy do twojego domu, to jedziemy". I rzeczywiście pojechali powozem do domu Enga. Doktor miał rację, mróz był śmiertelnie niebezpieczny. Chang zmarł następnej nocy we śnie. Gdy Eng obudził się, musiał się potwornie przerazić, widząc nieżywego brata.

Horror.

Tak, wiedział, że to również jego koniec.

Nie było ratunku dla Enga?

Ich rodzinny lekarz szykował się na ewentualność, że Chang umrze, i postanowił, że tuż po jego śmierci spróbuje rozdzielić braci. Niestety, lekarz nie dotarł na czas i Eng zmarł kilka godzin po śmierci brata. Nawet nie chcę sobie wyobrażać tych kilku godzin, kiedy leżał koło martwego brata i czuł, że sam umiera. Pierwszy raz w życiu był zupełnie sam. To musiał być koszmarny koniec życia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. Yunte Huang – jest wykładowcą literatury angielskiej na Uniwersytecie Kalifornijskim, autorem książki „Nierozłączni. Słynni syjamscy bracia i ich spotkanie z amerykańską historią".

eprasa.pl 7519f1e932

II wojna / Kulisy walki wywiadów

Gestapo porywa oficera Abwehry

Marian Zacharski

Syn milionera, playboy, oficer Abwehry i... przeciwnik Hitlera. Johnny Jebsen zagrał va banque i zapłacił za to najwyższą cenę

Bohaterów tej opowieści połączył Uniwersytet we Fryburgu. Pierwszy z nich, urodzony w 1917 r. w Hamburgu Johann-Nielsen Jebsen, znany jako Johnny, wywodził się z bardzo bogatej rodziny współzałożycieli firmy Jebsen & Jessen, zajmującej się eksportem i importem, posiadającej nawet własną flotyllę masowców.

Drugi – student z Jugosławii, a w niedalekiej przyszłości pierwowzór Iana Fleminga, twórcy postaci Jamesa Bonda, Dusan Miloradoff Popow, celem zdobycia tytułu doktora nauk prawnych w latach 1935–1937 studiował we Fryburgu. Fortunę rodziny Popowa zbudował dziadek bankier i przemysłowiec, a ojciec dzięki udanym operacjom na rynku nieruchomości znacznie ją powiększył.

Zbliżający się wybuch wojny, nienawiść do faszystów i niechęć do służenia w armii legły u podstaw decyzji Jebsena o wstąpieniu w szeregi Abwehry. Dzięki rodzinnym kontaktom nie musiał długo czekać na pozytywną decyzję adm. Canarisa. Służba w wywiadzie gwarantowała mu także swobodne poruszanie się po Europie.

Agenci Canarisa

Wkrótce los znów połączył kolegów ze wspólnych studiów i zabaw. Popow, pracując w firmie prawniczej dr. Jaksicza w Dubrowniku, otrzymał polecenie wynegocjowania z Niemcami koncesji na produkcję materiału wybuchowego o nazwie Penta-aeritrite i związanegom z tym zakupu niezbędnych maszyn. Wszedł w kontakt z poselstwem III Rzeszy, a konkretne rozmowy prowadził z sekretarzem von Steinem. Po kilku spotkaniach Niemiec zasugerował Popowowi, że przy dobrych chęciach mógłby on zrobić jeszcze lepszy interes z Niemcami. „Dobrze zna pan Karlo Banaca, brata Bozo Banaca. Tym kanałem może pan łatwo dotrzeć do ważnych brytyjskich kręgów".

Krótko po tej rozmowie Popow otrzymał telegram od Jebsena, który pytał, czy danego dnia mogliby się spotkać w Belgradzie i porozmawiać o niezwykle ważnych interesach. W trakcie tego spotkania

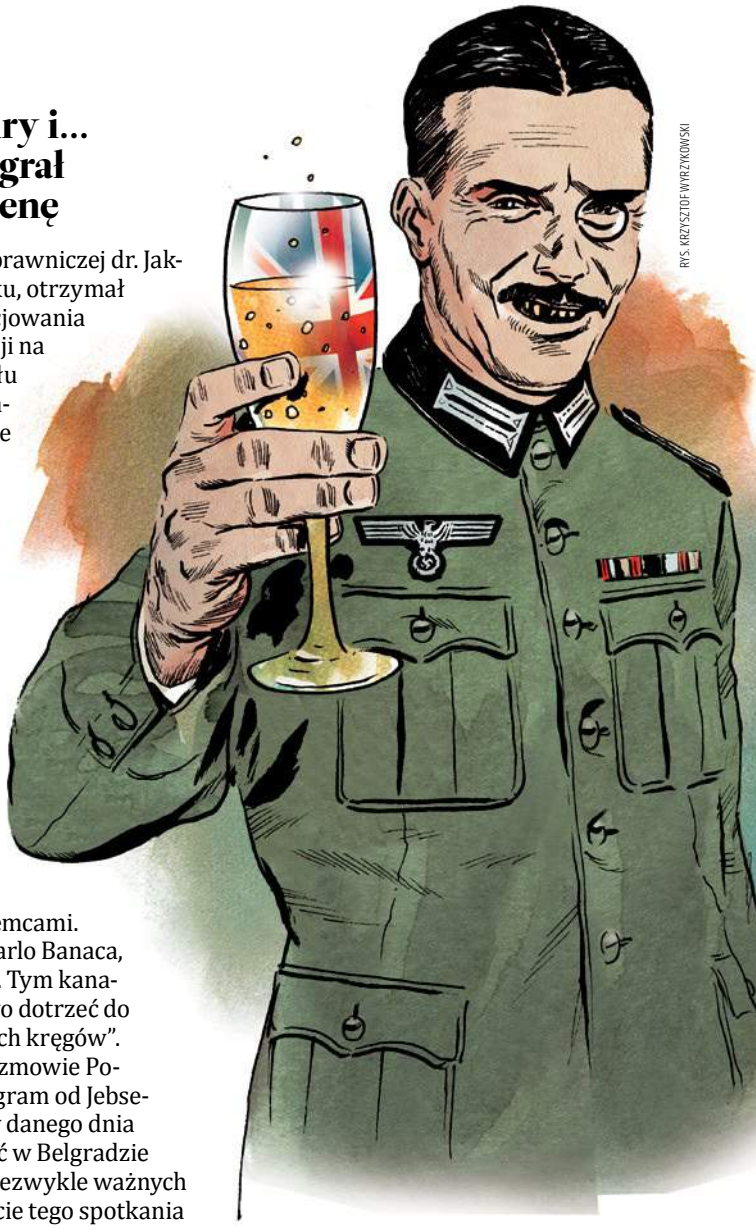

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

eprasa.pl 7519f1e932

Jebsen przekazał mu listę niemieckich statków (wśród nich były również jednostki należące do jego rodzinnej firmy), które po inwazji na Danię w kwietniu 1940 r. zostały zablokowane w portach neutralnych, głównie w USA. „Czy mógłbyś podjąć się roli agenta odpowiedzialnego za sprzedaż tych jednostek? ".

Po rozmowie Jebsen odleciał do Grecji, a Popow skierował swoje kroki do poselstwa brytyjskiego, gdzie spotkał się z panem Dow. Anglik szybko zorientował się w szansach na rozpoczęcie dialogu operacyjnego. „To jest bardzo interesujące, ale ponieważ ja się nie zajmuję tego typu sprawami, to ktoś inny się do pana wkrótce odezwie". Po dwóch tygodniach Jebsen znów pojawił się przed obliczem Dusana. Tym razem miał, jak twierdził, wartościowe informacje do sprzedania Anglikom. Szukał pośrednictwa kolegi ze studiów, któremu tłumaczył, że jeśli Niemcy przegrają wojnę, to tą drogą z góry zabezpieczy sobie dobrą opinię na terenie Anglii. A poza tym rzekł: „Chcę zarobić". Anglicy uznali przekazane informacje za nic niewarte cytaty z prasy.

Niemiecki wywiad za wszelką cenę pragnął zwerbować Popowa do pracy na ich rzecz. Ten sam pomysł pojawił się po drugiej stronie kanału La Manche. Nagle do Dusana odezwał się niejaki Fickis z Passport Control Office, które oprócz realizacji statutowych zadań było silnie zaangażowane w działalność brytyjskiego wywiadu. Po rozmowie obu panów Popow udał się, zgodnie z ustaleniami z Fickisem, do poselstwa niemieckiego, gdzie oświadczył, że po głębokich przemyśleniach ostatecznie gotów jest do rozpoczęcia współpracy z ich wywiadem. „Wcześniej nie deklarowałem mojej chęci, bo nie byłem pewien, czy podołam stawianym mi zadaniom". Na pytanie, jak zamierza przekazywać z Anglii zdobywane informacje, odpowiedział, że może liczyć na wsparcie niejakiego Iwanowicza pełniącego funkcję dyrektora jugosłowiańskiego Lloyda, którego właścicielem był Banac. Kiedy niewiele później dowiedział się, że Iwanowicz

Siedziba gestapo w Berlinie, gdzie był więziony Jebsen FOT. WIKIPEDIA

został przeniesiony do Stanów, za poradą Fickisa szybko zapewnił Niemców, że ma już deklarację pracownika poselstwa Jugosławii w Londynie o gotowości podjęcia się obowiązków kurierskich. Był to też moment, w którym Anglicy uznali, że nastał czas na zaproszenie Popowa na rozmowy do Londynu. Fakt ten był zbieżny z życzeniami Niemców, którzy wierząc, że Popow jest ich agentem, pragnęli, aby wreszcie znalazł się na Wyspach i przystąpił do uruchamiania kanałów pozyskiwania informacji.

Wkrótce potem ponownie pojawił się Jebsen. Na powitanie rzucił: „Funkcjonujemy teraz w tej samej służbie". Po chwili dodał, że zatrudnił się w Abwehrze nie tylko dlatego, że z powodu żylaków żołnierka nie była dobrym pomysłem, lecz także dlatego, że dzięki tej decyzji mogła wiele zyskać jego firma eksportowo-importowa. Od Jebsena Popow dowiedział się, że lada moment pojawi się mjr Ölschläger, jeden z liderów Abwehry (specjalizował się w operacjach na kierunku bałkańskim). „Przekaże ci ostatnie instrukcje przed twoim wyjazdem do Anglii". Tajemniczy major przybył nie tylko w tym celu. Jego głównym zadaniem było sformalizowanie werbunku. Dzień później na przedmieściach Belgradu Popow skonsumował obiad z Ölschlägerem. Nazajutrz panowie spotkali się ponownie, tym razem w poselstwie niemieckim. Popow otrzymał zestaw zadań do realizacji w trakcie pobytu na Wyspach Brytyjskich. Jeszcze tego samego dnia Jebsen wyjechał do Wiednia, a Ölschläger do Sofii.

Zgodnie z planami niemieckimi Popow opuścił Belgrad 16 listopada 1940 r. Dwa dni później pociągiem dotarł do Rzymu. Z miejsca udał się w Ala Littoria (linia lotnicza faszystowskich Włoch), gdzie miały na niego czekać zamówione przez Niemców bilety lotnicze na lot do Lizbony. Zamiast biletów dostał dwie wiadomości. Jedną z poselstwa, a drugą od Jebsena. Pierwsza sugerowała, aby w przypadku pojawienia się kłopotów zatelefonował pod nr ROMA 44168, podał swoje nazwisko i nazwę hotelu Ambasciadore. Druga brzmiała tak: „Drogi Duško [zdrobniała wersja imienia Dusan], nie wyjeżdżaj przed zobaczeniem się ze mną. Będę w Rzymie w hotelu Excelsior. Johann". Po perypetiach z kontrwywiadem włoskim mógł jednak wreszcie odlecieć, via Barcelona, już następnego poranka.

Zdążył jeszcze zjeść lunch i odbyć kolejną rozmowę z Jebsenem, który zapytał go, czy otrzymał pojemnik z atramentem sympatycznym. Dusan potwierdził i pokazał mu butelkę. Jebsen wylał jej zawartość, oświadczając, że nie jest to dobry produkt do zabierania w podróż, ponieważ zbyt silnie pachnie eterem. W zamian zalecił mu zakup opakowania z tabletkami pyramidonu. W razie konieczności sporządzenia tajnopisu winien, najlepiej na dużym spodku, rozpuścić półtorej tabletki w 75-procentowym alkoholu, takim jak np. White Gin. Do pisania zalecił używanie zaostrzonej zapałki osłoniętej kawałkiem surowej wełny bawełnianej. Na odwrotnej stronie kartki papieru miał napisać otwartym tekstem niewinnie brzmiącą wiadomość i tak

eprasa.pl 7519f1e932

Johann „Johnny" Jebsen (z lewej) FOT. ARCHIWUM

przygotowany list przesłać pod adres Don Augustin Mutiozabal, Armado, Bilbao, Colon Larreategui 7.

Komitet XX

Po kolejnych perturbacjach Dusan wreszcie dotarł do Londynu. Zamieszkał w hotelu Savoy i rozpoczął spotkania ze śmietanką wywiadu brytyjskiego. Na wstępie rozwiaj wiele wątpliwości co do Jebsena, jego nastawienia do Wielkiej Brytanii, poglądów politycznych itd. Następnie wspólnie omówili pytajnik, który przywiózł ze sobą. Z jego treści wynikało, że Niemcy byli zainteresowani osobami, które znajdowały się w opozycji do Churchilla i aktywnie działały na rzecz pokoju z III Rzeszą. Chcieli koniecznie poznać ich słabości (np. nadmierna konsumpcja alkoholu lub pogoń za pieniędzmi), a także zbadać sposoby pozostawania z nimi w dyskretnym kontakcie. Dalej chcieli dowiedzieć się, jaki rodzaj bombardowań najbardziej wzburza opinię publiczną oraz które z metod prowadzonej działalności propagandowej okazywały się najbardziej skuteczne. Popow miał też podjąć próbę dotarcia do kręgu tych, którzy otaczali wiceadmirała floty sir Johna Cronyna Toveya, zatrudnionego jako C-in-C (Commander in Chief) w Home Fleet (flota operująca na Atlantyku).

Anglicy po zbyciu przekonania o wiarygodności Popowa formalnie zwerbowali go do pracy na ich rzecz. Miał karmić niemiecki wywiad informacjami preparowanymi przez tzw. Komitet XX brytyjskiego wywiadu. Cyfry celowo pisane była symbolami rzymskimi, gdyż XX to przecież nic innego jak double cross, a więc nazwa popularnie stosowana wobec tzw. odwróconych agentów. W tym konkretnym przypadku Popow, agent niemiecki, przeszedł na drugą stronę (został odwrócony) i rozpoczął pracę na rzecz Anglii. Komitetem XX kierował szanowany na Wyspach pracownik naukowy, sportowiec, autor książek, John Cecil Masterman.

Jest on, po Jebsenie i Popowie, trzecim bohaterem tego artykułu, posiadającym związki z Uniwersytetem we Fryburgu. Masterman był doskonałym wykładowcą akademickim. W 1914 r. w chwili wybuchu wielkiego konfliktu przebywał w ramach wymiany nauczycieli akademickich na wykładach we Fryburgu. W rezultacie następne cztery lata spędził w obozie dla internowanych w Ruhleben. Spożytkował ten czas na doskonalenie znajomości języka niemieckiego.

Popow ps. Tricycle w swojej działalności był niestrudzony. Zwerbował do współpracy z Anglikami nieomal całą swoją rodzinę. Karmił wywiad niemiecki doskonale spreparowanymi informacjami, przygotowanymi przez Komitet XX, dla zachowania wiarygodności po części prawdziwymi. Niemcy byli zachwyceni wynikami jego pracy. Pozostawał w kontakcie z Jebsenem, od niedawna służącym w poselstwie niemieckim w Lizbonie, który zapewniał mu dodatkową wiarygodność w Abwehrze. Po dwóch latach Popow uznał, że nastał czas na werbunek Jebsena w szeregi agentów brytyjskich. Operacja przebiegła zgodnie z planem. Otrzymał pseudonim Artist. Od tej pory Anglicy otrzymywali wiele nowych lub potwierdzających wiarygodność już posiadanych informacji o prowadzonych operacjach wywiadowczych Abwehry. W szczególności na Półwyspie Iberyjskim, ale nie tylko.

Idylla wydawała się nie mieć końca. Jednak jak to zawsze w życiu bywa, wszystko ma swój kres. W wywiadzie pytanie o ewentualną dekonspirację nawet najbardziej udanej operacji zwykle nie zaczyna się od „Czy", tylko „Kiedy" nastąpi wpadka. Najczęściej u źródeł dramatu nie znajdujemy skutecznej działalności kontrwywiadu, ale – niestety – zdradę we własnych szeregach.

Kres Jebsena

18 lutego 1944 r. Hitler podpisał dekret o likwidacji Abwehry. Jej kompetencje przejął RSHA. Zaczęły się czystki. Na początku kwietnia 1944 r. dr Aloys Schreiber, wiodący oficer placówki Abwehry/RSHA w Lizbonie, otrzymał szyfrowaną depeszę od ppłk. Kuebarta, szefa byłego Wydziału I Abwehry, rozkazującą natychmiastowy przyjazd, wraz z Jebsenem, do NEST (Nebenstelle) Biarritz celem wzięcia udziału w konferencji, która rozpocząć się miała ok. 20 kwietnia. Depesza ta adresowana była zarówno do Schreibera, jak i do Jebsena. Ten ostatni, wykazując ogromne zaskoczenie i oburzenie, odmówił wyjazdu. Schreiber ostrzegł go, że tego typu postawa zostanie potraktowana jako dezercja i spowoduje postawienie go przed sądem polowym. Dodał, że Jebsen musi zdawać sobie sprawę, iż prawnie uważany jest za żołnierza wykonującego misję specjalną w neutralnym kraju. Pomimo tych argumentów Jebsen nie zmienił zdania. O zaistniałej sytuacji Schreiber powiadomił Berlin. W odpowiedzi centrala ponownie wezwała Jebsena do stawienia się w wyznaczonym miejscu. W osobnej depeszy przeznaczonej jedynie dla Schreibera został on zobowiązany, na wypadek kolejnej odmowy Jebsena, do dotarcia do Biarritz samemu. Tak też się stało.

Na miejscu Schreiber konferował z ppłk. Kuebartem i jego adiutantem Standartenführerem Weissem. Kuebart posiadał ustny rozkaz nowego szefa w Berlinie, płk. Hansena, polecający osobiste dopilnowanie dostarczenia Jebsena na tereny kontrolowane przez III Rzeszę oraz zapobieżenie, wszelkimi dostępnymi spo-

eprasa.pl 7519f1e932

sobami, jego przedostaniu się na terytoria alianckie. Kuebart oświadczył również, że Berlin ma dowód na to, iż od pewnego czasu Jebsen pracował na dwie strony, a teraz czynił gorączkowe przygotowania do ucieczki i schronienia się u aliantów. Przybysze z Berlina nie zasugerowali sposobów realizacji rozkazu dostarczenia Jebsena na terytoria kontrolowane przez Niemców. Wobec powagi sytuacji Schreiber zażądał potwierdzenia rozkazu przez Berlin. Ponieważ w Biarritz nie było bezpośrednich środków szybkiej łączności z Berlinem, zaproponował, aby wspólnie pojechali do placówki KO/RSHA w Madrycie, która posiadała tego typu łącze. Kuebart przystał na tę propozycję. Wieczorem dotarli do stolicy Hiszpanii. W krótkim czasie nadeszło żądane potwierdzenie. Dodatkowo Berlin wyznaczył Schreibera na osobę osobiście odpowiedzialną za realizację rozkazu.

Po powrocie do Lizbony Schreiber dowiedział się, że przyjaciel Jebsena, niejaki Moldenhaus, dotarł do stolicy Portugalii. Moldenhaus był oficerem Ast (Abwehrstelle) w Kolonii. Na miejsce przybył pod pretekstem spotkania z agentem. Schreiber podejrzewał jednak, że Moldenhaus nie miał najmniejszej ochoty powrócić do Hiszpanii, gdzie wcześniej prowadził swoją działalność. Mając wiedzę o jego dobrych kontaktach z kręgami alianckimi, doszedł do wniosku, że Moldenhaus i Jebsen planowali wspólną dezercję. Stąd musiał działać szybciej, niż pierwotnie zakładał. Dla zachowania bezpieczeństwa do planowanego porwania Jebsena dołączył również Moldenhaus.

Późnym popołudniem 30 kwietnia Schreiber wezwał obu podejrzanych do swojego gabinetu. Pretekstem była rzekoma informacja z Berlina o przyznaniu Jebsenowi odznaczenia. Planował obezwładnienie ich silnym uderzeniem pałki w głowę, dożylne wstrzyknięcie substancji odurzającej, a następnie zapakowanie delikwentów do skrzyń i przewóz samochodem przez granice portugalsko--hiszpańską i hiszpańsko-francuską. Potrzebował dwóch asystentów. Wybrał Bleila, oficera łączności KO Portugalia, oraz Karla Meiera, kierowcę w KO. O swoich przygotowaniach poinformował Berlin. Dostał natychmiastową zgodę na realizację. Bleil musiał brać udział w tej operacji, bo samochód zarejestrowany był na jego nazwisko, a zgodnie z prawem portugalskim w trakcie przekraczania granicy właściciel pojazdu musiał być obecny.

O godz. 18 Jebsen i Moldenhaus zameldowali się z biurze Schreibera. Odbyli krótką dyskusję. Następnie Schreiber zaprosił Jebsena do sąsiedniego pokoju, gdzie poinformował go o rozkazie dostarczenia go do Biarritz. Ten, chcąc opuścić pomieszczenie, odwrócił się w kierunku drzwi i w tym momencie silne uderzenie pałką pozbawiło go przytomności. W międzyczasie Meier obezwładnił Moldenhausa. O godz. 21 sedanem Studebaker wyruszyli w drogę. O północy przekroczyli granicę z Hiszpanią. Na kolejnej granicy, z Francją, też obyło się bez kłopotów. W Biarritz „opiekę" nad więźniami objął zastępca szefa lokalnej Nest, ppłk Fuchs.

Kilka dni później samolotem Jebsen i Moldenhaus zostali przewiezieni do Berlina. W drodze powrotnej do Lizbony Schreiber przesłał z Madrytu na ręce Hansena depeszę potwierdzającą realizację rozkazu. Zwrotnie nadeszło specjalne podziękowanie. W Berlinie Jebsen poddany został intensywnym, niekiedy brutalnym przesłuchaniom. Przetrzymywany był zarówno w podziemiach gestapo, jak i w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen. W lutym 1945 r. widziano go po raz ostatni. Po wojnie na fasadzie budynku, w którym mieszkał w Hamburgu, zawisła pamiątkowa tablica.

Jebsen stał się kolejnym przykładem dosyć powszechnej tezy, że zdrada rzadko popłaca. Zagadką pozostaje brak jakichkolwiek śladów podjęcia przez Brytyjczyków prób ochrony Jebsena na terenie Lizbony. A mieli na to kilka dni.

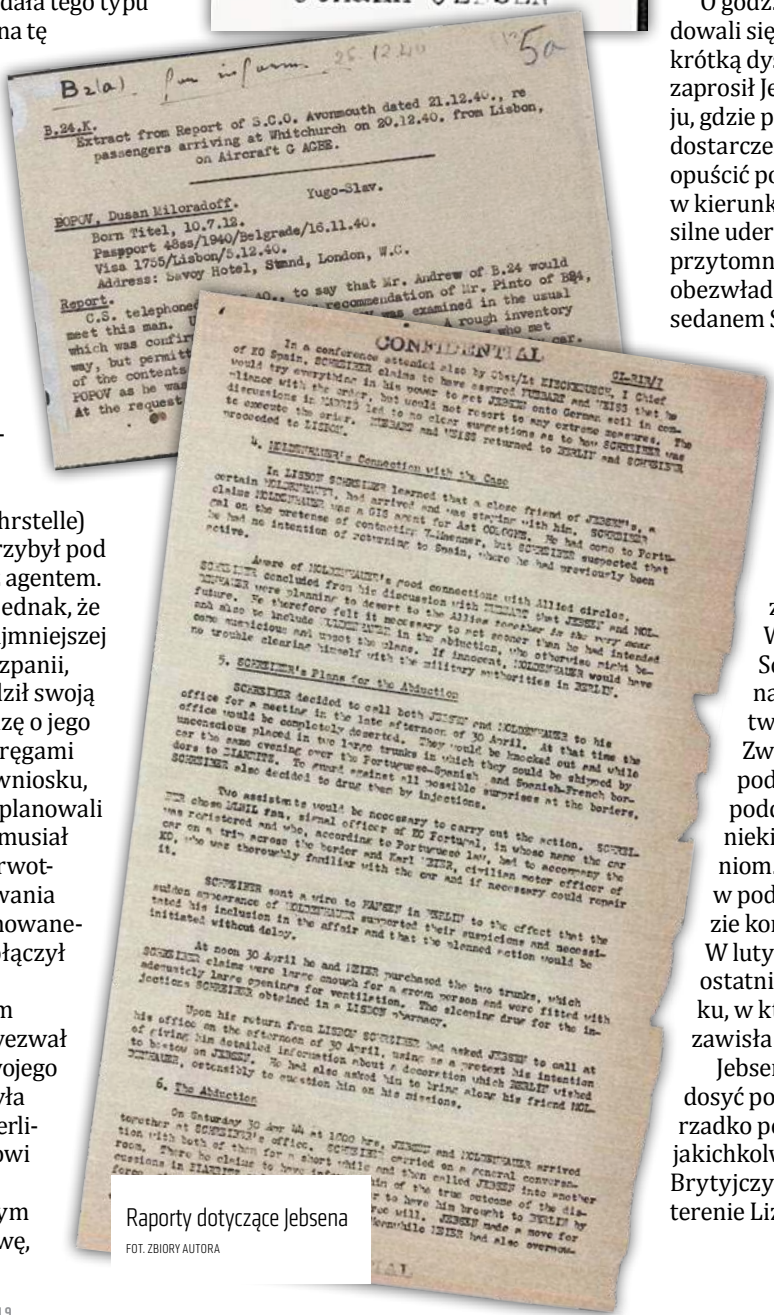
B2(a)

B.24.K.
Extract from Report of S.C.O. Avonmouth dated 21.12.40., re passengers arriving at Whitchurch on 20.12.40. from Lisbon, on Aircraft G ACEE.

Yugo-Slav.

BOPOV, Dusan Miloradoff.
Born Titel, 10.7.12.
Passport 48ss/1940/Belgrade/16.11.40.
Visa 1755/Lisbon/5.12.40.
Address: Savoy Hotel, Strand, London, W.C.

Report.
C.S. telephone... to say that Mr. Andrew of B.24 would meet this man. ... recommendation of Mr. Pinto of B24, which was confir... was examined in the usual way, but permitt... A rough inventory of the contents... who met POPOV as he was... car.
At the request...

CONFIDENTIAL

SL-31/1

In a conference attended also by Obst/Lt KIECKEBUSCH, I Chief of KO Spain, SCHREIBER claims to have secured FUEHART and WEISS that he would try everything in his power to get JEBSEN onto German soil in compliance with the order, but would not resort to any extreme measures. The discussions in MADRID led to no clear suggestions as to how SCHREIBER was to execute the order. FUEHART and WEISS returned to BERLIN and SCHREIBER proceeded to LISBON.

4. MOLDENHAUER's Connection with the Case

In LISBON SCHREIBER learned that a close friend of JEBSEN's, a certain MOLDENHAUER, had arrived and was staying with him. SCHREIBER claims MOLDENHAUER was a GIS agent for Ast COLOGNE. He had come to Portugal on the pretense of contacting T-Abwehrer, but SCHREIBER suspected that he had no intention of returning to Spain, where he had previously been active.

Aware of MOLDENHAUER's good connections with Allied circles, SCHREIBER concluded from his discussion with MOLDENHAUER that JEBSEN and MOLDENHAUER were planning to desert to the Allies together in the very near future. He therefore felt it necessary to set sooner than he had intended and also to include MOLDENHAUER in the abduction, who otherwise might become suspicious and upset the plans. If innocent, MOLDENHAUER would have no trouble clearing himself with the military authorities in BERLIN.

5. SCHREIBER's Plans for the Abduction

SCHREIBER decided to call both JEBSEN and MOLDENHAUER to his office for a meeting in the late afternoon of 30 April. At that time the office would be completely deserted. They would be knocked out and while unconscious placed in two large trunks in which they could be shipped by car the same evening over the Portuguese-Spanish and Spanish-French borders to BIARRITZ. To guard against all possible surprises at the borders, SCHREIBER also decided to drug them by injections.

Two assistants would be necessary to carry out the action. SCHREIBER chose BLEIL Sam, signal officer of KO Portugal, in whose name the car was registered and who, according to Portuguese law, had to accompany the car on a trip across the border and Karl MEIER, civilian motor officer of KO, who was thoroughly familiar with the car and if necessary could repair it.

SCHREIBER sent a wire to FAUSEY in BERLIN to the effect that the sudden appearance of MOLDENHAUER supported their suspicions and necessitated his inclusion in the affair and that the planned action would be initiated without delay.

At noon 30 April he and MEIER purchased the two trunks, which SCHREIBER claims were large enough for a grown person and were fitted with adequately large openings for ventilation. The sleeping drug for the injections SCHREIBER obtained in a LISBON pharmacy.

Upon his return from LISBON SCHREIBER had asked JEBSEN to call at his office on the afternoon of 30 April, using as a pretext his intention of giving his detailed information about a decoration which BERLIN wished to bestow on JEBSEN. He had also asked him to bring along his friend MOLDENHAUER, ostensibly to discussion him on his plans.

6. The Abduction

On Saturday 30 Apr 44 at 1600 hrs, JEBSEN and MOLDENHAUER arrived together at SCHREIBER's office. SCHREIBER carried on a general conversation with both of them for a short while and then called JEBSEN into another room. There he claim to have informed him of the true outcome of the discussions in BERLIN and that he had to have him brought to BERLIN by force if need will. JEBSEN made a move for ... Meanwhile MEIER had also overpow...

Raporty dotyczące Jebsena
FOT. ZBIORY AUTORA

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7519f1e932

Arkadiusz Karbowiak

Andrija Melnyka można uznać za ukraińskiego nacjonalistę z ludzką twarzą. Był wrogiem Bandery i OUN-B

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

Nacjonalizm / Rozłam w OUN

Rywal Bandery

Kilkanaście minut po godz. 12, w dniu 23 maja 1938 r., przed kinem Lumiere, przy ul. Consingel w Rotterdamie wybuchła bomba. Jak się później okazało, ładunek wybuchowy był ukryty w trzymanym przez ofiarę zamachu pudełku czekoladek, które zresztą zabity uwielbiał. W ten sposób zamordowany został przywódca Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów płk Jewhen Konowalec. Bezpośrednim sprawcą jego śmierci był funkcjonariusz NKWD Paweł Sudopłatow.

Decyzja o zabójstwie Konowalca zapadła w Moskwie, a podjął ją najprawdopodobniej sam Józef Stalin. Śmierć pułkownika pogłębiła toczącą się rywalizację w OUN pomiędzy „starymi", kawiarnianymi – jak mówiono – politykami a „młodymi" dynamicznymi radykałami. Jedynie Konowalec u jednych i u drugich cieszył się poważaniem i szacunkiem. W momencie gdy go zabrakło, rozpoczęła się wewnętrzna walka frakcyjna o schedę po zabitym liderze. Doprowadziła ona po kilku latach do rozłamu w OUN. Zanim to nastąpiło, na przywódcę organizacji po śmierci Konowalca wybrany został płk Andrij Melnyk.

Konflikt w OUN

Jego wybór wzbudził zdecydowanie negatywne reakcje u niektórych działaczy OUN. Melnyk był podobnie jak Konowalec oficerem Strzelców Siczowych. W 1919 r. został internowany przez władze RP. Natychmiast

eprasa.pl 7519f1e932

po opuszczeniu miejsca internowania wyjechał do Pragi, a następnie przedostał się do Galicji Wschodniej, gdzie stanął na czele Ukraińskiej Organizacji Wojskowej – UWO. Aresztowany 10 kwietnia 1924 r. stanął przed sądem jako jeden oskarżonych w procesie Olgi Besarabowej (działaczki UWO współpracującej z niemieckim wywiadem, która najprawdopodobniej zmarła lub została zakatowana przez śledczych w polskim więzieniu) i innych, na którym został skazany na cztery lata pozbawienia wolności. Po odbyciu części kary i opuszczeniu więzienia Melnyk został zarządcą dóbr leśnych abp. Andrija Szeptyckiego. Będąc na wolności, pułkownik nie prowadził już aktywnej działalności w strukturach UWO-OUN. Jego dystans i neutralną postawę wobec organizacji potwierdza odrzucenie propozycji przejęcia szefostwa w Krajowej Egzekutywie OUN.

Warto podkreślić, że o ile Melnyk cieszył się szacunkiem wśród byłych ukraińskich dowódców wojskowych – takich jak gen. Mikołaj Kapustiański i płk Roman Suszko, bohaterów walk o niepodległą Ukrainę z lat 1917–1921 – o tyle nie miał żadnego poważania u młodych bojowców OUN. Ci ostatni postrzegali go jako człowieka bardzo zachowawczego, opierającego swą działalność na zasadach Realpolitik, czego rewolucjoniści absolutnie nie akceptowali. Co gorsza, Melnyk jawił im się jako polityk tolerujący w swym otoczeniu działaczy ocenianych przez nich niezwykle krytycznie, takich jak Omelian Senyk, Jarosław Baranowski i Mykoła Ściborski.

Temu pierwszemu zarzucano zdradę i utratę praskiego archiwum OUN, co stało się przyczyną masowych aresztowań działaczy organizacji w Polsce (Czesi przejęte dokumenty OUN przekazali stronie polskiej). Oskarżenia Baranowskiego wiązały się z faktem agenturalnej działalności jego brata na rzecz polskiej policji. Natomiast Ściborskiemu inkryminowano sprzeniewierzenie się ideowym zasadom OUN (antysemityzm od połowy lat 30. był jednym z elementów ideologii OUN) poprzez trwanie w związku małżeńskim z Żydówką.

Poza sprawami personalnymi napięcie wewnętrzne w OUN wzmogła kwestia Rusi Zakarpackiej. W jej powstaniu młodzi OUN-owcy dostrzegli szansę na stworzenie ukraińskiej państwowości. Działacze OUN z Galicji Wschodniej nielegalnie przekradali się na tereny Zakarpacia, wstępując w szeregi Ukraińskiej Obrony Narodowej przemianowanej później na Sicz Karpacką.

OUN-owskim rewolucjonistom wydawało się, że wola i determinacja są jedynymi czynnikami, które przesądzą o powstaniu niepodległej Ukrainy. Nie rozumieli oni, że o utworzeniu ukraińskiej państwowości zadecydują przywódcy europejskich mocarstw i to ich głos w tej sprawie będzie miał zasadnicze znaczenie. Andrij Melnyk, mający spore doświadczenie polityczne, miał pełną świadomość tego, że sprawa Rusi

Andrij Melnyk FOT. WIKIPEDIA

Zakarpackiej stanie się przedmiotem rozgrywki międzynarodowej. Nie było dla niego tajemnicą, że III Rzesza będzie starała się poprzez przekazanie tych terytoriów Królestwu Węgier przyciągnąć to państwo na stronę tworzonej przez Berlin koalicji faszystowskiej. Dlatego Melnyk, widząc, że sytuacja międzynarodowa w Europie nie stwarza możliwości powstania samostijnej Ukrainy, nie chciał zbytnio angażować wszystkich możliwych sił do walk w obronie Rusi Zakarpackiej.

Prowidnyk OUN wydał nawet zakaz masowego przechodzenia OUN-owców z Galicji Wschodniej na tereny Rusi Zakarpackiej. Ta postawa pułkownika irytowała „młodych" działaczy w kraju, którzy oskarżali go o kunktatorstwo. W atmosferze wzajemnych oskarżeń i nieufności kilka miesięcy po upadku Ukrainy Zakarpackiej, a tuż przed wybuchem II wojny światowej, 27 sierpnia 1939 r. odbył się we Włoszech kongres OUN. Zaproszeni nań delegaci wybrali przez aklamację Andrija Melnyka na prowidnyka OUN.

Jego konflikt z działaczami młodej generacji zintensyfikował się, kiedy znacząca ich część na czele z Stepanem Banderą znalazła się na wolności we wrześniu 1939 r. W tym samym czasie działające w Polsce struktury OUN zainicjowały wiele wystąpień zbrojnych na Kresach Wschodnich. OUN wydał milczącą zgodę na te akcje, chcąc, by III Rzesza uznała OUN za lojalnego i potrzebnego sojusznika. Faktycznie przywódcy narodowosocjalistyczni rzeczywiście zamierzali wykorzystać OUN do wywołania antypolskiego powstania, ale tylko wtedy, gdyby Sowieci nie chcieli wywiązać się z zapisów zawartych w pakcie Ribbentrop-Mołotow. W momencie, gdy 17 września 1939 r. Armia Czerwona wkroczyła na tereny wschodniej Polski, OUN-owcy stali się dla III Rzeszy kłopotliwym balastem.

Prowidnyk na tę sytuację zareagował nakazem rozwiązania grup bojowych. Dokładnie rok później w OUN doszło do rozłamu. Czynnikiem, który o tym ostatecznie zadecydował, było wykluczenie przez Główny Trybunał Rewolucyjny OUN Stepana Bandery z szeregów OUN. Na przełomie marca i kwietnia 1941 r. frakcja banderowska zorganizowała II zjazd OUN-B. Jego uczestnicy wybrali Banderę na prowidnyka organizacji, przypieczętowując tym samym powstały rozłam.

W rękach gestapo

Niedługo potem banderowcy, dzięki koneksjom Riko Jarego, nawiązali bliskie kontakty z Abwehrą. Melnykowcy nie zdobyli takiego kredytu zaufania ze strony niemieckiego wywiadu, choć 120 członków tego odłamu OUN-M przeszło wojskowe przeszkolenie na terenie Słowacji. 22 czerwca 1941 r. wybuchła wyczekiwana wojna niemiecko-sowiecka. Kilka dni później, 30 czerwca, działacze OUN-M zostali

eprasa.pl 7519f1e932

Gubernator Hans Frank inspekcjonuje szeregi ukraińskich ochotników do SS Galizien FOT. NAC

zaskoczeni deklaracją niepodległości państwa ukraińskiego ogłoszoną we Lwowie przez jednego z liderów banderowskiej frakcji Jarosława Stećkę. Jak można się było spodziewać, z uwagi na brak wcześniejszego jej uzgodnienia z Niemcami ustosunkowali się oni do niej krytycznie.

Kierownictwo OUN-M nie zamierzało biernie oczekiwać na rozwój wydarzeń i wydelegowało na wschód Ukrainy grupy marszowe. Ich zadaniem było opanowanie administracji na zajmowanych przez Niemców terenach Ukrainy. Podobne grupy stworzyła OUN-B. W ten sposób rozpoczął się swoisty wyścig po władzę. Zwycięstwo w nim osiągnęli bardziej sprawni banderowcy, którzy jako pierwsi dotarli do wielu miast. Melnykowcom udało się objąć swym władaniem nieliczne ośrodki, m.in. Równe oraz częściowo Żytomierz, Charków i Kijów. Wkrótce wspomniana rywalizacja polityczna przybrała charakter konfliktu, w którym padły ofiary śmiertelne. Największym echem odbiły się dokonane w Żytomierzu zabójstwa Senyka i Ściborskiego – dwóch członków kierownictwa OUN-M.

Chociaż frakcja banderowska nie wzięła za ten mord odpowiedzialności, to nie ulega wątpliwości, że to „młodzi" z OUN-B byli zainteresowani ich likwidacją. Wersję o sprawstwie banderowskim potwierdzają zeznania złożone po wojnie przed śledczymi z NKGB przez czołowych liderów OUN-B Mychajła Stepaniaka i Myrona Matwijenkę. Ten ostatni zeznał, że zabójstw dokonali ludzie z centralnej grupy marszowej OUN-B kierowanej przez Mykołę Kłymyszyna. Sprawa zamordowania dwóch członków OUN miała poważne konsekwencje dla OUN-B, bo Niemcy wykorzystali ten fakt, by podjąć zdecydowane działania antybanderowskie. 15 września szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy RSHA wydał polecenie gestapo przeprowadzenia masowych aresztowań działaczy tej frakcji OUN. Wielu z nich trafiło potem do niemieckich obozów koncentracyjnych, m.in. KL Auschwitz i KL Sachsenhausen. Wśród deportowanych do obozów znalazł się również Stepan Bandera.

Tymczasem melnykowcy próbowali nadal tworzyć na wschodniej Ukrainie struktury administracyjne i policyjne. 5 października 1941 r. powstała w Kijowie pod ich auspicjami Ukraińska Rada Narodowa. Jej istnienie było bardzo krótkie, bo już 17 listopada 1941 r. Erich Koch, komisarz Rzeszy w RKU (Reichskommissariat Ukraine), nakazał rozwiązanie rady jako instytucji nielegalnej. Niedługo potem gestapo aresztowało kilkudziesięciu działaczy OUN-M na kilka dni przed organizowanymi przez nich pod Bazarem (wieś na Żytomierszczyźnie) uroczystościami z okazji rocznicy egzekucji dokonanej w 1921 r. przez bolszewików na 321 uczestnikach pochodu zimowego. Zatrzymanych zamordowano 6 grudnia 1941 r. pod Żytomierzem. Rozwiązany też został melnykowski Kureń Bukowiński, a jego członków włączono do 115. Policyjnego Batalionu Schuma (część służyła w batalionach 118. i 109.).

W ostrym konflikcie między melnykowcami i banderowcami padły ofiary śmiertelne. Zginęli m.in. dwaj członkowie kierownictwa OUN–M

Te posunięcia niemieckich władz i generalnie polityka okupacyjna realizowana na terenie RKU spotkały się z falą krytyki ze strony działaczy OUN-M. Swoje opinie formułowali oni na łamach legalnie ukazującego się „Ukraińskiego Słowa". W odpowiedzi niemiecka policja bezpieczeństwa dokonała aresztowań publicystów piszących w gazecie. W więzieniu znalazła się poetka Olena Teliha, jedna z przywódczyń OUN-M, którą za antyniemiecką agitację niemiecki sąd specjalny Sondergericht skazał na karę śmierci. Rozstrzelano ją wraz z kilkoma innymi członkami OUN-M 21 lutego 1942 r. w Babim Jarze. W sumie na przełomie lat 1941/1942 w samym tylko Kijowie dokonano egzekucji 621 osób związanych z OUN-M. Paradoksal-

eprasa.pl 7519f1e932

nie w okresie, gdy niemieckie plutony egzekucyjne likwidowały masowo melnykowców, lider organizacji Andrij Melnyk w styczniu 1942 r. wystosował do Hitlera kolejne memorandum zawierające propozycję współpracy. Odpowiedź na nie nigdy nie nadeszła. Tymczasem wiosna 1942 r. przyniosła dalsze represje, które Niemcy zastosowali wobec melnykowców w Charkowie, Łubniach i Mikołajewie.

Na Wołyniu...

W konsekwencji podczas trwającej w Poczajowie w maju 1942 r. konferencji OUN-M podjęto decyzję o zejściu do podziemia i zainicjowaniu działań propagandowych wymierzonych w Niemców. Działań militarnych nie chciano podejmować, aby nie osłabiać wysiłku wojennego Niemiec w walce z ZSRS. Rok później sytuacja uległa zmianie i na Wołyniu pojawiły się pierwsze grupy partyzantki melnykowskiej. Człowiekiem, który je tam zaczął organizować, był Ołeksa Babij „Arijec" – referent bojowy OUN-M obwodu łuckiego. Z czasem sam stanął na czele jednego z oddziałów partyzanckich. Zimą 1943 r. „Biłyj" (drugi pseudonim „Arijca") przeprowadził akcję na więzienie w Dubnie, skąd uwolnił osadzonych tam ukraińskich konspiratorów.

Wkrótce w jego ślady poszli inni, tworząc kolejne grupy bojowe. Ich dowódcami byli m.in: w obwodzie krzemienieckim Mychaiło Danyluk „Błakatnyj", a w dubieńskim Roman Kiweluk „Woron". Na wzrost aktywności partyzanckiej melnykowców zdecydowanie zareagowali Niemcy, którzy mając świadomość, że posiadają oni liczne zakonspirowane komórki w ukraińskiej policji, przystąpili do jej rozbrajania. W Krzemieńcu sztuka ta im się nie udała, bo dowodzący nią Mykoła Nedzwieckij „Chrin" zorganizował masową dezercję ukraińskich policjantów do lasu. W ten sposób powstał na obszarze Wołynia 1. Pułk Partyzancki OUN-M. Na początku maja 1943 r. dwie jego czoty (Maksa „NN" i Czarnoty „NN") na szosie pomiędzy Łuckiem a Krzemieńcem w okolicach Smygi zorganizowały zasadzkę. Wpadł w nią przypadkowo tamtędy jadący zwierzchnik Ukraińskiego Autonomicznego Kościoła Prawosławnego Aleksy Hromadskyj. Auto, którym metropolita się przemieszczał, zostało ostrzelane przez partyzantów, a on sam został ciężko ranny i niebawem zmarł.

Działania melnykowskiej partyzantki nie tylko wzbudziły negatywne reakcje ze strony niemieckich władz okupacyjnych, lecz także banderowskiej konkurencji. Kierownictwo OUN-B (potem OUN-SD) z niepokojem obserwowało próby nawiązania współpracy pomiędzy melnykowcami a oddziałami bulbowców Maksyma Borowcia „Bulby", obawiając się, że doprowadzi ona do stworzenia poważnej niezależnej od banderowców siły militarnej. I choć upowcy podpisali w maju 1943 r. porozumienie z melnykowcami, a oddziały OUN-M wzięły nawet udział wspólnie z UPA w atakach na trzy polskie wsie (partyzanci „Chrina" wraz z sotnią UPA Iwana Kłymyszyna „Kruka" spalili Kąty, mordując polskich mieszkańców wsi), to było jasne, że wołyńskie dowództwo UPA nie zamierza tolerować na swym terenie żadnej partyzanckiej konkurencji. Dlatego z początkiem lipca 1943 r. upowcy rozbroili melnykowskie oddziały, a ich członków wcielili do Ukraińskiej Powstańczej Armii (część z nich potem zdezerterowała).

Uczestnictwo niektórych oddziałów melnykowskich w antypolskich akacjach nie może przesłonić tego, że OUN-M – pomimo hołdowania tej samej co OUN-SD ideologii integralnego nacjonalizmu Dymytro Doncowa – nie aprobowała i zdecydowanie krytycznie oceniała wymierzone w polską ludność cywilną operacje UPA, uważając je za szkodliwe dla interesów ukraińskich. Jeden z liderów OUN-M Oleh Sztul-Żdanowicz tak pisał o tych kwestiach:

„Polaków cała Ukraina, a szczególnie Zachodnia – uważa za wrogów i zapewne całkiem słusznie. Prawda, że Polacy w miastach pracowali w gestapo przeciwko Ukraińcom, oni dawali największy kontyngent folksdojczów, oni poszli potem do policji w miejsce Ukraińców, którzy poszli do lasu, i przeprowadzali z Niemcami akcje przeciwko ukraińskiej ludności. Ale... ale z polskim narodem jednał nas wspólny wróg. A polska mniejszość na Ukrainie była gotowa być w swojej wiejskiej masie lojalna... Nie brakowało z polskiej strony prowokacji i przestępstw. Ale na to trzeba było odpowiedzieć sądem i karą dla winnych. [...] to, co na tym odcinku działo się w 1943 r., nie daje się wtłoczyć w żadne ramy. [...] cała akcja rubaniwśka [...] postawiła całą mniejszość polską przeciwko nam. To przyniosło straszliwe straty na forum międzynarodowym. Dla ukraińskiej walki wyzwoleńczej oznaczało to otwarcie jeszcze jednego frontu i pchnięcie Polaków w objęcia Niemców i bolszewików, niepotrzebnie wzmacniało te dwa fronty i tak nazbyt silne".

Likwidacja melnykowskich grup partyzanckich na Wołyniu skłoniła tamtejszych działaczy OUN-M do utworzenia w porozumieniu z Niemcami Wołyńskiego Legionu Samoobrony – policyjnej formacji, której członkowie brali udział w walkach z sowiecką i AK-owską partyzantką. Kolaboracja z Niemcami, taktycznie uzasadniona, nie mogła jednak zwolnić przywódców OUN-M z konieczności znalezienia nowych sojuszników w sytuacji nadchodzącej klęski III Rzeszy.

Melnykowcy rozpoczęli więc gorączkowe próby nawiązania kontaktów z przedstawicielami Wielkiej Brytanii i USA. Rozmowy z aliantami prowadziła placówka OUN-M w Helsinkach, kierowana przez Bohdana Kentrzynskiego. Niemcy, dowiedziawszy się o tych posunięciach, aresztowali 26 stycznia 1944 r. płk. Melnyka i osadzili w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen. Aresztowania objęły szersze kręgi działaczy melnykowskich. W maju 1944 r. do KL Sachsenhausen trafił zamordowany w obozie miesiąc później p.o. prowidnyka OUN-M Olżycz Kandyba. Więcej szczęścia miał zwolniony w październiku 1944 r. z KL Sachsenhausen Andrij Melnyk. Przywódca OUN-M zmarł na emigracji w Luksemburgu 1 listopada 1965 r.

Odznaka naramienna Dywizji Waffen SS-Galizien FOT. WIKIPEDIA

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7519f1e932

1914–1918 / Oficerowie spod Mołotkowa, Rafajłowej i Rokitnej

Bohaterowie żelaznej brygady

Marek Gałęzowski

Zwycięski sztandar zatknięto w okopie – i krzyż samotny zatknięto nad ziemią... Tam, gdzie waleczni legioniści drzemią...

Żołnierze Legionów Polskich jesienią 1914 r. i w pierwszej połowie 1915 r. bili się nie tylko w Królestwie. Ciężkie boje na froncie w Karpatach i na Bukowinie toczyły 2. i 3. pułki piechoty, wpisując w dzieje chwały polskiego oręża nazwy: Mołotków, Rafajłowa, Pasieczna, Nadwórna. Najsłynniejszym epizodem tych bojów obu pułków legionowych, przekształconych wiosną 1915 r. w II Brygadę, była słynna, porównywana do Somosierry, szarża pod Rokitną 13 czerwca tegoż roku, podczas której polegli: dowódca 2. Dywizjonu Ułanów Legionowych, rtm. Zbigniew Dunin-Wąsowicz, oraz dwaj inni oficerowie – por. Jerzy Kisielnicki i por. Roman Włodek. Lecz od początku pobytu na froncie w Karpatach zginęło wielu znakomitych oficerów. Już w pierwszych tygodniach walk polegli: chor. Mieczysław Czechowicz, chor. Władysław Guzdek,

eprasa.pl 7519f1e932

Wojciech Kossak, „Szarża pod Rokitną" FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

ppor. Tadeusz Gawryś, ppor. Jan Dudziński. Potem kolejni…

Złamana szabla

Październikowego dnia 1914 r. oddział 25 legionistów z 3. pułku został wysłany na rozpoznanie pozycji rosyjskich pod Nadwórną. Kiedy dotarli do wsi Pniów, łączącej się z Nadwórną, okazało się, że wpadli w pułapkę. „Zarówno chor. Czechowicz, jak i jego towarzysze, nie prosząc kozaków o pardon, bronili się zaciekle, aż wszyscy upadli wielokrotnie ranami pokryci i w dziki sposób pomordowani" – pisano w opublikowanej w następnym roku książce „Szlakiem bojowym Legionów". Kapelan pułku, ks. Józef Panaś, widział potem „ślady rozpaczliwej walki, która się tu rozgrywała; rozbite czaszki, zmiażdżone ciała, jeszcze ciepłe i krwią bluzgające. Komendant patrolu chorąży Czechowicz z rękojeścią złamanej szabli klęczy zesztywniały u płotu. Według opowiadania jednego z rannych, gdy chorąży został ranny w pierś, oparł się o płot i zaczął mówić pacierz, lecz druga kula trafiła go w czoło i zakończyła ostatnią modlitwę". Wedle jeszcze innej wersji kozacy przebrani przez miejscowych chłopów za robotników leśnych, wraz z nimi „wyszedłszy z chat swych do lasu pod pozorem rąbania drzewa, zaskoczyli nieprzeczuwających podstępu legionistów i wymordowali ich, zadając im po kilkanaście ran kołami i siekierami".

Dowódca tego oddziału rozpoznawczego, Mieczysław Czechowicz, miał 21 lat. Przed wojną działał w Towarzystwie Gimnastycznym „Sokół" i w skautingu niepodległościowym, był też członkiem skautowego Oddziału Ćwiczebnego im. Teofila Wiśniowskiego w Złoczowie. Zaraz po sformowaniu 3. pp objął dowództwo plutonu. W chwili, kiedy ginął pod Pniowem, nie minęły nawet dwa tygodnie, kiedy uzyskał awans do stopnia chorążego.

Trzy dni później pod Sołotwiną poległ rówieśnik Czechowicza, Władysław Guzdek „Rogala". „Wychowany i wykształcony wojskowo na najczystszych zasadach ideowych świecił całem swym zachowaniem się oddziałowi jako wzór polskiego żołnierza – ofiarnego i gotowego na najtwardszy rozkaz. W ciężkich walkach na Węgrzech północnych i Karpatach niecił zapał do walki i służby dla Ojczyzny, znosił na równi z szeregowcami trudy i zmęczenie, na postoju i w walce ucząc młodego ochotnika własnym przykładem ofiary i męstwa. Przeprowadził na czele swego plutonu szereg żmudnych, ale udatnych wywiadów okrężnych poprzez dzikie części Alp Rodniańskich (okolice Marmarosz Sziget) oraz Czarnohory. Jako jeden z pierwszych przedarł się przez Karpaty do granic Galicji i pierwszy stoczył walkę na ziemiach Polski" – tak pisano o nim we wniosku o odznaczenie Virtuti Militari.

Urodził się w Stryju, ale gimnazjum ukończył w Podgórzu (obecnie dzielnica Krakowa) i rozpoczął studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Przed wojną działał w skautingu, gdzie pełnił funkcję drużynowego. Należał do Związku Strzeleckiego, w którym ukończył kurs oficerski. Początkowo, kiedy w sierpniu 1914 r. w Krakowie formowały się pierwsze bataliony legionowe, służył w oddziale Józefa Piłsudskiego, a następnie w 1. pp, w batalionie słynnego mjr. Tadeusza Wyrwy-Furgalskiego (miał nawet pełnić funkcję jego adiutanta), a następnie w batalionie rekruckim Kazimierza Florka. Ten drugi wspominał później o znaczącym zaangażowaniu „Rogali" w dzieło organizacji oddziału.

Wziął udział w pierwszych walkach strzelców z Rosjanami na Kielecczyźnie, ale 10 września „jako zdolny oficer i instruktor przydzielony został do kadr rekruckich" – batalionu uzupełniającego w Krakowie. Jeszcze w tym samym miesiącu przeszedł do 2. pp na stanowisko dowódcy plutonu w III batalionie i został mianowany chorążym. Miesiąc później, „w walce pod Mołotkowem, w dniu poprzedzającym walną bitwę II Brygady, zginął rażony kilkoma kulami rosyjskimi, w chwili gdy na czele szczupłego plutonu, wysłanego na głęboki wywiad, rzucał się do przerwania otaczającego kordonu n[ieprzyjacie]la. Niezwykłym poświęceniem się samotnie zdołał ocalić resztę swego plutonu" – pisano w cytowanym wniosku o odznaczenie Virtuti Militari.

> **Broni się rewolwerem do ostatka, trupy i rannych kładąc, sam przedziurawiony dosłownie kulami…**

Mołotków

Naprzód w opłotki – Hura!… Na bagnety!…
Gruchnęły salwy u ziemi… „Złóż broń!" –
Hura!!…
Dłoń podaj!… Bracie – podaj dłoń!
Pomóż mi – bowiem tak śpieszno mi dalej
a z ziemi podnieść nie mogę się wzwyż…
Cóż to?… na piersiach… sznur kraśnych korali!…
bracie – na czole kładź ostatni krzyż…
niech Cię prowadzi naprzód Częstochowska!
to nic – ty nie płacz – zmień serce we spiż!…
Jakiś sen dawny w oczach mi się pali –
sen to – czy jawa!?… Olszynka Grochowska!…
Tam, tam przed nami – patrz!… z bronią u oka
stanęli mierząc… Mgła oczy spowija…
Nie trudź się bracie – to rana głęboka…
Za Polskę!…
Jezus – Józef – i Maryja!…

Tak w swoim wierszu pisał o jednej z największych bitew legionowych – wspomnianym już Mołotkowem – Józef Mączka, przedwcześnie zmarły oficer

eprasa.pl 7519f1e932

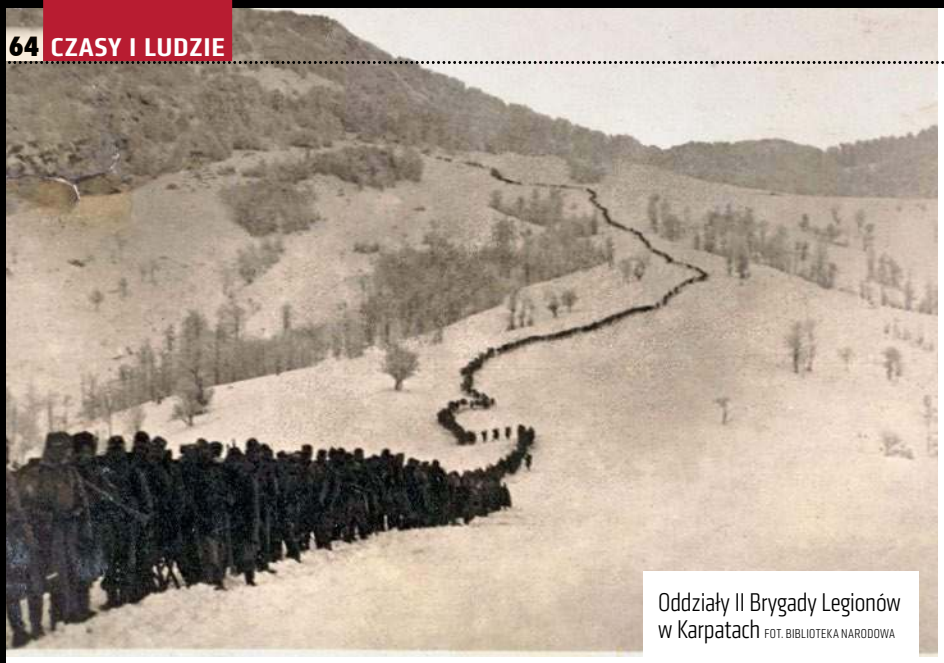

Oddziały II Brygady Legionów w Karpatach FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

II Brygady i wybitny poeta. Jednym z jej bohaterów był 33-letni Tadeusz Gawryś. Absolwent gimnazjum w Rzeszowie, po ukończeniu studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim został nauczycielem historii i geografii w gimnazjum w Przemyślu. W 1910 r. zdał państwowy egzamin nauczycielski i podjął pracę w gimnazjum w Sokalu, dwa lata później został profesorem w gimnazjum w Dębicy. Działał w Polowych Drużynach Sokolich, kierował drużyną w Dębicy i na jej czele na początku sierpnia 1914 r. przybył do Krakowa, pozostawiając żonę i sześcioro małych dzieci. Mianowany chorążym, dowodził plutonem w 2. pp. O jego umiejętnościach pisał dowódca tego pułku, późniejszy generał WP Bolesław Roja: „Ten nie bawi się w filozofię żadną, ludzi krótko bierze. Z tego na pewno będą na froncie ludzie i żołnierz!".

Takim był Gawryś i pod Mołotkowem. „W południe, już w pełnym toku akcji, gdy znalazłem się na lewym skrzydle 15-ki, biegł właśnie z własnej inicjatywy naprzód, w kierunku ostrzeliwującego nas karabinu maszynowego służbisty, jak to pod Nadwórną i Bohorodczanami miałem sposobność już się przekonać, oficer batalionu, por. Gawryś. Jednak na tej równej jak stół przestrzeni było to szaleństwem. Niestety odległość ode mnie znaczna [...] Gawryś nie mógł mnie ani widzieć, ani słyszeć [...]. W moich oczach większość tego plutonu wraz z Gawrysiem padła tuż na jakieś pięćdziesiąt metrów przed zabudowaniami i stanowiskiem karabinu maszynowego dobrze okopanej pozycji Moskali" (Bolesław Roja). Był 29 października 1914 r. Ciężko ranny Gawryś zmarł cztery dni później w Stanisławowie. Pośmiertnie został mianowany porucznikiem.

Majster murarski

W tym wojsku, w którym większość oficerów wywodziła się ze środowiska inteligenckiego, Jan Dudziński, rówieśnik Czechowicza i Guzdka, zakończył edukację na piątej klasie krakowskiego gimnazjum i po odbyciu praktyki rzemieślniczej pracował jako murarz w rodzinnym mieście. Należał do PPS-Frakcji Rewolucyjnej, ale w ruchu strzeleckim działał w wywodzących się ze środowiska młodzieży narodowej Polskich Drużynach Strzeleckich.

Największym osiągnięciem „Janowskiego", gdyż takiego pseudonimu używał, było zorganizowanie drużyny w Łagiewnikach (dziś część Krakowa). Jak pisał wybitny historyk i działacz drużyniacki Wacław Tokarz – „przysporzyła nam [ona] dużo popularności w sferach podmiejskich. Kierował nią śp. Janowski, murarz z zawodu, niezrównany krakowski typ z przedmieścia, a później taki wyborny oficer w Karpatach; składała się ona zaś z ludzi tak silnych, że później na ćwiczeniach, gdyśmy podczas przerw zmęczeni kładli się na trawie, oni poczynali dopiero na dobre baraszkować".

Odznaka pamiątkowa szarży pod Rokitną FOT. DESA.ART.PL

Nie inaczej pisano w uzasadnieniu wniosku o odznaczenie Dudzińskiego Krzyżem Niepodległości: „Przyczynia się bardzo wydatnie do organizacji podmiejskich drużyn, kończy szkołę podoficerską [...]. Pracą swą w Drużynach Strzeleckich umożliwił dostęp do młodzieży robotniczej Krakowa. Zapałem swym i niepożytą energią przyczynił się w pierwszym rzędzie do oparcia pracy niepodległościowej o szersze kręgi ludowe. Odznaczał się surowością w pracy przede wszystkim dla siebie oraz bezwzględną ideowością w pojmowaniu obowiązków".

Po wybuchu wojny Dudzińskiego zmobilizowano do armii austriackiej, jednak po kilku dniach zdezerterował. Był poszukiwany przez żandarmerię, w jego rodzinnym domu przeprowadzono liczne rewizje. Nic to nie dało, „Janowski" objął dowództwo plutonu w 2. pp, został mianowany chorążym i wziął udział w kampanii karpackiej. Odznaczył się odwagą pod Nazawizowem, gdzie dokonał wywiadu na tyłach rosyjskich tak blisko, że słyszał słowa komendy, później w bitwie pod Mołotkowem, skąd wyprowadził swoją kompanię otoczoną przez Rosjan, wreszcie pod Pasieczną, „prowadząc przednią straż kolumny w ogniu nieprzyjacielskich karabinów" (jak relacjonowano w krakowskim „Naprzodzie"). Za ten czyn bohaterski 11 listopada został mianowany podporucznikiem. „Zwierzchnikiem był surowym i wymagającym, ale żołnierze wybaczali mu to chętnie, albowiem mieli to poczucie, iż pod jego dowództwem wyjdą cało z najniebezpieczniejszych wypraw. Specjalnością Dudzińskiego była służba wywiadowcza, gdzie też w całej pełni jaśniała jego odwaga niezłomna w połączeniu z wielką ostrożnością i doskonałem orientowaniu się w sytuacji" – pisano w „Wiadomościach Polskich".

Po włączeniu swojego batalionu do 2. pp 3 grudnia objął w nim dowództwo

eprasa.pl 7519f1e932

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

kompanii. Nie cieszył się nim długo. Został śmiertelnie ranny w głowę 12 grudnia, w ataku na pozycje rosyjskie na górze Klivia (Czuszka), „idąc na czele komp[anii]". Jak dodawano w „Diariuszu Brygady Karpackiej", „ponieważ kompania węgierskich pospolitaków po stracie swego komendanta cofnęła się, nagle odsłaniając tem lewe skrzydło Dudzińskiego, [jego nacierająca kompania] dostała się pod ogień flankowy. Wtedy zginął Dudziński oraz 8 jego towarzyszy". Pośmiertnie został mianowany podporucznikiem i odznaczony Virtuti Militari.

„Nieustraszony i niezrównany w służbie wywiadowczej, pełen rozwagi i zimnej krwi oficer, surowy i wymagający […]. Był wzorem obywatela, żołnierza i oficera – a bluza robotnicza zmieniona na polu walki na oficerską – honor i cześć przynosi temu prawdziwemu synowi Wolnej już dziś Ojczyzny" – pisano po latach w „Panteonie Polskim". Dodajmy, że Dudziński pochodził z patriotycznej rodziny, a jego ojciec Andrzej, który również przed wojną należał do PDS, po śmierci syna, mimo skończonych 56 lat, zgłosił akces do Legionów. Brat „Janowskiego", Stanisław, sierżant 2. pp, poległ w późniejszych walkach II Brygady, a pośmiertnie został odznaczony Krzyżem Walecznych.

Karpacka Somosierra

„O świcie batalion nasz w pościgu za Rosjanami mija ich linie bojowe z poprzedniego dnia. Przed pierwszą linią, obok zabitych wierzchowców, leżą trzej bohaterscy oficerowie, rotmistrz Wąsowicz, porucznik Kisielnicki i Włodek. Batalion przechodzi w głębokim milczeniu" – wspominał Marian Mysłakowski, świadek szarży pod Rokitną, żołnierz II Brygady. Dowodzący szarżą rtm. Zbigniew Dunin-Wąsowicz jest wymieniany w każdym, nawet najbardziej okolicznościowym artykule traktującym o tym heroicznym wyczynie. Mniej wiadomo o dwóch innych oficerach, którzy polegli ze swoim dowódcą tego pamiętnego 13 czerwca 1915 r.

Roman Włodek, pseudonim Prawdzic, przekroczył już czterdziestkę i był w ogóle jednym z najstarszych wiekiem oficerów, którzy polegli na legionowym szlaku. Urodził się w Poznaniu, ale młodość spędził w Warszawie, później studiował prawo i do wybuchu wojny pracował jako sędzia we Lwowie. Był właścicielem majątku ziemiańskiego w Margitfalva (dziś na Słowacji). Odbył służbę wojskową w artylerii armii austriackiej, otrzymał stopień podporucznika rezerwy. W Legionach dowodził plutonem 2. Szwadronu Kawalerii, który 1 października 1914 r. wyruszył na front w Karpatach. Po przekształceniu szwadronu w dywizjon 5 maja 1915 r. został zastępcą dowódcy, rtm. Dunina-Wąsowicza. A 13 czerwca,

W śmiertelnym galopie
pada Wąsowicz.... Włodek z konia leci...
Zwycięski sztandar zatknięto w okopie –
i krzyż samotny zatknięto nad ziemią...
Tam, gdzie waleczni legioniści drzemią...
Leżą tam oni, jak Rejtan u proga,
Z otwartą piersią... na straży honoru...

Jerzy Kisielnicki był młodszy o kilka lat od Włodka. Ukończył gimnazjum oo. jezuitów w Chyrowie, a następnie studia w Szkole Politechnicznej we Lwowie. Inżynier budownictwa, specjalizował się w budowie wodociągów i zbiorników wodnych, pracował m.in. przez kilka lat w Brzeżanach. Przed wojną działał w ruchu sokolim we Lwowie, był członkiem Oddziału Konnego Sokołów Konnych przy Gnieździe nr 3 na Zamarstynowie. Po wybuchu wojny wraz z tym oddziałem, dowodzonym przez Marcelego Śniadowskiego, przybył do Krakowa, gdzie podporządkował się Józefowi Piłsudskiemu. Brał udział w kampanii kieleckiej. 23 sierpnia 1914 r. wraz z Dunin-Wąsowiczem wrócił do Krakowa w celu tworzenia dalszych oddziałów kawalerii legionowej. Jako chorąży objął dowództwo plutonu w 2. Szwadronie i wyruszył na front karpacki. W nagrodę za męstwo pod Cucyłowem został mianowany podporucznikiem.

Po przekształceniu szwadronu w dywizjon 5 maja 1915 r. objął dowództwo szwadronu. 13 czerwca „kazano ułanom wyruszyć z sadu ku Rokitnej i ustawić się tam w dolinie na prawo od drogi. W chwilę, w minut kilka byli już gotowi i z radosnem parskaniem koni wyruszył dywizyon pod komendą porucznika Włodka Romana. Na czele drugiego szwadronu jechał podpor. Topór-Kisielnicki [...]. Aż dojechali do pozycyi atakującej piechoty… Tu był jar na prawem skrzydle zupełnie osłoniony i w nim to ustawieni czekali dalszych rozkazów…" – pisał Wiktor Mondalski w opowieści „Z trzecim pułkiem Legionów". Potem zaczęła się słynna karpacka Somosierra. „Podporucznikowi Kisielnickiemu Moskal wyskakujący z okopu rani konia bagnetem. Napadnięty, osaczony, nie widząc już wyjścia – chyba żeby się poddał – broni się rewolwerem do ostatka, trupy i rannych kładąc, sam przedziurawiony dosłownie kulami, których siedm przeszło przez ciało, a ósma w mózgu utkwiła – śmiertelna" (Mondalski).

Obu bohaterów legionowej kawalerii pośmiertnie odznaczono Orderem Virtuti Militari V klasy, Krzyżem Walecznych i Krzyżem Niepodległości. Obaj spoczywają na cmentarzu Rakowickim w Krakowie, wraz z rtm. Dunin-Wąsowiczem.

Takie to były dzieje żołnierzy tych pułków, które wiosną 1915 r. złączyły się w II Żelazną Brygadę, a wcześniej na Przełęczy Pantyrskiej postawiły krzyż z napisem, wyrytym bagnetem przez Adama Szanię, żołnierza taboru 3. Pułku Piechoty: „Młodzieży polska, patrz na ten krzyż, Legiony Polskie dźwignęły go wzwyż, przechodząc góry, doliny i wały, dla Ciebie, Polsko, i dla Twej chwały".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, profesorem Uczelni Łazarskiego.

eprasa.pl 7519f1e932

Leszek Lubicki

Witold Pruszkowski „Piast (Ofiarowanie korony Piastowi)", ok. lat 1872–1875, olej/płótno; wymiary: 260 x 392 cm, wł. Muzeum Narodowe w Warszawie, na ekspozycji w Muzeum Początków Państwa Polskiego w Gnieźnie. Na drugiej stronie: Witold Pruszkowski FOT. MNW

Dzieje w obrazie / Witold Pruszkowski

Piastowska zagadka

Ile prawdy jest w tym, że po złym Popielu nastał prosty Piast Kołodziej, który dał początek nowej polskiej dynastii?

Zanim spróbujemy odpowiedzieć na pytanie, czy istotnie tak było, spójrzmy na obraz Witolda Pruszkowskiego. Malarza, w którego twórczości nie znajdujemy w ogóle obrazów historycznych oprócz tego jednego. Tworzył on przede wszystkim portrety i obrazy fantastyczne oraz dzieła inspirowane poezją Słowackiego i Krasickiego. Co więc pchnęło tego wrażliwego artystę, romantyka wręcz, do namalowania największego obrazu, który stworzył, mówiącego o początkach dziejów Polski?

Pruszkowski był uczniem Jana Matejki i wydaje się, że był to ukłon w stronę mistrza, niejako praca zaliczeniowa jego studiów. Rekwizyty ukazane na obrazie: korona ofiarowana Piastowi, ubrania osób z prawej strony płótna i ich uzbrojenie, są wzięte z wyobraźni artysty. Krytycy sztuki zwracali uwagę na wady dzieła. Uważano, że „nie harmonizuje ze sobą połączenie legendy ze skrajnym realizmem w traktowaniu". Były też inne zarzuty odnoszące się do technicznych braków, np. że Piast jest „ascetycznie wymizerowany". Niemniej malarz stworzył obraz, który widzowi miał pokazać początek pierwszej polskiej dynastii jako część legendy, ale i ewentualną część prawdy o Piaście czy raczej piaście pisanego małą literą. O tym już jednak niżej.

XIX-wieczny historyk A. Sokołowski w ogóle Piastem nie zawracał sobie głowy. Uczony pisał: „Nie wdając się w krytykę na wpół mitycznych podań bajecznych, które na dwie grupy się dzielą: małopolską o Kraku i Wandzie jako też wielkopolską o Popielach, przystępujemy wprost do właściwej historyi polskiej". Zaczyna opisywać nasze dzieje od pradziada Mieszka I – Siemowita.

Jednak przecież przed tymże Siemowitem musiał ktoś być. Był nim Piast, prosty chłop, a przed nim Popiel? Mediewista J. Strzelczyk zapytany, czy wierzy w Popiela, odpowiada: „To nie jest kwestia wiary. Jestem przekonany, że go nie było. Nie ma żadnych poważnych argumentów za tym, że istniał". Co do Piasta profesor już takiej pewności nie ma. „Też za bardzo nie wierzę, choć w tym przypadku można by mieć wątpliwości. W przeciwieństwie do Popiela chodzi tu bądź co bądź o protoplastę rzeczywiście panującego rodu. Trudno przyjąć, że ktoś go po prostu wymyślił". To Gall Anonim wymienił kolejne postaci z linii dynastycznej, po (legendarnym?) Piaście:

„Siemowit tedy, osiągnąwszy godność książęcą, młodość swą spędzał nie na rozkoszach i płochych rozrywkach, lecz oddając się wytrwałej pracy i służbie rycerskiej [...], a granice swego księstwa rozszerzył dalej niż ktokolwiek przed nim. Po jego zgonie na jego miejsce wstąpił syn jego, Lestek, który czynami rycerskimi dorównał ojcu w zacności

eprasa.pl 7519f1e932

i odwadze. Po śmierci Lestka nastąpił Siemomysł, jego syn, który pamięć przodków potroił zarówno urodzeniem, jak i godnością. Ten zaś Siemomysł spłodził wielkiego i sławnego Mieszka, który pierwszy nosił to imię [...]".

Czyli Piast władzy po obalonym czy też zabitym Popielu nie przejął osobiście, tylko przekazał ją swojemu synowi Siemowitowi. Od niego rozpoczyna się dziedziczność piastowskiego tronu, która trwa przez kilka wieków. Kronikarz na założyciela dynastii wskazuje więc Siemowita. Inaczej widział to Jan Długosz, który uważał, że twórcą jedynej czysto polskiej dynastii był właśnie Piast, gdyż to z jego „krwi wyszli królowie i książęta". Wątpliwości mają za to współcześni historycy.

Pamięć o Popielu

Jak pisze M.K. Barański: „Najpierw oczywiście została odrzucona opowieść o myszach i o cudach na uczcie u Piasta. Natomiast dalsza część Gallowej relacji sprawia historykom do dziś dużo kłopotów. Choć prawie nikt nie wierzy w istnienia Piasta i Rzepki, to już następni zapisani w »Kronice« przez jednych uznawani są za postacie historyczne, inni natomiast uważają, że oni należą też do legendy".

Ostatnimi czasy tu i ówdzie słychać głosy, że Mieszko I może był wikingiem, czy też przybył z Wielkich Moraw, bo przecież „dziki" władca Polan nie mógł zbudować tak prężnej państwowości. Nie będziemy wchodzić w ten dyskurs, bo – jak uważa A. Buko – nie można „wiązać początków dynastii z obcymi etnicznie przybyszami, ponieważ nie upoważniają do tego ani źródła pisane, ani tym bardziej dane archeologiczne". Jednak wydaje się, że okres panowania trzech przodków Mieszka wymienionych przez Galla to czas zbyt krótki, by zbudować tak prężną państwowość, do której przybywa czeska księżniczka z dynastii Przemyślidów, córka Bolesława I Srogiego, i bierze ślub z księciem Polski, a kraj poprzez chrzest, bez sprzeciwów możnych tego świata, włącza się w cywilizację zachodnią. Ba, kilka lat później spuszcza potężne manty Niemcom pod Cedynią.

To może jednak Popiel był, rządził i budował państwo Polan? P. Jasienica tego nie wyklucza. „Nie znamy daty urodzin Mieszka. Z pewnym prawdopodobieństwem możemy tylko mówić, że było to gdzieś około roku 920. Jeśli policzyć czas potrzebny na życie oraz rządy jego ojca, dziada i pradziada, wypadnie, że ród Piastów wstąpił na tron w pierwszej połowie IX wieku. Czyżby zatem najstarsze umocnienia gnieźnieńskie, pamiętające wiek VIII, wznosili jeszcze Popielidzi? Może wieści o nich należą nie tylko do legendy?".

Gall pisał swoją kronikę na dworze Bolesława Krzywoustego. Wydaje się, że kolejność władców naszych podał bezbłędnie. Trudno bowiem sądzić, aby na książęcym dworze nie pamiętano, kto rządził przed Mieszkiem I. Kronikarz wspomina także Popiela: „Był mianowicie w mieście Gnieźnie [...] książę imieniem Popiel, mający dwóch synów [...]". I dalej: „Młody Siemowit, syn Piasta Chościskowica, wzrastał w siły i lata i z dnia na dzień postępował i rósł w zacności do tego stopnia, że król królów i książę książąt [tj. Pan Bóg] za powszechną zgodą ustanowił go księciem Polski, a Popiela wraz z potomstwem doszczętnie usunął z królestwa".

Czyli tradycja, bo ówczesnych źródeł pisanych nie posiadamy, zachowała – jak zauważa G. Labuda – „pamięć o Popielu, który żył w drugiej połowie IX wieku. Ta sama tradycja utrwaliła też imię Piasta, książęcego rataja, który mieszkał na gnieźnieńskim podgrodziu i miał być przodkiem panującej w Polsce dynastii po obaleniu rządów Popiela".

Nie imię, tylko profesja

Czas wrócić do piasta pisanego małą literą. Część historyków uważa, że nie było to imię, tylko profesja. Piast, czyli piastun. Tak więc nasz Piast zajmował się opieką i wychowaniem dzieci władcy (Popiela?). Po jego obaleniu piastun przejął władzę. Jak pisali M. i Z. Wojciechowscy: „W zapomnienie poszło imię noszone przez »piasta«, protoplastę rodu, a rodowi jako nazwa pozostała nazwa urzędu". Jednak pojęcie „Piastowie" nie pojawiło się wraz z nastaniem dynastii. Dopiero w XV stuleciu „weszło do obiegu" dzięki Długoszowi, a tak na stałe – jak pisze S. Szczur – „do narodowej historiografii termin ten wprowadził A. Naruszewicz pod koniec wieku XVIII. W średniowieczu przedstawicieli dynastii nazywano książętami Polski".

Patrząc na obraz Witolda Pruszkowskiego, nie zapominajmy, że dzieło inspirowane było słowami zaczerpniętymi z kroniki Galla Anonima. Nie wykluczajmy, że może być w niej pewna część prawdy dotycząca Piasta i jego poprzednika, choć wcale nie musi. Jest to jednak nasza, rodzima legenda (historia), tak jak rodzima jest piastowska dynastia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7519f1e932

Powstanie / Kulisy śmierci 300 warszawiaków

Tragedia na Kilińskiego

Piotr Zychowicz

Wbrew późniejszej legendzie na Starówce wcale nie eksplodował czołg pułapka. Straszliwa tragedia była skutkiem fatalnych błędów

Najgorszym dniem mojego życia był 13 sierpnia 1944 roku" – tak swoją opowieść rozpoczęła Teresa Łatyńska. Sanitariuszka AK, weteranka Powstania Warszawskiego. Tego dnia przebywała na kwaterze na Starówce. Późnym popołudniem usłyszała przez okno wiwaty. Zaintrygowało ją to, więc wyszła na balkon.

O tym, co zobaczyła, opowiedziała po kilkudziesięciu latach Annie Herbich, autorce książki „Dziewczyny z Powstania".

Środkiem ulicy jechał mały czołg otoczony tłumem żołnierzy i cywilów – mówiła pani Łatyńska. – Wszyscy byli zachwyceni, podnieceni, poklepywali pancerz.

– Zdobyczny czołg! Zdobyczny czołg! – dolatywało z ulicy.

Mnie też udzielił się ten entuzjazm. To było po prostu wspaniałe, nie mogłam w to uwierzyć. Sytuacja coraz trudniejsza, Niemcy w natarciu, po naszej stronie pada coraz więcej rannych i zabitych, dramat. A tu nagle taki sukces. Wszystko to wyglądało jak sen. Jak jakaś defilada zwycięstwa.

Gdy czołg skręcił w Kilińskiego, tłum zgęstniał i zaczął coraz bardziej na niego napierać, każdy chciał go dotknąć. Ludzie wylegli z mieszkań, z piwnic. Maszyna posuwała się powoli, wszystko działo się jakby w zwolnionym tempie. Jakiś mężczyzna wręczył idącej obok pojazdu młodziutkiej sanitariuszce bukiet kwiatów. Uśmiechnęła się szeroko, poprawiła odruchowo włosy.

Wtedy coś mnie tknęło. Spojrzałam na czołg. Chyba zaczęło się coś w nim psuć, jakiś element powoli zsuwał się z pancerza. Z góry wszystko było widać jak na dłoni. To coś odłączyło się od konstrukcji maszyny i zaczęło spadać na ziemię... Zamarłam, ale ludzie wokół niczego nie zauważyli. Euforia była zbyt wielka. Jakiś mały chłopczyk, na oko czteroletni, podbiegł do samej gąsienicy, otworzył szeroko buzię, żeby krzyknąć z radości...

To, co się wówczas wydarzyło, przekracza ludzkie pojęcie. Obraz ten prześladuje panią Teresę Łatyńską aż do dziś. Był to po prostu horror. Przerażający majak senny, tyle że to wydarzyło się naprawdę.

Nastąpiła eksplozja – opowiadała sanitariuszka AK. – W promieniu dobrego kilometra wszystkie szyby wyleciały z okien, ludzi zwaliło zaś z nóg. Jakieś martwe ciało – najprawdopodobniej kierowcy – wleciało z impetem na nasz balkon. To był sam korpus – bez głowy, rąk i nóg – który odbił się od ściany budynku i potężnie uderzył mnie w plecy. Przewróciłam się, byłam cała we krwi i kawałkach wnętrzności.

Fala uderzeniowa rozpruła mi spódnicę, całe ubranie wisiało na mnie w strzępach. Wówczas jednak

eprasa.pl 7519f1e932

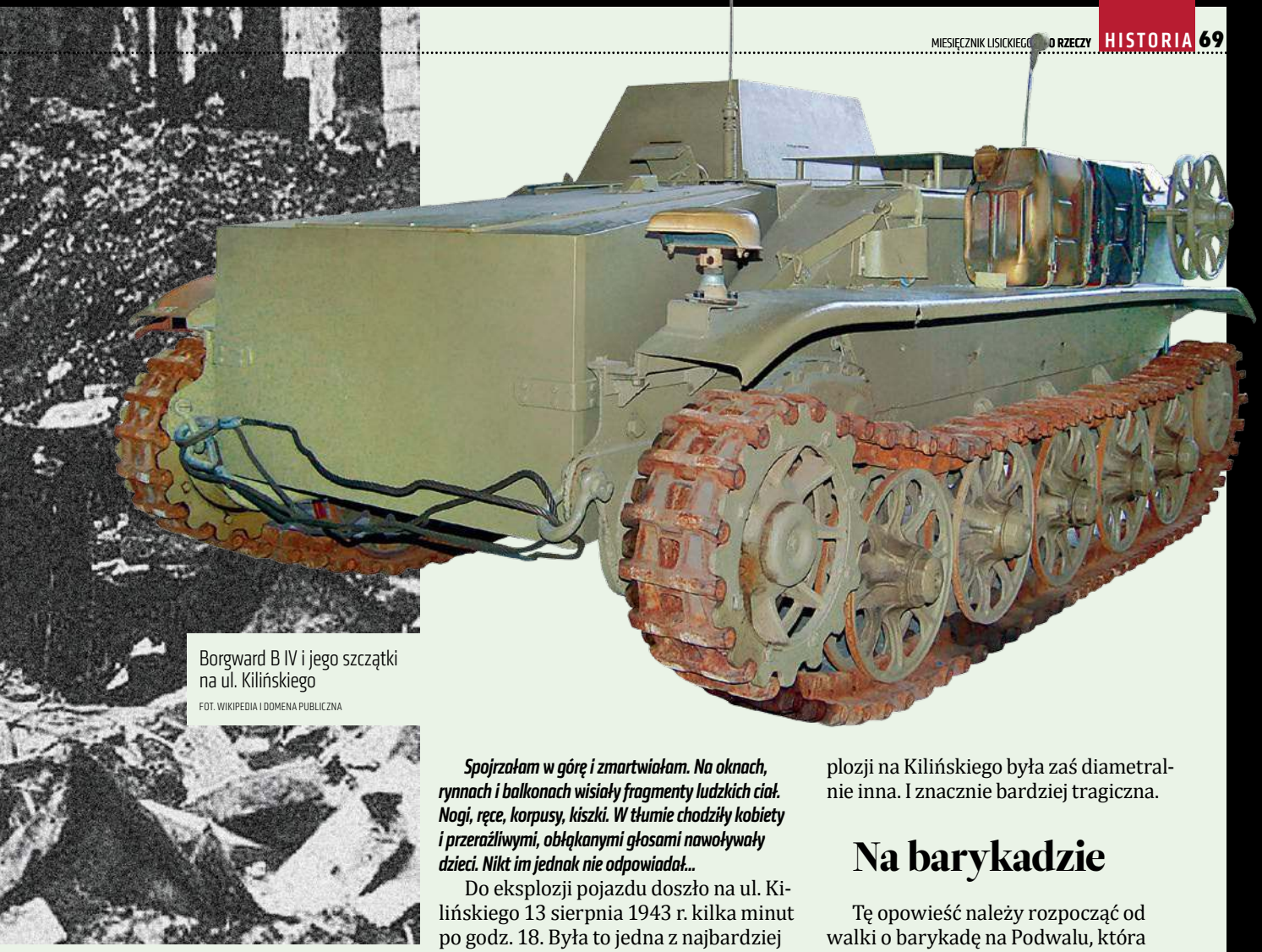

Borgward B IV i jego szczątki na ul. Kilińskiego

FOT. WIKIPEDIA I DOMENA PUBLICZNA

nawet tego nie zauważyłam. Byłam w szoku, dzwoniło mi w uszach. Rzuciłam się w panice do środka, do mieszkania, niewiele widząc w kłębach unoszącego się wszędzie gryzącego pyłu. Razem z innymi powstańcami zbiegłam na dół, a stamtąd na podwórze. A tam... pandemonium. Tak chyba musi wyglądać piekło.

Pył powoli opadał, a ulicami chodzili w kółko oszołomieni, ranni ludzie. Chodniki były usłane trupami i wijącymi się rannymi. Nieludzkie wycia, błaganie o pomoc, zapach prochu zmieszany ze słodkim swędem spalonego ciała. Spojrzałam pod nogi. Przeraźliwie zdeformowane ludzkie ciało, a właściwie jego resztki, pełzało po podwórzu. Zaczęłam się krztusić, miałam odruch wymiotny. Jakiś leżący na ziemi chłopak wyjął scyzoryk i wył do jednej z moich koleżanek:

– Dobij mnie!

Zawróciłam i popędziłam na górę po moją torbę sanitarną. Dopiero w tej chwili uświadomiłam sobie, że zostałam ranna, na szczęście bardzo lekko. Nie miałam jednak czasu, żeby myśleć o sobie. Trzeba było przenieść rannych do szpitala. Ale jak to zrobić? Rannych były setki. Cała ulica była pokryta lepką mazią, w której grzęzły nasze podeszwy. To było połączenie ludzkiej krwi z kurzem i pyłem. Trudno było w tym iść.

Spojrzałam w górę i zmartwiałam. Na oknach, rynnach i balkonach wisiały fragmenty ludzkich ciał. Nogi, ręce, korpusy, kiszki. W tłumie chodziły kobiety i przeraźliwymi, obłąkanymi głosami nawoływały dzieci. Nikt im jednak nie odpowiadał...

Do eksplozji pojazdu doszło na ul. Kilińskiego 13 sierpnia 1943 r. kilka minut po godz. 18. Była to jedna z najbardziej tragicznych kart powstania warszawskiego. Historycy oceniają, że potężny wybuch zabił ok. 300 warszawiaków. Zarówno powstańców, jak i cywili – mężczyzn, kobiety i dzieci – którzy zwabieni niecodziennym widokiem przyszli podziwiać zdobyczny „czołg".

Przez kilkadziesiąt lat w Polsce obowiązywała opinia, że ta straszliwa masakra była skutkiem niemieckiej perfidii. Niemcy mieli z premedytacją nafaszerować pojazd trotylem, ładunek wyposażyć w zapalnik zegarowy, a następnie podrzucić go powstańcom. Celem było wywołanie jak największych strat w szeregach Armii Krajowej i wśród ludności cywilnej. „Czołg pułapka" z ul. Kilińskiego wylądował na długiej liście niemieckich zbrodni wojennych. Stał się symbolem niemieckiej perfidii.

W rzeczywistości była to tylko legenda. Wytwór propagandy Armii Krajowej – w ten sposób o masakrze pisały bowiem wydawane w trakcie powstania gazety – który potem bezkrytycznie przepisywali dziennikarze i historycy. Prawda o eksplozji na Kilińskiego była zaś diametralnie inna. I znacznie bardziej tragiczna.

Na barykadzie

Tę opowieść należy rozpocząć od walki o barykadę na Podwalu, która rozegrała się wcześniej tego samego dnia. Przebieg wydarzeń w drobiazgowy sposób zrekonstruował w swojej znakomitej książce „Tajemnicza rana" Łukasz Mieszkowski.

13 sierpnia 1944 r. Stare Miasto znajdowało się pod ciężkim ogniem. Bombardowały je niemieckie samoloty, ostrzeliwały czołgi i artyleria. Spora część dzielnicy płonęła. Cywile ginęli setkami.

Wciągnięci do walki bez własnej woli – pisał Mieszkowski – warszawiacy cierpieli i ginęli na dziesiątki wyszukanych sposobów. W większości zaimprowizowane szpitale stały się miejscami kaźni, ranni konali tam w ciemnościach, fetorze, depresji i straszliwych męczarniach. Strugi ognia rakietowych pocisków zapalających w ciągu kilku sekund zmieniały ludzi w zwęglone, lecz wciąż żywe kadłuby, wybuchy ładunków burzących dosłownie rozdzierały ich na sztuki lub, jakby dla okrutnej drwiny, uśmiercały falą wysokiego ciśnienia, pozostawiając nagie ciała bez najmniejszego zadrapania, lecz martwe. Najwięcej zginęło pod gruzami zbombardowanych budynków – przypadek decydował, kto umierał natychmiast, zmiażdżony, kto dusił się, przytomny, pogrzebany żywcem.

eprasa.pl 7519f1e932

Żołnierze batalionu „Gustaw" FOT. WIKIPEDIA

Jednocześnie Niemcy próbowali się wedrzeć na teren dzielnicy. Wspomniany atak na polską barykadę na Podwalu rozpoczął się między godz. 9 a 11. Dokonało go poruszające się na gąsienicach działo szturmowe Stug III. Osłaniało one mniejszy pojazd gąsienicowy, który sunął w stronę barykady. Widząc to, powstańcy z batalionu „Gustaw" – zgodnie z ustaloną procedurą – wycofali się z barykady w bezpieczne miejsce.

Mały „czołg" tymczasem wjechał na barykadę i… utknął. Jego pancerz płonął niemrawo, a raczej – jak ujął to Łukasz Mieszkowski – się kopcił. Jeden z powstańców trafił go bowiem butelką z płynem zapalającym. Siedzący w otwartym kokpicie unieruchomionej maszyny niemiecki kierowca uciekł. A pojazd został na miejscu.

Po pewnym czasie żołnierze AK wrócili na barykadę i ugasili piaskiem płomienie. Tajemniczy pojazd znalazł się w ich rękach. Co to był za „czołg"? I tu docieramy do sedna sprawy. Do rozwiązania zagadki. Otóż był to Schwerer Sprengsladungsträger Sd. Kfz. 301 Borgward IV.

Co się kryje pod tą długą nazwą? Ciężki nosiciel ładunków wybuchowych. Była to broń używana do niszczenia przeszkód terenowych. Na przykład… barykad. Borgward podjeżdżał do nich, kierowca zrzucał umieszczony na przedzie potężny ładunek wybuchowy, a następnie – na wstecznym biegu – wycofywał się. Potem następowała potężna eksplozja, która rozbijała przeszkodę. I otwierała w ten sposób drogę piechocie i czołgom.

Egzemplarz „zdobyty" 13 sierpnia przez powstańców należał do niemieckiego 302. Batalionu Pancernego. Maszyna musiała zaklinować się na barykadzie i dlatego kierowcy nie udało się zrzucić ładunku. Musiał porzucić pojazd.

Wbrew późniejszej legendzie – jak udowadnia Mieszkowski – powstańcy wcale nie wpadli w euforię. Nie rzucili się natychmiast do rozmontowywania barykady ani nie wprowadzili borgwarda w głąb dzielnicy. Wprost przeciwnie, maszyna tkwiła, wbita w barykadę, przez kolejne godziny. Aż do późnego popołudnia.

Kto winien?

Co się działo w tym czasie? Otóż jeden z żołnierzy AK dokonał prawidłowego rozpoznania borgwarda, nazywając go „czołgiem miną". Dowodzący odcinkiem kpt. Ludwik Gawrych „Gustaw" i jego zastępca Włodzimierz Stetkiewicz „Włodek" zachowali więc ostrożność. Nie ruszali pojazdu, zabronili też swoim żołnierzom zbliżać się do borgwarda.

Niestety do „akcji" wkroczył dowódca zgrupowania mjr Stanisław Błaszczak „Róg". Informując swoich przełożonych o niebywałym sukcesie – jakim było zdobycie nieprzyjacielskiego pojazdu pancernego – postanowił przypisać to zwycięstwo głównie sobie.

„W godzinach południowych – napisał w meldunku – mały czołg rozpoznawczy zatrzymałem. Szofer uciekł. Licząc się z możliwością przysłania czołgu dla odprowadzenia małego, nastawiłem piata. Wieczorem częściowo rozbiorę barykadę i wprowadzę czołg. Czołg jest na chodzie".

Łukasz Mieszkowski w następujący sposób ocenił ten brzemienny w skutki raport: „Przejęcia czołgu »Róg« nie uzależniał już od wyników oględzin pirotechnicznych, o podejrzeniach oficerów, którzy oglądali pojazd na własne oczy, swojemu przełożonemu nawet nie wspomniał. W możliwość, że czołg jest pułapką, najwyraźniej nie wierzył. W odróżnieniu od oceny »Gustawa« jego osąd był całkowicie błędny".

Tak, był to błąd. Co ciekawe, po wojnie „Róg" przedstawił zupełnie inny, fałszywy obraz wydarzeń. Otóż winą za wprowadzenie pojazdu w głąb polskich pozycji

eprasa.pl 7519f1e932

oskarżył – Bogu ducha winnego – „Gustawa"! „Róg" twierdził nawet, że „sklął" swojego podkomendnego za tak nieodpowiedzialne działanie. Sam bowiem, twierdził wbrew prawdzie, „Róg" kategorycznie zakazał ruszać podejrzany pojazd.

Kto uruchomił borgwarda i wprowadził go na Starówkę? Była to grupa nastoletnich żołnierzy AK, którzy pojawili się przy barykadzie ok. godz. 16. Jeden ze świadków zapamiętał nazwiska trzech z nich – byli to strzelcy Zygmunt Salwa „Czymbo", Henryk Paczkowski i niejaki Szczawiński.

Dwie hipotezy

Według pierwszej hipotezy, którą stawia Łukasz Mieszkowski, było to działanie samowolne. Młodzi chłopcy pochodzili z jednostki zmotoryzowanej i za wszelką cenę chcieli zdobyć dla siebie jakiś sprzęt. Dlatego zdecydowali się przejąć borgwarda. Jeżeli byłoby to prawdą, wówczas strzelcy złamaliby rozkaz „Gustawa" i dopuścili niesubordynacji.

Druga hipoteza zakłada, że młodzi strzelcy działali na rozkaz. Nie ma na nią jednak rozstrzygających dowodów. Taki bowiem rozkaz się nie zachował. Nie wiadomo również, kto miałby go wydać. Major Stanisław Błaszczak „Róg"? Podpułkownik Zygmunt Reliszko „Bolesław Kołodziejski"? A może sam dowódca obrony Starówki ppłk. Karol Jan Ziemski „Wachnowski"? Niestety – jesteśmy skazani na spekulacje.

Niezależnie od tego, czy młodzi żołnierze działali na rozkaz, czy nie, oficerów Armii Krajowej ze Starówki obciąża to, że w odpowiedni sposób

ŁUKASZ MIESZKOWSKI
„TAJEMNICZA RANA"
W.A.B.

nie zabezpieczyli borgwarda. Nie sprowadzili na miejsce saperów, nie nakazali dokonania profesjonalnego badania groźnego obiektu. I pozwolili, aby dostał się w ręce nastolatków.

„Rozebranie barykady, uruchomienie i wjazd pojazdu na teren dzielnicy miało nastąpić po dokładnym sprawdzeniu, przede wszystkim pod kątem ewentualnej pułapki – pisał Łukasz Mieczkowski. – Młodociani strzelcy, nastawieni tylko i wyłącznie na przejęcie maszyny, mogli ten warunek zlekceważyć, tym bardziej że zgodnie ze starą, żołnierską tradycją »mieli nieco w czubie«. O przeprowadzonej kontroli wiadomo niewiele poza tym, że wypadła pomyślnie, zdołano uruchomić silnik, a jeden ze świeżo upieczonych pancernych – tu wyobraźnia podpowiada wizję – podekscytowanego, działającego w pośpiechu i nieostrożnie młodzieńca – »kręcąc przy karburatorach, skaleczył się w palec zardzewiałym gwoździem«".

Wybuch

Grubo po godz. 17 zdobyczny „czołg" wjechał triumfalnie na pełne cywili uliczki Starego Miasta. Niestety, siedzącym w kokpicie chłopcom brakowało podstawowej wiedzy o pojeździe, który prowadzili. Sterowali nim „na czuja", za to z młodzieńczym fasonem i ułańską fantazją. Nagle, było to już na ul. Kilińskiego, świeżo upieczeni „czołgiści" na drodze zauważyli wał ziemny wysokości metra.

Kierowca postanowił wziąć go po czołgowemu, z marszu, jednak nie udało mu się wspiąć na wzniesienie – pisze Łukasz Mieszkowski. – Wtedy najprawdopodobniej zaczął manipulować dźwigniami, chcąc wrzucić niższy bieg, lecz jego działanie przyniosło zupełnie inny efekt. Ku zdziwieniu widzów i załogi od przodu maszyny oddzieliła się i spadła na ziemię potężna trapezoidalna skrzynia. Jako że spoczęła dokładnie pod gąsienicami borgwarda, pojazd stanął. Ktoś zaproponował, by tajemniczy element, być może skrzynię z narzędziami, podnieść i wsadzić z powrotem na miejsce. Ta wizja przeraża chyba bardziej niż późniejsze opisy masakry – ludzie usiłujący dźwignąć z ziemi narzędzie własnej zguby – półtonowy ładunek wybuchowy z zapalnikiem czasowym aktywowanym w momencie zrzutu przez nieświadomego kierowcę.

I stało się – doszło do kolosalnej eksplozji, o której opowiadała pani Teresa Łatyńska. Ci, którzy stali najbliżej, wyparowali. Ci, którzy stali nieco dalej, zostali rozszarpani na strzępy. Ci, którzy stali dalej, po prostu zginęli. Tragedia się dokonała.

Cóż więc się stało na Kilińskiego? Doszło do połączenia wielu fatalnych czynników. Niemiecka przewaga technologiczna, błędy popełnione przez dowódców, brawura młodych żołnierzy AK. I efekt w postaci straszliwej hekatomby ludności cywilnej. Sprawia to, że eksplozja na Kilińskiego może stanowić symboliczną metaforę całej tragedii Powstania Warszawskiego.

„Zagłada setek osób na Kilińskiego – uważa Łukasz Mieszkowski – tak jak kilkudziesięciu tysięcy na Starówce i setek tysięcy w całym mieście, dowodzi nie tylko okrucieństwa i zezwierzęcenia Niemców oraz ich sojuszników, lecz też politycznej naiwności oraz militarnej niekompetencji niektórych wojskowych i cywilnych liderów podziemnego państwa polskiego".

Na koniec nie pozostało nic innego, jak tylko przytoczyć słowa wiersza Tadeusza Gajcego, wybitnego młodego poety i żołnierza Armii Krajowej. Wiersz nosi tytuł „Święty kucharz od Hipciego" i został napisany pod wrażeniem masakry z 13 sierpnia 1944 r.

Wszyscy święci, hej, do stołu!
W niebie uczta: polskie flaczki
wprost z rynsztoków Kilińskiego!
Salcesonów pełna misa,
Świeże, chrupkie
Pachną trupkiem: To z Przedmurza!
Do godów, święci, do godów,
Przegryźcie Chrystusem Narodów!

Był to ostatni wiersz poety. 16 sierpnia Tadeusz Gajcy poległ. Jeden ze 150 tys.

Pomnik Małego Powstańca FOT. WIKIPEDIA

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7519f1e932

Na Marymoncie / Z Wacławem Gluth-Nowowiejskim, powstańcem z rocznika 1926

rozmawia Piotr Włoczyk

Placówka straceńców

Niemiec, nie zważając na ich białe opaski z czerwonym krzyżem, posłał w ich kierunku serię. Sanitariuszki upadły, ale jemu wciąż było mało. Podszedł do nich i strzelił do każdej z bliska… Trzy wspaniałe dziewczyny zostały zamordowane z zimną krwią…

PIOTR WŁOCZYK: Powstanie Warszawskie wiąże się z niepojętym w zwyczajnych warunkach poświęceniem. Kto przede wszystkim przychodzi panu na myśl w tym kontekście?

WACŁAW GLUTH-NOWOWIEJSKI: Byliśmy wówczas w Puszczy Kampinoskiej. Oddział nasz miał zaatakować w nocy grupę Niemców stacjonujących w jednej ze wsi. Biegliśmy w ciemnościach po polu łubinu. Odgłos łamanych łodyg zbudził wartownika. Zerwał się, wrzasnął: „Halt!", strzelił na oślep. I ten jedyny pocisk uderzył w biegnącego obok mnie naszego dowódcę plutonu „Małego Janka" [Jan Dobsch – przyp. red.]. Pocisk trafił w zawieszony na kieszeni bluzy granat. „Mały Janek" chwycił go, by instynktownie odrzucić od siebie, ale… nie zrobił tego. Wokół byliśmy my – jego podkomendni. Przycisnął granat do brzucha i pochylił się. Jednocześnie z wybuchem. Tego bohaterstwa nigdy nie zapomnieliśmy! I to właśnie było prawdziwe poświęcenie.

Z jakim uzbrojeniem zaczynał pan powstanie?

Dramatycznie marnym. Na 12 chłopców, którzy zdążyli dotrzeć do naszej meliny na Godzinę „W", przypadła żenująca partia: jeden pistolet maszynowy, cztery pistolety krótkie, dwa karabiny, w tym jeden z I wojny światowej, i drugi… z dwoma magazynkami pocisków. A także 20 granatów… Wszystko wyglądałoby

eprasa.pl 7519f1e932

Wacław Gluth-Nowowiejski i okładka jego niedawno wznowionej książki FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

inaczej, gdyby tuż przed powstaniem nie udało się Niemcom odkryć kilku ważnych podziemnych magazynów broni. Był to dla nas cios straszliwy. Ja zacząłem powstanie z parabelką i czterema granatami.

Jak rozumiem, brak broni nie był jednak przeszkodą nie do pokonania?

Największym naszym marzeniem było w końcu dobrać się do Niemców. Marzyliśmy, by odpłacić im za te pięć lat morderstw i męki okupacji! Dwa miesiące przed powstaniem straciłem dwóch starszych braci, zamordowanych na Pawiaku. Wszystkie warszawskie rodziny przechodziły piekło. Marzenie o odwecie było powszechne.

W obiekcie, który mieliście zdobywać, czyli szkole gazowej, Niemcy byli na pewno przygotowani na atak powstańców?

O, tak. Ten obiekt wydawał się nie do zdobycia. Wielki budynek, a przed nim duża otwarta przestrzeń. Znaczyło to, że atakujący byliby jak na widelcu. Dookoła bunkry z bronią maszynową. Główne części obiektu otoczone zwojami drutu kolczastego. Nie było szans, żeby wziąć szturmem szkołę gazową. Prawda okazała się jeszcze smutniejsza: pierwszego dnia powstania nie udało się zdobyć żadnych obiektów niemieckich.

Wycofaliśmy się na Marymont. Było tam już sporo naszych chłopców. Większość zgubiła swoje macierzyste oddziały, powstał wielki chaos. Jeszcze tego dnia wieczorem dowódca obwodu „Żywiciel" zdecydował się opuścić Żoliborz i wycofać się do Kampinosu. Do czasu rozeznania sytuacji w innych dzielnicach Warszawy.

Z opowieści powstańców wynika, że mieliście niemal nabożny stosunek do dziewczyn z Armii Krajowej.

Były odważne na równi z chłopakami, ale na pewno bardziej od nas odpowiedzialne. Nie tylko biegały wśród kul z torbami pełnymi opatrunków, lecz także niektóre z nich chwytały za karabiny.

Na przykład Danuta Ślązak „Blondynka" ze Starego Miasta. Danka powiedziała kategorycznie swojemu dowódcy, że chociaż jest przeszkoloną sanitariuszką, to chce walczyć z bronią w ręku. Początkowo próbowali jej to wybić z głowy, ale potem wszyscy na to przystali, bo faktycznie miała serce do walki.

W naszym oddziale wszystkie dziewczyny – „Zgrzebna", „Baśka" i „Leśna" – były niezwykle dzielne. I niepozbawione kobiecego czaru… Tragedia na Marymoncie wstrząsnęła wszystkimi, którzy je znali.

Jak doszło do tej tragedii?

13 września po południu dostaliśmy specjalne zadanie. Przyszedł rozkaz, żeby drużyna rozpoznawcza plutonu 254. (14 chłopców) zbliżyła się do AWF zajmowanego przez Niemców, obserwując ruchy wojsk nieprzyjaciela. Teren wokół AWF otoczony był lasem. Mieliśmy przejść tam nocą i zająć stanowiska w zagajniku. Istniało bowiem podejrzenie, że Niemcy rozpoczynają ofensywę przez Marymont nad Wisłę. Zajęliśmy pozycje i wydawało nam się, że jesteśmy niewidoczni. Niestety, byliśmy w błędzie…

Nagle świst i wybuch! Nie bezpośrednio przy nas, trochę dalej, ale jednak... Czyli odkryli nas! Kiedy zrobiło się widno, wzmógł się ostrzał.

Były jakiekolwiek możliwości ucieczki?

Podczas ostrzału żadnej. Każdy przywierał do ziemi, bo powietrze przecinały szrapnele. Nie mam żadnych wątpliwości, że znaleźliśmy się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Na szczęście strzelali z artylerii przeciwlotniczej. W takich pociskach nastawiany jest mechanizm czasowy. Ewidentnie mieli początkowo problem z odpowiednim nastawieniem go, bo pociski nie wybuchały przy nas. Stopniowo poprawiali się i pociski zaczęły wybuchać bezpośrednio na zajmowanym przez nas obszarze! Miałem całe plecy poorane przez szrapnele, ale inni byli naprawdę poważnie ranni. Jeden z moich chłopców zginął na miejscu – pocisk odciął mu głowę… To były okropne momenty, byliśmy kompletnie bezsilni.

Trzeba było uciekać! Kiedy tylko nastąpiła przerwa w ostrzale, krzyknąłem: „Wszyscy natychmiast biegiem do domku po lewej stronie! Kto ciężko ranny, to starajcie się go przenieść!". W zagajniku obok stał dom w surowym stanie z otwartą piwnicą. To był nasz jedyny ratunek. Poderwałem się z ziemi, ale daleko nie dobiegłem.

Trafili pana?

W prawą rękę. Coś mną rzuciło o ziemię. Nie wiedziałem, czy żyję. Pocisk wybuchł tuż przy mnie. Byłem w szoku i miałem wrażenie, że straciłem całą rękę. Podniosłem się jednak ponownie i pędem dobiegłem do domu.

Wskoczyłem do piwnicy. Po kolei wpadali tam koledzy niosący ze sobą rannych. Nikt nie wyszedł cało z tego ostrzału. Kazałem Wojtkowi pobiec do plutonu i zawiadomić, że wszyscy są ranni, żeby zdecydowali, co mamy robić. Szybko przybiegli do nas dowódca plutonu i trzy sanitariuszki. Byłem tak oszołomiony i osłabiony, że wielką ulgę sprawiła mi myśl, że teraz już kto inny dowodzi.

eprasa.pl 7519f1e932

„Naszym marzeniem było w końcu dobrać się do Niemców... Marzyliśmy, by odpłacić im za te pięć lat morderstw i męki okupacji!" FOT. WIKIPEDIA

Gdybym o tym nie wiedział, nie zauważyłbym, że kiedykolwiek był pan ciężko ranny w prawą rękę.

Łokieć był cały zmasakrowany. Odłamek przeciął też nerwy – dlatego „nie czułem" ręki – i ścięgna. Po wojnie genialny prof. Gruca uratował ją i przywrócił sprawność, ale wtedy była to krwawa miazga. Opatrywała mnie Basia. Miała jakieś 21 lat. Wzruszyło mnie, jak bardzo przejmowała się moim stanem, bo widać było, że duże wrażenie robiła na niej ta rana. Po założeniu opatrunku przeżyłem cudowny moment. Basia na koniec pogłaskała mnie po policzku i powiedziała: „Będzie dobrze...".

Dla pana faktycznie wszystko dobrze się skończyło...

Jednak los Basi, a także dwóch pozostałych sanitariuszek, był tragiczny. Chwila spokoju w piwnicy nie była zbyt długa. „Chłopaki, oni już tu są" – krzyknął Jurek. Pod dom podjechało kilka pojazdów. Znaleźliśmy się w potrzasku. Próba ucieczki w tym momencie oznaczałaby pewną śmierć. Czekaliśmy w napięciu. Może nie zajrzą do piwnicy?

Wszelkie iluzje prysły wraz z wpadającymi do piwnicy granatami. Rozpętało się piekło. Znów uderzały w nas odłamki. Dostałem w czoło i nawet na chwilę straciłem przytomność. Kiedy ją odzyskałem, było mi już wszystko jedno. Przeczołgałem się do korytarzyka i chyba czekałem na śmierć. Dosięgały nas granaty i miotacze płomieni. Coraz głośniej słychać było jęki i płacz.

Trzej mniej ranni koledzy zaczęli jednak kombinować, jak by tu wyrwać się z pułapki. Do dyspozycji wciąż mieli granaty. „Przebijamy się!" – zawołał „Goliat" i wyskoczyli z piwnicy. To musiało wyglądać jak szarża. Niemcy zgłupieli. Pierwszy kolega zdążył rzucić granat, ale drugi i trzeci, zanim mieli okazję rzucić swoje, zostali zastrzeleni. „Goliatowi" jakimś cudem udało się wrócić do piwnicy.

Co się wówczas działo z sanitariuszkami, które przyszły was opatrzyć?

Dziewczyny znalazły w piwnicy jakiś otwór, przez który wydostały się na zewnątrz. Przebiegły kawałek zagajnikiem i zaczęły wołać: „Chłopcy, chłopcy, tędy...". Dalszą drogę zagrodził im samochód pancerny wypełniony esesmanami. Okoliczni mieszkańcy, którzy to widzieli i złożyli potem relacje, opowiadali, że jeden z esesmanów z uśmiechem sięgnął po pistolet maszynowy. Dziewczyny, widząc to, przytuliły się do siebie... Niemiec, nie zważając na ich białe opaski z czerwonym krzyżem, posłał w ich kierunku serię. Sanitariuszki upadły, ale jemu wciąż było mało. Podszedł do nich i dla pewności strzelił do każdej z bliska... Trzy wspaniałe dziewczyny zostały zamordowane z zimną krwią. Wszystkie pochowali w miejscu kaźni okoliczni mieszkańcy.

Jak długo leżał pan w tej piwnicy?

Ciężko powiedzieć. Poza granatami Niemcy użyli miotaczy ognia... Kiedy ogień wypełniał piwnicę, zsunąłem się akurat do pomieszczenia poniżej i płomień przeleciał nade mną. Kiedy już zapanowała w piwnicy martwa cisza, czułem, jak ktoś ściąga mi z nóg oficerki, a z ręki zegarek. To był jakiś żołdak ze Wschodu. A po chwili stanął przy mnie wysoki oficer niemiecki ze swoim adiutantem i odezwał się: „Ja, das is Krieg" [„Oto wojna" – przyp. red.].

Dramat w tym domu nie oszczędził nikogo?

Jednak nie tylko ja przeżyłem! Czterej koledzy – „Goliat", „Julian", „Dziadek" i „Buława" – ukryli się pod ciałami kolegów. Niestety, „Goliat" i „Dziadek" byli umierający. „Julian" stracił lewą dłoń, a wszyscy, poza mną, byli poparzeni miotaczami ognia. Przeczekaliśmy noc wśród trupów, by o świcie z „Julianem" i „Buławą" starać się wyjść z piwnicy w kierunku Żoliborza. Na naszej drodze stanęło jednak SS. „Juliana" zastrzelono, a „Buława", choć ranny, zdołał uciec. Mnie na szczęście nie zauważyli. Wczołgałem się do pobliskiej sutereny i tam już zostałem.

To był dla pana koniec walki. W ukryciu przeleżał pan sześć tygodni, do 2 listopada. Stał się pan jednym z warszawskich robinsonów – ludzi, którzy z przeróżnych przyczyn nie wykonali rozkazu Niemców i pozostali w morzu ruin stolicy...

Było kilkuset takich robinsonów, w tym grupa powstańców. Mylą się bowiem ci, którzy uważają, że jesienią 1944 r. Warszawa była martwą Rzecząpospolitą Gruzów. Ukrywali się przeważnie w piwnicach, choć i w wieży kościelnej, i w piecach fabrycznych. Gdzie tylko była szansa przetrwania. W stałym zagrożeniu, że „szczury", jak ich nazywali Niemcy, zostaną wykryci. To był potworny czas. Te nieprawdopodobne historie robinsonów opisałem w wydanej właśnie książce „Nie umieraj do jutra" [recenzja w „HDR" nr 75 – przyp. red.].

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7519f1e932

ORLEN

PARTNER
STRATEGICZNY
VII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2019

STRAŻNIK PAMIĘCI

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

eprasa.pl 7519f1e932

1934–2002 / Bogdan Madej, pisarz niedoceniony

Żył i pisał naprawdę

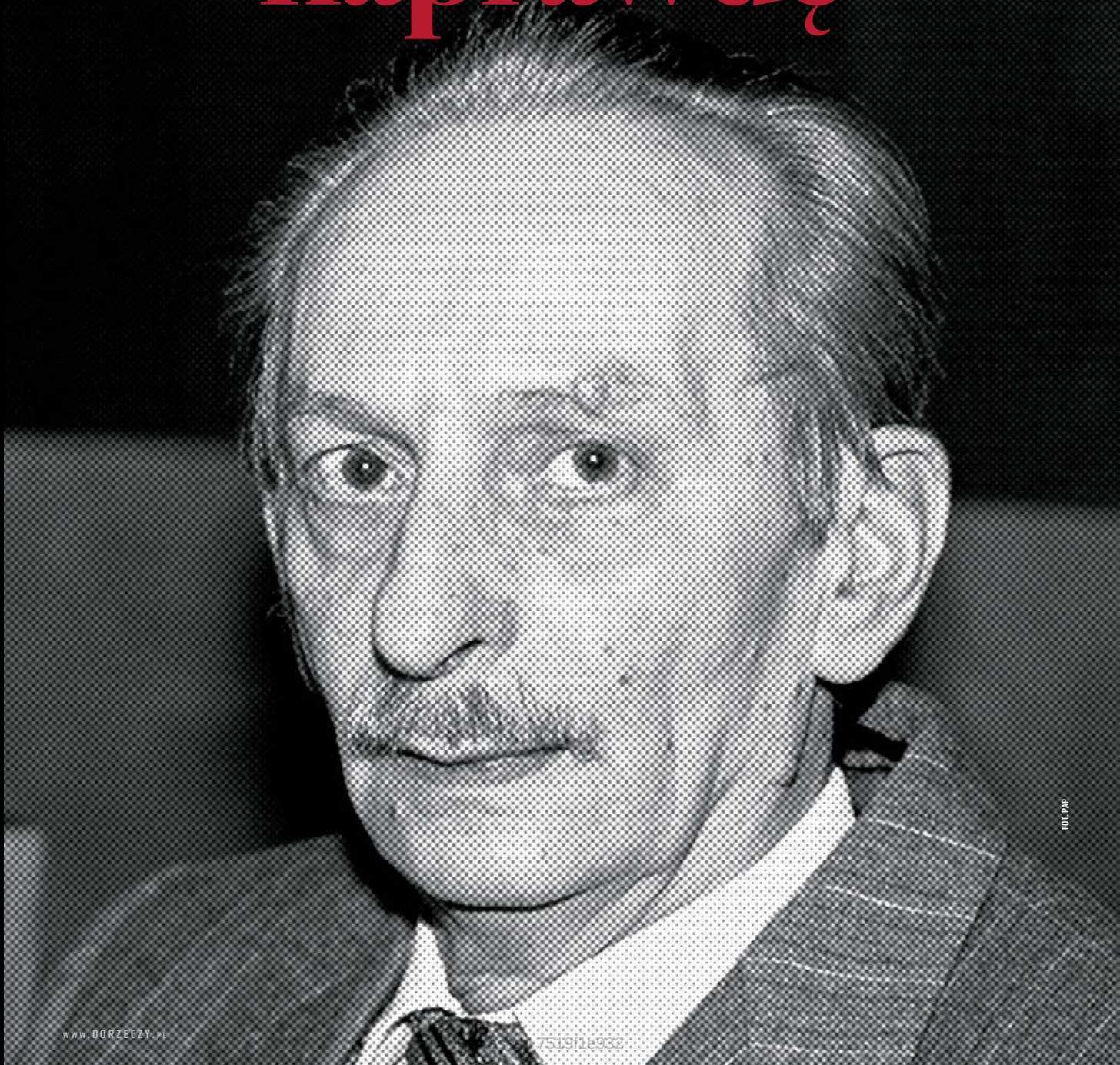

FOT. PAP

75319fa1e932

Krzysztof Masłoń

Wśród postaci z książek Madeja rekordy zła, podłości i głupoty biją pseudointeligenci z czerwonymi legitymacjami

Za czasów PRL opublikowanie pod nazwiskiem książki w wydawnictwie emigracyjnym uchodziło za akt szaleńczej odwagi. Jako pierwszy zdecydował się na to Jerzy Andrzejewski, drukując w 1968 r. w Instytucie Literackim „Apelację". Drugi był pięć lat później Kazimierz Orłoś ze swoją „Cudowną meliną", a trzeci, w następnym roku, Bogdan Madej z powieścią „Piękne kalalie", przez nadgorliwą korektę zmienianą niekiedy na „kanalie". Nie był autorem powszechnie znanym, mieszkał w Lublinie, jego pierwsze książki przyjmowane były z umiarkowanym zainteresowaniem. A on sam jeszcze na początku gierkowskiej dekady należał do PZPR.

Urodził się w 1934 r. w Mikaszewiczach na Podolu. Wczesne dzieciństwo spędził w Grodnie, a przed Wielkanocą 1940 r. przekroczył z rodziną granicę i dotarł do Łowiska w Rzeszowskiem. Szkołę podstawową ukończył w Kamieniu, następnie uczył się w liceach w Lesznie Wielkopolskim i Sokołowie Małopolskim, ale po skończeniu X klasy rzucił naukę i zaczął pracować. Był brakarzem w hucie i zaopatrzeniowcem w Zjednoczeniu Budownictwa Miejskiego w Stalowej Woli. O pracy tej opowiedział po latach w brawurowo napisanym opowiadaniu „Prywatna rzecz Alfreda Cunga".

Po tym, jak nieostrożne, nazbyt otwarte wypowiedzi zaprowadziły go wprost na przesłuchania do Urzędu Bezpieczeństwa, wydano mu wilczy bilet uniemożliwiający kontynuację przerwanej nauki. Zadbano też, by nie zwlekał z wypełnieniem swego obowiązku wobec socjalistycznej ojczyzny, kierując go na trzy lata do służby w Marynarce Wojennej. Po wyjściu z wojska pracował, często zmieniając miejsce zatrudnienia, na Rzeszowszczyźnie i Lubelszczyźnie, w końcu osiadł w Lublinie. Opisuje też tamten region, czasem podając nazwy poszczególnych miejscowości i dokładnie lokalizując akcję, jak to zrobił w swojej późnej książce, z 1997 r., „Półtraktacie o lewitacji", gdzie poza Lublinem pojawiają: się Łowisko, Rudnik nad Sanem, Górno, Nienadówka i Sarzyna.

Zrobił bardzo wiele, by nie przylgnęła do niego etykieta naturszczyka. Na dobrą sprawę autobiografizm pojawia się w późniejszych jego książkach, próżno go szukać w „Uczcie" czy „Konstelacji". Można odnieść wrażenie, że pisarzowi bardzo zależało na tym, by nie być postrzegany jako ktoś, komu z jakichś powodów należy się taryfa ulgowa. Na pewno ostateczny kształt tych pierwszych książek wypracowany został w dyskusji z wieloletnią redaktorką książek w Państwowym Instytucie Wydawniczym, Zofią Hoffmanową. Opiekowała się ona też „Pięknymi kalaliami", a kiedy ich publikacja w PIW z przyczyn cenzuralnych okazała się niemożliwa, pomogła w wyekspediowaniu książki do Jerzego Giedroycia. Wraz z jeszcze jedną osobą… Marek Nowakowski tak wspominał tamten czas i tamte wydarzenia:

Samouctwo doskonałe

„W latach siedemdziesiątych z Czytelnika przeniosłem się do PIW-u i moją redaktorką została pani Zofia Hoffmanowa. Była świetna, czuła literaturę naprawdę, szanowała odrębność stylistyczną autorów, bardzo czujna na każdy błąd, usterkę, teksty przygotowywała do druku w postaci nieskazitelnej. Jej ulubieńcem, któremu matkowała, został Bogdan Madej, pisarz z Lublina. Było to około 1972 r. i powieść Madeja traktująca metaforycznie w zakamuflowanej formie o wydarzeniach Marca 1968 r. została zatrzymana przez cenzurę. Pisarz postanowił ją przemycić na Zachód i wydać u Giedroycia. Pośredniczyłem w przekazaniu tekstu do Paryża. Pani Zofia bardzo się martwiła o dalsze losy swego podopiecznego. Po druku książki w Instytucie Literackim w Paryżu Madej został umieszczony na czarnej liście autorów zakazanych. Popadł w niebyt. Trzymał się dziarsko. Cały nasz spisek dotyczący książki odbywał się w całkowitej dyskrecji i tylko my we troje braliśmy udział w grze. Pani Zofia jako wytrawna konspiratorka z czasów KPP umawiała się z nami na ulicy i tam zapadały najważniejsze decyzje".

Swoje spotkanie z Arturem Sandauerem pod koniec lat 80. Madej tak wspominał: „Sandauer pytał o wszystko. Co napisałem? Kiedy? Gdzie i co wydałem? Dlaczego dotąd się nie zetknęliśmy? Co ukończyłem i gdzie? Kiedy mu powiedziałem, że nie mam matury, długo nad tym rozmyślał i po moich wyjaśnieniach, dlaczego tak się stało, wyraził ubolewanie. Wyższe wykształcenie, powiedział, daje niezbędny europejski szlif. Znów ubawiony zaprotestowałem i powołałem się na przykład Faulknera. Z miejsca zaczęliśmy rozmawiać o jego twórczości. Sandauer słuchał mnie uważnie i jeszcze uważniej mnie obserwował. Kiedy mu powiedziałem, że trochę tłumaczyłem Faulknera, był zaskoczony.

– Skąd pan zna angielski?

Powiedziałem, że jestem samoukiem.

– I tłumaczył pan Faulknera?

– Coś podobnego! – krzyknął do żony. – Słuchaj! On się sam nauczył angielskiego i tłumaczył Faulknera! Niesłychane!".

Samoukiem był Bogdan Madej doskonałym. Pracując w Stalowej Woli jako zaopatrzeniowiec i kontroler jakości, w Nisku jako pracownik PZU, jako urzędnik w Rzeszowie, Lublinie, Rejowcu i Chełmie, podczytywał sobie w wolnych chwilach w oryginale Steinbecka, Hemingwaya i ukochanego Faulknera, którego zdjęcie powiesił sobie nad biurkiem. W 1968 r. w PIW-owskim Klubie Interesującej Książki ukazała się w jego przekładzie powieść Douglasa Woolfa „Ucieczka". A sześć lat wcześniej, gdy William Faulkner umarł, „Życie Literackie" uczciło noblistę stosowną notą i tytułowym opowiadaniem ze zbioru „Zejdź, Mojżeszu". W tłumaczeniu Bogdana Madeja, akurat wówczas pracownika Energomontażu w Lublinie.

Tłumaczenia rychło jednak znudziły przyszłego autora „Maści na szczury". Wolał sam pisać i doczekał się w końcu przekładów swoich opowiadań na niemiecki i francuski. Po publikacjach swoich książek u Jerzego Giedroycia („Piękne kalalie albo dojrzewanie miłości" – 1974, „Maść na szczury" – 1977) w kraju otrzymał zakaz druku. Mógł drukować jedynie w powstającym właśnie dru-

eprasa.pl 7519f1e932

Bogdan Madej (z lewej) odbiera nagrodę Funduszu Kultury za „Półtraktat o lewitacji" FOT. PAP/CAF/ANDRZEJ RYBCZYŃSKI

gim obiegu i właśnie pod koniec lat 70. W lubelskich „Spotkaniach" wydał esej „Polska w orbicie Związku Radzieckiego". W 1976 r. otrzymał też nagrodę literacką Fundacji im. Kościelskich w Genewie. W Polsce, niestety, zanim został pisarzem znanym, już skazano go na niebyt. Krakowski cenzor Tomasz Strzyżewski po ucieczce z PRL opublikował wywiezioną „Księgę zapisów Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk", w której znalazła się taka nota, z 1975 r.: „Wszelkie publikacje pisarza lubelskiego Bogdana Madeja oraz wzmianki o nim i jego utworach należy sygnalizować kierownictwu GUKPPiW".

Leśmianowski ludzieniek

Jaki był? Józef Baran w „Szkicu do portretu Bogdana Madeja" pisał: „Mógłby o sobie rzec tak, jak scharakteryzował się pewien francuski poeta: JA TO KTOŚ INNY. Trzymał się przecież zawsze raczej z dala od środowiska literackiego w Lublinie. Choć serdecznie tęsknił za bliźnimi, jednak był nieufny, może dlatego, że »napiętnowany« jako dysydent i często inwigilowany. Bogdan Madej: niski, specyficznie chodzący – wolno, długimi posuwistymi krokami, co rzucało się od razu w oczy, ten jego chód. Wolno też i starannie dobierał słowa (może czasami za długo maglował jedną kwestię, bo nigdy nie wystarczyły mu pozory powtarzane dla świętego spokoju). Zagłębiał się w szczegóły, w drobiazgi, z których wysuwał uogólnienia; czasem mnie to – jako poetę, który dąży od razu do sedna jednym celnym sformułowaniem, jednym skokiem metafory – niecierpliwiło, że za długo drąży temat. Zawsze miał osobne zdanie, brzydził się plotkami, banałami, ubitymi na słodką masę obiegowymi półprawdami, a także wszelkimi wygodnymi dla innych pozorami, powierzchownym oglądem rzeczy. Twarz żywa, ruchliwa z wąsami, ludzieniek przypominający mi Bolesława Leśmiana. Zawsze raczej kurtuazyjny w stosunku do kobiet, nieufny, choć przyjazny dzieciom, lojalny aż czasami do znudzenia, pryncypialny, zasadniczy, mało elastyczny. Wysuwał wolno argumenty, rozplątywał i zaplątywał najbardziej wydawałoby się proste kwestie – podobnie jak chodził wolno, robiąc postoje, patrząc prosto w oczy, jakby oczekiwał głębokiego porozumienia i zrozumienia dla tego, co mówił, co odkrywał. Od czasu do czasu, gdy udało mu się coś celnego powiedzieć – zaśmiewał się gardłowo, ale ciepło. Miewał kłopoty z nogami, palił dużo – mimo że lekarze mu zabraniali.

Opancerzony, ale w głębi serca miękki, ciepły. Wymagający dużo cierpliwości, żeby można go było zrozumieć".

„Jak to możliwe, że napisał pan »Maść na szczury«?" – pytał Artur Sandauer, gdy się już lepiej, za pośrednictwem Józefa Barana, poznali i gdy Madej odwiedził go na ul. Karłowicza.

„Tak – nawiązuje do tamtej kwestii Józef Baran. – To pytanie samo się narzucało, bo z jednej strony autor ze staroświecką starannością ubrany, odprasowany i doprasowany, posługujący się pełnymi, też starannie dobranymi zdaniami, nienaganną polszczyzną, gdy – z drugiej strony – bohaterowie jego opowiadań i nowel to typki z przedmieść, spod budki z piwem i z kursu na lewo; to zwykłe lub niezwykłe lumpy, cwaniaczki operujące zabrudzoną polszczyzną, równoważnikami zdań, często gęsto przekleństwami i byle jakim językiem. Skąd ich znał, skąd znał ich język (o tym dowiedziałem się później od samego Bogdana, który zaznajamiał mnie ze swoimi perypetiami losowymi)? I dlaczego przyssał się do tego języka jako pisarz z taką skwapliwością i genialną intuicją jak niegdyś Edward Redliński w »Konopielce«?".

Kierowniku, co ty wiesz?

Wśród sześciu opowiadań składających się na „Maść na szczury" nie ma ani

eprasa.pl 7519f1e932

jednego nietrafionego. To nie przypadek, że „Kurs na lewo" (1986, reż. Paweł Unrug) i „Pan Wacław" (1985, reż. Krzysztof Gruber) stały się podstawą filmów telewizyjnych, a zaadaptowany na scenę „Pochówek" został przebojem teatru w Bydgoszczy, gdzie zagrany został 200 razy. Przypomnijmy, że w tym przesyconym czarnym humorem opowiadaniu chodzi o przesyłkę z Ameryki, zawierającą puszkę z proszkiem, który po zaparzeniu wypijają bohaterowie „Pochówku", dokonując swoistego aktu kanibalizmu, gdyż w paczce nadesłano prochy zmarłej za wielką wodą ciotki.

Z kolei w „Podkowach" chłop, któremu zbrakło we wsi kowala, przyjeżdża do fabryki i prosi o zrobienie niezbędnych mu podków. Nie przyjmuje argumentu, że wielki zakład przemysłowy nie będzie zajmował się takim drobiazgiem: „Gdzie robi się wielkie, na małe tak samo ma być plac" – powiada. I rzeczywiście, w ramach sojuszu robotniczo-chłopskiego zamówienie zostaje zrealizowane, tyle że chłopina zapłacić musi za podkowy grube tysiące – majątek. Opłacić trzeba jednak przeprofilowanie produkcji, krótkość serii, robociznę, większe i mniejsze narzuty. Rozeźlony chłop rzuca podkowy w kąt i wraca do wsi, gdzie odwiedza go ten sam sąsiad, który namówił go na wyprawę do fabryki. I przywozi podkowy, niestety nie cztery, lecz trzy, bo tylko tyle pozwolono zabrać bez płacenia. Na takie dictum chłop bierze do ręki siekierę. – Koniowi nogę odetnę, na co mu tyle kopyt! – mówi.

A prowadzący narrację syn tego chłopa, dzieciak jeszcze, słuchając w fabryce, jak „miastowi" drwią sobie z jego ojca i z jego chłopskiego zamówienia, myśli sobie: „[…] kierowniku, jakbyś tak wszedł na obejście, to też byś dziwów różnych znalazł i stałbyś, nie wiedząc, co do czego potrzeba. A o której się koniom daje, wiesz? A o której krowom i świniom i kiedy się doi? I ty, myślę o babie, nie wiesz, do kiedy się w jesieni krowy pasie na pastwiskach, czy jak o drugim sianokosie, to na łąkach można jeszcze czy nie? I jak dzień jest krótki, to się nie zagania w południe, a pasie się do wieczora. I do jedzenia chleb jest z domu, i ziemniak z ogniska, jak jeszcze są po polach, i ognisk na nich tyle, że tylko siność i dym idzie nad łąkami jak ślepy dziad po prośbie, i się śpiewa co niebądź, i w kadzidłach się pali na węglach liście i badyle, żeby dymu było, i że ogniowi, jak wiatr na niego wieje, to mu nie wolno na dupie siadać, bo się zadusi, i krowie dać poleżeć nie wolno, niech się pasie i czyby oni na wieś przyszedłszy, wiedzieli, jaką trawę krowy najbardziej jedzą i kiedy na żyłach popaść wolno, i kiedy poić, i ile soli do pojenia dawać?".

Wśród postaci Madeja próżno szukać pozytywnych jednostek, rekordy zła, podłości i głupoty biją jednak pseudointeligenci z czerwonymi legitymacjami w kieszeni, robiący – pożal się, Boże – kariery, tak jak urzędas z tytułowego opowiadania „Maści na szczury", który wyzbył się chłopskiej tradycji i kultury, nie zdając sobie sprawy, że nie ma niczego innego i odtąd będzie już tylko zerem.

Siłowanie się z losem

Warto pamiętać o wcześniejszych książkach Madeja. Po kolei były to: tomy opowiadań „Młodzi dorośli ludzie" (1964) i „Miecz i kądziel" (1965) oraz powieści „Uczta" (1965) i „Konstelacja" (1968). Przypominamy je głównie dla porządku, ten bowiem pisarz, który nas interesuje, którego mamy w pamięci i którego bezwzględnie wydobyć trzeba z zapomnienia, jakie mu zafundowano, zaczął się z chwilą napisania „Pięknych kalalii". Dlaczego wtedy zaczęły się jego kłopoty? „Dopóki Madej ograniczał się do prób odpowiedzi na pytanie, jak powinien żyć człowiek, jego utwory były przez cenzurę przepuszczane; z chwilą kiedy zaczął pytać, jak powinno funkcjonować państwo, przestały być drukowane" – konstatuje w szkicu „Przeznaczenie i bunt. Rzecz o pisarstwie Bogdana Madeja" Tomasz Kłusek.

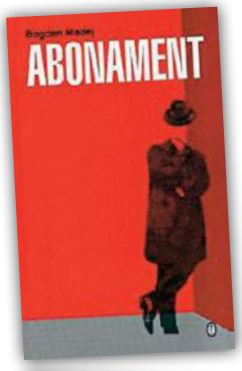

W wolnej Polsce Bogdan Madej zajął się dziennikarstwem, pracując w lubelskiej gazecie „Dzień", a potem nią kierując. Kariery nie zrobił; ci, którzy teraz rozdawali karty, wypominali mu członkostwo w Narodowej Radzie Kultury, przyjęte w 1986 r., jakby nieco za wcześnie. Zarzut był, oczywiście, absurdalny, ale życia pisarzowi nie ułatwił.

Jeszcze w 1990 r. Piotr Łazarkiewicz zrealizował film „W środku Europy" na podstawie świetnego opowiadania Madeja „Żydzi, Tatarzy, inni". Opowiadanie to znalazło się, wraz z sześcioma innymi, w wydanym w 1997 r. nakładem Wydawnictwa Literackiego „Półtraktacie o lewitacji". A w tytułowym „Półtraktacie…" ciekawie opowiedział m.in. o wojennym Grodnie widzianym oczyma dziecka, o okolicznościach przeprawy przez granicę i wojennym powrocie ojca z Rumunii. To w ogóle bardzo dobra książka, dotrzymująca kroku „Maści na szczury", czego nie da się powiedzieć o pośmiertnie wydanym „Abonamencie".

Bogdan Madej zmarł w Lublinie w 2002 r. Zdaniem Józefa Barana „cenił u pisarzy znajomość życia, natomiast nie lubił pisarzy »akademickich«, pisarzy z uniwersyteckiej probówki, niemających pojęcia o prawdziwym życiu. Twierdził, że większość naszych literatów wyszła z kawiarni, z biblioteki i pasożytuje na innych pisarzach, natomiast najwybitniejsi twórcy prozy amerykańskiej i iberoamerykańskiej wcześniej, nim zaczęli pisać książki, »naprawdę żyli«, siłowali się z losem, ocierali o najrozmaitsze środowiska, imali różnych zawodów i mieli od siebie wiele do powiedzenia o ludziach, środowiskach, świecie". A on właśnie i żył, i pisał naprawdę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7519f1e932

Jakub Lejkin składa meldunek komendantowi Józefowi Szeryńskiemu FOT. WIKIPEDIA/BUNDESARCHIV BILD

Książka miesiąca / Holokaust

Policjanci z getta

Kiedy dowiedziałem się, że Katarzyna Person pisze książkę o żydowskich policjantach w getcie warszawskim, moją pierwszą reakcją było zaskoczenie. W 1996 r. ukazała się bowiem wyczerpująca monografia tej formacji „Służba Porządkowa w getcie warszawskim w latach 1940–1943" pióra Aldony Podolskiej. Cóż nowego można napisać na ten temat?

Okazało się, że byłem w grubym błędzie. Dwadzieścia dwa lata to jednak szmat czasu. Dostępny materiał źródłowy znacznie się poszerzył. Wydane zostały nowe wspomnienia, pojawiły się nowe dokumenty. W efekcie pani Katarzyna Person napisała książkę fantastyczną. Nowatorską, ciekawą, a przede wszystkim – piekielnie uczciwą.

Bo przecież trudno o bardziej kontrowersyjny temat. Żydowska policja od momentu swojego powstania wzbudza kolosalne kontrowersje. Była to przecież kolaborująca z III Rzeszą umundurowana formacja złożona z Żydów. Formacja, która najpierw przez wiele miesięcy dręczyła swoich współrodaków, a potem odegrała haniebną rolę w trakcie deportacji warszawskich Żydów do Treblinki. Jej symbolem stały się gumowa pałka i ciężki, policyjny bucior.

Trudno się dziwić, że ta dramatyczna historia jest wykorzystywana ideologicznie. Antysemici ukazują ją jako koronny dowód na rzekomą perfidię i moralny upadek całego narodu żydowskiego. Z kolei część Żydów stara się makabryczne czyny Służby Porządkowej zamieść pod dywan. Przemilczeć je, ocenzurować.

Jakie stanowisko zajęła Katarzyna Person w „Policjantach"? Zrobiła to, co powinien zrobić rasowy historyk. Po prostu przedstawiła fakty. Jej książka nie jest ani filosemicka, ani antysemicka. Jest po prostu prawdziwa. Pani Person pisze zarówno o tych porządkowych – takich jak Jakub Lejkin i Mieczysław Szmerling – którzy zasłynęli ze swojego zwierzęcego sadyzmu, z braku skrupułów i obrzydliwej służalczości wobec Niemców, jak i o tych, którzy w godzinie próby zachowali swoje człowieczeństwo. Czyli odmówili udziału w deportacjach swoich współbraci i z pogardą rzucili Niemcom pod nogi swoje służbowe czapki. Woleli iść na śmierć, niż się zhańbić. To, bez wątpienia, byli wielcy bohaterowie.

Autorka policjantów pisze o „grajkach", czyli skorumpowanych policjantach, którzy przepuszczali grube tysiące w szulerniach, knajpach i burdelach getta. Ale również o uczciwych porządkowych, którzy chodzili w dziurawych butach i podczas służby patrolowej słaniali się na nogach z głodu.

Oceniając żydowską policję, Katarzyna Person zastosowała jedyne dopuszczalne kryterium. To samo, które zastosowałem ja, pisząc o tej formacji w „Żydach 2". Chodzi o to, by oceniać tych ludzi w sposób indywidualny, a nie kolektywny. Wśród żydowskich policjantów byli ludzie źli, ale byli również ludzie dobrzy. Każdy z nich może odpowiadać tylko za swoje czyny. A historyk powinien wskazać na całą gamę postaw występującą w tej formacji.

Książka Katarzyny Person obfituje w mnóstwo nowych, nieznanych wcześniej faktów i ciekawych hipotez. O wielu z nich chciałbym napisać. Niestety, rubryka ta ma ograniczoną objętość. Dlatego na razie ograniczę się do tych kilku uwag napisanych na gorąco. A ja do „Policjantów" jeszcze na łamach „Historii Do Rzeczy" wrócę. Pani Katarzyno, proszę przyjąć moje gratulacje. Napisała Pani świetną książkę. ©℗ ***Piotr Zychowicz***

KATARZYNA PERSON
„POLICJANCI"
ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY

eprasa.pl 7519f1e932

Partyzant z Wileńszczyzny

Józef Bandzo wspomina partyzanckie czasy (1943–1946) żywo, barwnie, ale nie koloryzuje. Opisuje dobre i złe chwile, bo właśnie tak było. Urodził się w 1923 r. w Wilnie, mieszkał też w Glinciszkach, w których policjanci litewscy w czerwcu 1944 r., rozwścieczeni stratą kilku ludzi w potyczce z oddziałem Armii Krajowej, zamordowali 40 Polaków, w tym kobiety (także matkę autora) i dzieci. Zginął wówczas również Władysław Komar, ojciec słynnego kulomiota. Autor ma rację, gdy nazywa odwet Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki" na litewskiej wsi Dubinki zbrodnią i plamą na honorze AK. Dodać można jedynie, że gdyby nie było Glinciszek, nie byłoby Dubinek.

Bandzo „Jastrząb" opisuje potyczki 3. Wileńskiej Brygady AK Gracjana Froga „Szczerbca" z kolaboracyjną policją litewską i likwidację jej posterunków na Wileńszczyźnie. Z niesmakiem pisze o rozkazie rozstrzelania jeńców na rozkaz „Burego" (Romualda Rajsa), dowódcy kompanii. Przyznaje mu duże zdolności organizacyjne, ale stwierdza, że zawiódł wyraźnie jako dowódca podczas jednej z akcji bojowych. Nazwie go człowiekiem nieopanowanym. Bandzo twierdzi, że „Bury" chciał go zastrzelić, jednak on szybciej wyciągnął pistolet, co sprawiło, że krewki przełożony się opamiętał. Autor przedstawia też sprawę udanego buntu, który podnieśli partyzanci, gdy zdjęto z dowodzenia 3. Brygadą lubianego i szanowanego „Szczerbca".

Wiosna 1944 r., którą opisuje autor, była niezwykłym czasem na Wileńszczyźnie. Całe rejony były pod kontrolą AK. Jedno z najbardziej znanych zdjęć partyzanckich – zamieszczone w książce – przedstawia „Burego" wymaszerowującego z kościoła w Turgielach, na czele umundurowanego oddziału po mszy w rocznicę uchwalenia Konstytucji 3 maja.

Bandzo, ranny pod Murowaną Oszmianką w starciu z Litwinami, musiał odejść z oddziału, a zagrożony aresztowaniem „repatriował się" do Polski. Na Podlasiu przystąpił do odtworzonej 5. Brygady. Jak pisał, dla aparatczyków z UB nie było litości. Sam dokonywał takich likwidacji. Partyzanci walczyli jednak także z lokalnymi bandytami gnębiącymi ludność. Odszedł z oddziału w 1946 r., gdyż uznał: „Siły komunistyczne ciągle się wzmacniały, a my tylko ponosiliśmy straty i nie było żadnych możliwości ich uzupełnienia". ©℗ *Tomasz Stańczyk*

JÓZEF BANDZO PS. JASTRZĄB
„TAK BYŁO. WSPOMNIENIA PARTYZANTA 3. I 5. WILEŃSKIEJ BRYGADY AK"
IPN

Ziemia Obiecana SB

Znany tercet autorów śledzi tym razem związki PRL-owskiej bezpieki z tworzeniem wielkich i mniejszych fortun u progu III Rzeczypospolitej. Na podstawie materiałów IPN udowadniają, że polska transformacja gospodarcza w małym stopniu miała charakter spontaniczny. Nie wystarczyło nawet „pierwszy milion ukraść". Trzeba było jeszcze należeć do tych kręgów funkcjonariuszy i ich współpracowników, które decydowały, kogo do tych milionów dopuścić i komu pozwolić na ich wykorzystanie w biznesie. Z reguły ze szkodą dla społeczeństwa. Afera FOZZ najlepszym tego przykładem. Jest sporo nazwisk. ©℗ *(m.r.)*

DOROTA KANIA, JERZY TARGALSKI, MACIEJ MAROSZ
„RESORTOWE DZIECI. BIZNES"
FRONDA

„U POLSKICH STALI GRANIC. W 90. ROCZNICĘ UTWORZENIA KORPUSU OCHRONY POGRANICZA"
IPN

W OBRONIE KRESÓW

Korpus Ochrony Pogranicza został powołany w 1924 r. nie tylko do walki z dywersją organizowaną przez sowieckie służby na Kresach Wschodnich. Białoruska Partia Socjalistów-Rewolucjonistów dążyła do wywołania powstania na Kresach, organizowała oddziały zbrojne, korzystając ze wsparcia Litwy. KOP walczył często z bandytyzmem, mającym też wymiar polityczny. ©℗ *(t.s.)*

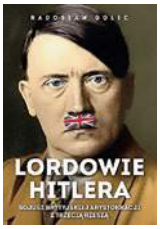

RADOSŁAW GOLEC
„LORDOWIE HITLERA"
ZONA ZERO

BRYTYJSKIE ELITY I HITLER

Temat flirtu brytyjskich elit z III Rzeszą ujęty jest ciekawie, aczkolwiek podejrzane stosunki Edwarda VIII i pani Simpson z Hitlerem, historia „brytyjskiego führera" Mosleya czy niewyjaśnione okoliczności lotu Rudolfa Hessa do Wielkiej Brytanii były już dość często poruszane. Autor nie wyjaśnia zagadek. Pyta i „daje do myślenia". Czy Hitler sam wysłał Hessa? Możliwe, ale dowodów brak... ©℗ *(m.r.)*

PAWEŁ WAWRYSZUK
„STOSUNKI POLSKO-JUGOSŁOWIAŃSKIE W LATACH 1945–1971"
IPN

PRL I TITO

Przywódca jugosłowiańskich komunistów Josip Broz Tito zdołał uniezależnić się od ZSRS. Oczywiście wpłynęło to fatalnie na relacje między Jugosławią a sowieckimi satelitami. Jak to wyglądało w przypadku PRL – opisuje autor. Minus za mylący tytuł. Z początku myślałem, że książka dotyczy relacji polskiego rządu na emigracji z Belgradem. Prawidłowy tytuł powinien brzmieć: „Stosunki między PRL a Jugosławią". ©℗ *(p.z.)*

eprasa.pl 7519f1e932

Blanka Kastylijska i Ludwik IX FOT. WIKIMEDIA

Panie wieków średnich

Wedle obiegowej opinii średniowiecze jest najbardziej „zacofaną" epoką w dziejach. To czasy ciemnych ludzi, żyjących w prymitywnych warunkach, hołdujących zabobonom, rządzonych przez okrutnych gwałtowników – królów i ich wasali – oraz skorumpowanych, pasożytniczych księży. Kategorią najbardziej pokrzywdzoną miały zaś być kobiety. Tymczasem w książce spotykamy wspaniale udokumentowane żywoty niewiast – królowych, arystokratek, zakonnic, mieszczek i chłopek – które doskonale dawały sobie radę w świecie zdominowanym przez mężczyzn.

Oto królowa Blanka Kastylijska, która dwukrotnie była regentką Francji, skutecznie uśmierzając bunty możnych (jeden się w niej platonicznie zakochał). Wielkim szacunkiem darzył ją syn – Ludwik IX Święty – który nawet obowiązki małżeńskie z kochaną i kochającą go żoną spełniał za zezwoleniem matki. Drapieżną z kolei osobowością odznaczała się siostra angielskiego króla Eleonora z Monfort. Ciekawe, że chłopki – na przykład w angielskiej wiosce Cuxham – miały większe prawa dziedziczenia niż wiele wysoko postawionych niewiast. Sporą niezależnością cieszyły się też niewiasty należące do flandryjskich gildii tkackich czy żony włoskich kupców. Ogólnie biorąc, we wszystkich warstwach społecznych mocna była pozycja wdów, które dziedziczyły po mężach, oraz kobiet z niższych warstw, biorących na równi z mężczyznami udział w rodzinnej pracy.

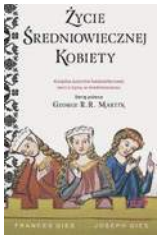

Wyjątkową postacią XII w. była benedyktynka Hildegarda z Bingen, z której zdaniem liczyli się cesarze i papieże. W swoich wizjach widziała glob ziemski jako kulę (co, notabene, odróżniało ją od słynnego cztery wieki później protestanta Filipa Melanchtona). Giesowie piszą przy okazji: „Naruszenia czystości w zakonach żeńskich, najczęściej rozgłaszane przez wojowniczych i złośliwych pisarzy protestanckich, zdarzały się […] jednak w istocie tego rodzaju wykroczenia były zaskakująco rzadkie".

Para stosunkowo niedawno zmarłych amerykańskich historyków zajmowała się niewiastami z zachodniej Europy, gdzie – w przeciwieństwie do Polski – ocalały archiwa pozwalające odtwarzać żywoty nawet mieszczek i chłopek.

Natrafimy jednak na dzielną Barbarę Fugger z Augsburga, która – zanim owdowiała w 1469 r. – urodziła 14 dzieci, a potem z powodzeniem kierowała domem towarowym zmarłego męża. Synem Jakobem tak pokierowała, że z czasem wyrósł na największego kupca średniowiecznego, zwanego Bogaczem. Z tej właśnie rodziny wywodzą się warszawscy Fukierowie, prowadzący znany skład win na Rynku Starego Miasta… ©℗

Maciej Rosalak

FRANCES GIES, JOSEPH GIES
„ŻYCIE ŚREDNIOWIECZNEJ KOBIETY"
ZNAK HORYZONT

Prowokator z Gliwic

Ciekawie napisana biografia Alfreda Naujocksa, oficera SS – Służby Bezpieczeństwa SD. I – jak głosi podtytuł – fałszerza, mordercy, terrorysty.

Naujocks był dowódcą oddziału, który 31 sierpnia 1939 r. dokonał rzekomego napadu Polaków na niemiecką radiostację w Gliwicach. Miano z niej nadać wezwanie do antyniemieckiego powstania. Apel został wyemitowany, lecz ze względów technicznych był słyszany tylko w niedalekiej okolicy. Nie uzyskano więc efektu propagandowego. Dla uwiarygodnienia prowokacji w radiostacji pozostawiono ciało zamordowanego polskiego Ślązaka – Franciszka Honioka. Porwano go dzień wcześniej (nie był więc więźniem obozu koncentracyjnego). Po wojnie w RFN nie ustalono, kto go zabił, nie obwiniono więc za to Naujocksa.

Po Gliwicach 28-letni Naujocks awansował na szefa wywiadu zagranicznego SD. Brał udział w innej słynnej prowokacji – w Venlo, kiedy porwano brytyjskich agentów z terenu Holandii.

Naujocks był też zaangażowany w produkcję fałszywych funtów, którymi zamierzano zasypać Wielką Brytanię, w terrorystyczne zamachy na obiekty użyteczności publicznej w Danii podczas niemieckiej okupacji, a także opozycyjnie nastawionych znanych Duńczyków.

Nazwisko Naujocksa było związane z hipotezą, że wyniszczenie kadry Armii Czerwonej przez Stalina było wynikiem prowokacji SD, która wyprodukowała obciążające materiały. Sam Naujocks przyznawał się do tego. Jednak autor wykazuje, że jest to legenda. ©℗ ***(t.s.)***

FLORIAN ALTENHÖNER
„CZŁOWIEK, KTÓRY ROZPĘTAŁ II WOJNĘ ŚWIATOWĄ"
REPLIKA

eprasa.pl 7519f1e932

Jak akowiec z upowcem

Należał do grona ostatnich Mohikanów polskiego podziemia antykomunistycznego. Aresztowano go 21 stycznia 1956 r. w Brzezinach na Lubelszczyźnie. Podporucznik czasu wojny Stefan Kobos „Wrzos" (rocznik 1900) rozpoczął działalność w strukturach Polskiego Państwa Podziemnego już w listopadzie 1939 r. Będąc członkiem Armii Krajowej, objął funkcję dowódcy III Plutonu Kompanii AK „Narol". Uczestniczył w działaniach służących ochronie polskiej ludności przed atakami ze strony przybyłych z Wołynia i Galicji oddziałów Ukraińskiej Powstańczej Armii. Wziął też udział w bitwie pod Narolem, którą na Lubelszczyźnie stoczyli żołnierze AK i UPA. W nocy z 21 na 22 maja 1944 r. polskie pozycje w okolicach Lipska, Lipi, Łukawicy, Jędrzejówki i Brzezin zaatakowały sotnie Dymytro Karpenki „Jastruba", Dmytro Pełypa „Ema" i Wsiewołoda Przepiórskiego „Morozenki". Podczas zaciętych walk partyzanci „Wrzosa" dwukrotnie odparli ataki UPA na wieś Brzeziny.

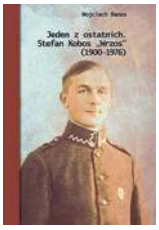

WOJCIECH HANUS „JEDEN Z OSTATNICH. STEFAN KOBOS »WRZOS« (1900–1976)"
WYDAWNICTWO IPN

Wkroczenie na Lubelszczyznę w lipcu 1944 r. Armii Czerwonej zawiesiło chwilowo polsko-ukraińską konfrontację. Stefan Kobos, podobnie jak spora część żołnierzy AK z V Rejonu – Susiec, nie złożył broni i kontynuował w warunkach nowej sowieckiej już okupacji swoją niepodległościową działalność w szeregach organizacji „Nie", Delegatury Sił Zbrojnych oraz Zrzeszenia Wolność i Niepodległość. 1 maja 1945 r. „Wrzos" za swe dotychczasowe zasługi został awansowany do stopnia podporucznika czasu wojny. W uzasadnieniu do złożonego wniosku jeden z jego przełożonych napisał: „Stefan Kobos jest jednym z najlepszych dowódców plutonu, odważny, inteligentny, wyrobiony, posiadający inicjatywę". Wiosną 1945 r. zarówno polscy, jak i ukraińscy konspiratorzy doszli do przekonania, że kontynuowanie walk polsko-ukraińskich w obliczu komunistycznego zagrożenia jest sprzeczne z racją stanu obu narodów i służy wyłącznie bolszewickim okupantom. Stąd podjęto rozmowy mające na celu wypracowanie jakiegoś wspólnego modus vivendi. Stosowne porozumienie między tomaszowską DSZ a miejscowymi strukturami OUN-UPA zawarto 21 maja 1945 r. w przysiółku Żar.

Żeby je wcielić w życie, ppor. „Wrzos" oraz jego dowódca por. Karol Kostecki „Kostek" postanowili w czerwcu nawiązać kontakt z prowidnykiem rejonu V II okręgu OUN – Teodorem Rębiszem „Zarubą" oraz okręgowym referentem SB OUN (Służba Bezpieczeństwa OUN) – Wasylem Fedyńskim „Szramem". W efekcie rozmów strony zobowiązały się do udzielania sobie wzajemnej pomocy w walce z komunistycznymi organami bezpieczeństwa. Spotkania „Wrzosa" z „Zarubą" i ze „Szramem" odbywały się wielokrotnie w latach: 1945, 1946 i 1947. Poza wymianą informacji wymierną ich korzyścią było unormowanie zasad handlu wymiennego, który zaczął rozwijać się między obiema stronami. Jego zasadniczym elementem było wykupywanie przez polskich cywili mienia pozostawionego przez Ukraińców wysiedlanych przymusowo do ZSRS. Pieniądze z tego tytułu zebrane WiN-owscy konspiratorzy przekazywali członkom podziemia ukraińskiego. Ponadto „Wrzos" na rzecz Ukraińców dokonywał zakupów m.in. żywności oraz dostarczał im fałszywe dowody tożsamości. W sierpniu 1947 r. „Michorowski" (drugi pseudonim Kobosa) spotkał się z przedstawicielami OUN po raz ostatni. Miesiąc później jego ukraińscy rozmówcy już nie żyli. Polegli 14 września 1947 r. w walce z grupą operacyjną UB-KBW w bunkrze położonym w okolicach Lubczy Królewskiej i Teniatysk.

Sam „Wrzos" trwał niezłomnie na swym posterunku aż do chwili swego aresztowania. Skazany na dożywocie (wyrok złagodzono do 15 lat) w 1962 r. ze względu na stan zdrowia uzyskał przerwę w odbywaniu kary, a sześć lat później został zwolniony z konieczności dalszego jej odbywania. Zmarł w Opolu w 1976 r. ©℗

Arkadiusz Karbowiak

Pani Róża i jej epoka

Cóż to była za postać! Cóż to było za życie! Róża z Potockich Raczyńska żyła długie 89 lat. Od roku 1849 do 1937. Ileż przez ten czas widziała, w ilu żyła epokach! Powstanie styczniowe, wielka wojna, rewolucja, II RP. Zenit, a potem upadek wielkich imperiów Hohenzollernów, Habsburgów i Romanowów. Zejście ze sceny starych, poczciwych monarchów, a wejście na scenę zbrodniczych dyktatorów. Lenina, Hitlera i Stalina.

Wspomnienia Róży Raczyńskiej to jednak przede wszystkim pasjonująca opowieść o życiu jej sfery. Czyli polskiej arystokracji w wiekach XIX i XX. Ojciec autorki Adam Józef Potocki był przywódcą krakowskich konserwatystów. Pani Róża była chrześnicą gen. Józefa Chłopickiego, a jej pierwszy mąż był synem poety Zygmunta Krasickiego. Z drugim mężem miała dwóch synów – Edwarda i Rogera Raczyńskich. Obaj byli wybitnymi dyplomatami, pierwszy piastował zaszczytne stanowisko prezydenta Rzeczypospolitej. A więc jest co wspominać i o czym opowiadać. Szczególnie że i pani Róża była obdarzona, jak się niegdyś mówiło, ministerialną głową.

Na książkę „Pani Róża" oprócz pamiętników tytułowej bohaterki składa się poświęcony matce tekst Edwarda Raczyńskiego. A także piękne wspomnienie Stanisława Cata-Mackiewicza napisane pod świeżym wrażeniem jej śmierci: „Wielka szkoda, że polskie warunki historyczne nie dały właściwego ujścia prawdziwemu talentowi politycznemu, który pulsował w mózgu i krwi tej pani". ©℗

Piotr Zychowicz

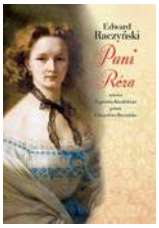

EDWARD RACZYŃSKI „PANI RÓŻA"
LTW

eprasa.pl 7519f1e932

Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

Zapomniany Kosmos

Nie ma zbyt wielu takich spraw, o które żywiłbym do swoich śp. Rodziców niewygasłe pretensje. Fakt, że nie obudzili mnie pewnej lipcowej nocy, równo pół wieku temu, żebym mógł wraz z nimi i braćmi obejrzeć bezpośrednią nocną transmisję telewizyjną, należy do wyjątków. Oczywiście potem oglądałem te zdjęcia i słuchałem słów: „To mały krok dla człowieka, ale wielki skok dla ludzkości" wielokrotnie, ale to już przecież nie to samo. Drugiej okazji, żeby obejrzeć pierwsze lądowanie człowieka na Księżycu „na żywo", już nie będzie.

Nie będzie już zresztą okazji, przynajmniej za życia mojego pokolenia, by obejrzeć jakiekolwiek jeszcze lądowanie człowieka na czymkolwiek. Z perspektywy półwiecza aż trudno uwierzyć, jak szybko wywietrzał ludzkości z głowy podbój Kosmosu. Pewnie nie patrzę na to obiektywnie – Kosmos był moją młodzieńczą szajbą, nieliczne dostępne książki na ten temat zaczytywałem na śmierć z wypiekami na policzkach, wielokrotnie tonąłem w oceanie i płonąłem żywcem wraz z „Gusem" Grissomem, potrafiłem opisać dokładnie wnętrza „Gemini", „Apolla" czy nawet ruskich „Wostoków", choć akurat jeśli chodzi o rosyjską kosmonautykę, to wszelkie dane wydzielane były popularyzatorom nad wyraz skąpo.

Wielki amerykański sukces sprzed pół wieku okazał się jednak zarazem początkiem końca tej przygody. Po zdobyciu Księżyca i faktycznym odpadnięciu z wyścigu ZSRS dramaturgia rywalizacji mocarstw „siadła" i nie znaleziono niczego, czym by zainteresowanie „mas" można podtrzymać.

> / Po zdobyciu Księżyca i faktycznym odpadnięciu z wyścigu ZSRS **dramaturgia rywalizacji mocarstw „siadła"**

Żeby jakoś zagospodarować powstałą na użytek tego wyścigu infrastrukturę, wymyślano jeszcze orbitalne stacje kosmiczne, mniejsze państwa próbowały dołączyć do supermocarstw, wystrzeliwując własne satelity albo wynajmując miejsca w ich rakietach, dla politycznej manifestacji „odprężenia" urządzono wspólny lot Sojuz-Apollo, w końcu uruchomiono program międzynarodowej orbitalnej stacji kosmicznej – głównie po to, by czymś zająć bezrobotnych specjalistów sowieckich, zanim zatrudnią ich Husajn albo Kim Dzong Il. Zdaje się, że wyrok wydany na tę stację przez George'a W. Busha został odroczony, ale asygnowanie paru kolejnych milionów nie zmieni faktu, że prawie nikogo już ona nie obchodzi. Zresztą, powiedzmy szczerze, poza tym, że kilku milionerów zabawiło się, płacąc krociową stawkę za turnus na orbicie, nic z tego „podboju Kosmosu" nie wynika.

O wielkich planach, bazach księżycowych, lotach na Marsa i inne planety, których przed półwieczem spodziewali się nie tylko podobni mi młodzi entuzjaści science fiction, lecz także najpoważniejsi naukowcy i futurolodzy, nikt już chyba nie pamięta. I okrągła rocznica podboju Księżyca nie przypomni o tym na dłużej niż kilka dni.

Jak zwykle zadecydowały ekonomia i polityka. Podbój Kosmosu był ubocznym skutkiem zimnej wojny. Zastępczym polem starcia między mocarstwami i spożytkowaniem do walki o prestiż technologii stworzonych dla umożliwienia uderzenia atomowego w dowolnym punkcie globu. Gdy starcie to zostało rozstrzygnięte, dobitnie pokazując wyższość USA nad ZSRS, nie znaleziono już powodu, by dalej w Kosmos inwestować. To, co było można przy okazji uzyskać – technologie satelitarne – uzyskano. Poza tym żadnych pieniędzy z kosmicznej próżni wycisnąć się już nie da. Co zaś do marzeń, to jest z nimi jak z jajecznicą – jeśli wystygnie, to odgrzać się już nie da. ©℗

eprasa.pl 7519f1e932

Piotr Semka

/ Felieton

Chichot Kirowa

/ Największy problem ukraińscy patrioci mieli z dwiema wielkimi metropoliami Naddnieprza – Dniepropietrowskiem i Kirowohradem

Czy wiedzą państwo, czym zajmuje się topomastyka? Już wyjaśniam. Jest to dział onomastyki – nauki o pochodzeniu nazw własnych. Topomastyka metodami badania językowego wyjaśnia genezę powstania nazwy geograficznej. W Polsce topomastycy mieli swoje wielkie chwile, gdy po 1945 r. trzeba było ustalić nowe, polskie nazwy dla tysięcy miast i wsi na ziemiach zachodnich. I trzeba było to zrobić w rok, dwa lata, bo ludzie przybywali już do miejscowości na Pomorzu, Śląsku oraz na Warmii i Mazurach.

W północnej części dawnych Prus Wschodnich, którą przyłączono do Związku Sowieckiego, nikogo dawne pruskie nazwy miast i wsi nie interesowały. Niemieckie nazwy miast lekką ręką zmieniano ku czci herosów państwa sierpa i młota. I tak Królewiec przemianowano na Kaliningrad ku czci szefa Rady Najwyższej ZSRS, Michaiła Kalinina. Miasto Instenburg otrzymało imię Czerniachowsk ku czci marszałka Iwana Czerniachowskiego, a Gumbinnen nazwano Gusiewem, upamiętniając Siergieja Gusiewa, komisarza politycznego Armii Czerwonej, który poległ 18 stycznia 1945 r. w walkach o miasto. Tylża została Sowietskiem, a wsie przemianowywano już z rozdzielnika: Pobieda, Sołdatskoje, Oktiabrskoje. Niekiedy nazwy zdradzały, skąd zwieziono obywateli do zasiedlenia postprusackich posiołków – Moskowskoje, Pskowskoje – lub kto organizował zasiedlenie – np. Komsomolsk.

Na terenie obwodu kaliningradzkiego nikt o żadnej dekomunizacji nazw nawet nie myśli. Stalinowskie nazwy trzymają się równie mocno jak pomniki Lenina na centralnych placach miast.

Inaczej jest na Ukrainie, gdzie po obaleniu prezydentury Wiktora Janukowycza weszła w życiu ustawa o zakazie symboliki totalitarnej. Jeden z jej zapisów nakazał zmianę propagandowych nazw nadanych ukraińskim miejscowościom w czasach ZSRS. O perypetiach związanych z tym, wydawałoby się, prostym zadaniem ciekawie pisze Tadeusz A. Olszański z Ośrodka Studiów Wschodnich.

Największy problem był z dwiema wielkimi metropoliami Naddnieprza – Dniepropietrowskiem i Kirowohradem. Pierwsza nazwa miała uczcić ukraińskiego komunistę Hryhorija Pietrowskiego (1878–1958), a druga komunistycznego władcę Leningradu – Sergieja Kirowa (1886–1934). W obu przypadkach powrót do nazw przedrewolucyjnych nie był możliwy.

Dniepropietrowsk był wcześniej Jekaterynosławem na cześć carycy Katarzyny, a Kirowohrad wcześniej nazywano Jelizawietgradem dla uczczenia carycy Elżbiety. Ukraińscy patrioci nie mieli ochoty na kult imperatorek, a stare nazwy raziły.

Ostatecznie z Dniepropietrowska został tylko człon Dnipro (po ukraińsku – Dniepr). W drugim przypadku nowa nazwa to Kropywnycky, od nazwiska artysty i uczestnika odrodzenia narodowego na Ukrainie, Marko Kropywnyckiego, zmarłego w 1910 r.

Więcej problemów sprawiły miejscowości, które powstały w czasach sowieckich. Tutaj szukano nazwy wsi, na których terenie zbudowano te miasta. Tak było z Komsomolskiem koło Krzemieńczuka, który – jak sprawdzono na starych mapach – powstał na terenie wsi Horiszni Pławni, czyli Górne Łęgi. Problem w tym, że nowa nazwa nie zachwyciła mieszkańców miasteczka. Kojarzyła im się z mało wzniosłym słowem „pławki", czyli kąpielówki.

W przypadku małych miejscowości i wsi o komunistycznych nazwach dała o sobie znać nowa polityka historyczna Ukrainy. Cztery wsie dostały nazwy związane z Ukraińską Republiką Ludową lat 1917–1921, a pięć innych nazwiska poległych bohaterów walk w Donbasie. Paru miejscowościom, w których żyją bułgarscy osadnicy, cofnięto nazwy ku czci bułgarskich komunistów i w to miejsce wprowadzono imiona bułgarskich patriotów z XIX w.

Niektóre stare nazwy wczepiły się jednak w Ukrainę jak złośliwe kleszcze. Oto wciąż używana jest nazwa obwodów dniepropietrowskiego i kirowogradzkiego. Ich nazwy zapisano w tekście konstytucji, a tej nie da się zmienić bez parlamentarnej większości. Chichot komunistów Pietrowskiego i Kirowa dobywa się pewnie z najdalszym zakątków piekła. ©℗

eprasa.pl 7519f1e932

1941–1944 / Nowogródczyzna, Wileńszczyzna, Wołyń

Żołnierze Armii Krajowej i Armii Czerwonej na ulicach Wilna, lipiec 1944 r. FOT. NAC

Cichociemni na Kresach

Tomasz Stańczyk

Walczyli z dwoma wrogami: Niemcami i Sowietami. I trzecim – Ukraińską Powstańczą Armią, mordującą Polaków na Wołyniu

W lutym 1941 r. w okupowanej Polsce pojawili się pierwsi zrzutkowie – cichociemni. Wielu weszło w skład „Wachlarza". Na wypadek ogólnokrajowego powstania „Wachlarz" miał stworzyć, poprzez przerywanie szlaków kolejowych, barierę odgradzającą cofające się wojska niemieckie. Doraźnie jednak „Wachlarz" został wykorzystany do dywersji na zapleczu frontu wschodniego. Polski rząd w Londynie mógł wykazać, że jego siły zbrojne wspierają członka koalicji antyhitlerowskiej – Związek Sowiecki.

„Wachlarz" poniósł ogromne straty. Pod koniec 1942 r. Niemcy rozbili IV odcinek „Wachlarza", aresztując także jego członków – cichociemnych Tadeusza Sokołowskiego „Tropa", Jerzego Sokołowskiego „Mirę", Bohdana Piątkowskiego „Maka", Wacława Zaorskiego „Rybę", Kazimierza Smólskiego „Sosnę". „Mira" zdołał uciec konwojującemu go Niemcowi. „Ryba" popełnił samobójstwo, połykając cyjankali. Pozostali trafili do więzienia w Mińsku.

Zmontowana została ekipa mająca ich odbić. Żeby zwiększyć szanse powodzenia, nawiązano kontakt z partyzantami sowieckimi, których towarzysze byli także w więzieniu. Sowieci okazali się zdrajcami. Niemcy otoczyli dom, w którym byli polscy żołnierze. W walce poległo trzech Polaków. „Mirze" udało się wyrwać z obławy. Ucieczki z więzienia próbował trzykrotnie „Mak". Ostatnim razem został postrzelony i zmarł z ran. Cichociemny Tadeusz Sokołowski został rozstrzelany przez Niemców, Kazimierz Smólski wysłany do obozu koncentracyjnego, przeżył…

Mińska tragedia wydarzyła się krótko po ogromnym sukcesie: uwolnieniu członków III odcinka „Wachlarza" z więzienia w Pińsku w styczniu 1943 r. Także w tym przypadku aresztowano dowódcę odcinka, Alfreda Paczkowskiego „Wanię". Dowództwo objął cichociemny por. Jan Piwnik „Ponury", mając m.in. do pomocy cichociemnego Jana Rogowskiego „Czarkę". W akcji wziął udział także cichociemny Wacław Kopisto „Kra".

„Kra" na Wołyniu

„Kra" został rok później szefem Kedywu Inspektoratu Rejonu Łuck AK. Na Wołyniu trwały już mordy ludności polskiej dokonywane przez Ukraińską Powstańczą Armię. Kopisto zamieszkał w Antonówce, gdzie mieściła się baza samoobrony. Brał udział w odparciu ataku banderowców. 27 lipca samoobrona

eprasa.pl 7519f1e932

(i partyzanci) stoczyli dramatyczny bój. Jednym z oddziałów dowodził „Kra". Polacy przeszli do kontrataku, jednak – jak relacjonował „Kra" – „ledwie rozpoczęliśmy akcję, zostaliśmy silnie ostrzelani przez banderowców. Wkrótce moi sąsiedzi zostali poważnie zranieni. […] W tej sytuacji wstrzymałem natarcie, rozkazując partyzantom kryć się w zbożu, a łącznika wysłałem na rozeznanie do sekcji erkaemu. Okazało się, że zarówno celowniczy Swatowski, jak i amunicyjny Gołębiowski zostali zabici. W związku z tym poleciłem Małosze [komendant samoobrony – przyp. T.S.] przez gońca wstrzymać natarcie i wycofać się w kierunku mleczarni z erkaemem. […] Po osiągnięciu rejonu mleczarni zorganizowaliśmy tam obronę dającą nam ochronę przed atakującymi Ukraińcami. Pod wieczór banderowcy zaprzestali ataków i wycofali się" (za K.A. Tochman, „Major Wacław Kopisto. Cichociemny, oficer AK, sybirak").

Później „Kra" wyjechał do silnej bazy samoobrony w Przebrażu, gdzie służył swoim doświadczeniem i szkolił oddział partyzancki „Drzazgi" walczący w obronie tej polskiej wsi, w zakresie dywersji.

Inny cichociemny, Władysław Kochański „Bomba", zapisał się wspaniale, dowodząc obroną Huty Stepańskiej na Wołyniu (pisał o nim Piotr Zychowicz w nr. 7/2019 „Historii do Rzeczy").

Misja „Kotwicza"

W 1944 r. cichociemny Maciej Kalenkiewicz „Kotwicz" – pomysłodawca przerzucania drogą powietrzną do Polski oficerów – został skierowany przez Komendę Główną AK do okręgu nowogródzkiego. Dowództwo AK było zaniepokojone tym, że niektórzy dowódcy oddziałów zawierają lokalne porozumienia z Niemcami o nieagresji i biorą od nich broń. Z punktu widzenia Komendy Głównej i władz polskich w Londynie było to niedopuszczalne. Byliśmy wszak członkiem antyhitlerowskiej koalicji, a propagandzie sowieckiej niczego nie było bardziej trzeba niż skompromitowania Polaków przez wykazanie, że AK wchodzi w porozumienie z Niemcami. Z perspektywy Nowogródczyzny sprawa wyglądała inaczej. Partyzantka sowiecka zaciekle zwalczała oddziały AK, dopuszczając się skrytobójstw, morderstw, rozbrajając Polaków. Niektórzy dowódcy zagrożeni likwidacją ich oddziałów przez Sowietów szli na porozumienie o wzajemnym „niezaczepianiu się" z Niemcami.

Jednym z nich był Józef Świda „Lech". Za takie porozumienie został skazany na śmierć przez sąd polowy. Maciej Kalenkiewicz, pełnomocnik Komedy Głównej, zawiesił wykonanie wyroku śmierci do zakończenia wojny z prawem rehabilitacji na polu walki. Nie był z tego zadowolony szef okręgu nowogródzkiego Janusz Prawdzic-Szlaski. Gdyby Świdę rozstrzelano, nikt nie dowiedziałby się, że – jak twierdził Świda-Szlaski – zgodził się na jego porozumienie z Niemcami. Potem jednak Szlaski, widząc, jakie jest stanowisko Komendy Głównej AK, wyparł się tego. Zarzucano Maciejowi Kalenkiewiczowi, że uratował „Lecha" od rozstrzelania, gdyż był z nim spokrewniony. Jednak jeśli zna się osobowość i charakter „Kotwicza", znakomicie przedstawioną w książce Jana Erdmana, wydaje się to wykluczone.

Złudzenia „Ponurego"

Cichociemny Jan Piwnik „Ponury" był jednym z sędziów w sprawie Józefa Świdy. Na Kresach Wschodnich znalazł się po tym, jak został pozbawiony – na skutek konfliktów z komendantem okręgu – dowództwa dużego i sprawnego oddziału na Kielecczyźnie. „Ponury" zarzucał komendantowi, że nie udziela partyzantom wsparcia, i wyrażał swoją dezaprobatę nader ostro i gwałtownie.

Biograf „Ponurego" Cezary Chlebowski pisał („Pozdrówcie Góry Świętokrzyskie"): „Skazany na bezczynność, spalał się nerwowo. Wtedy wyciągnęli ku »Ponuremu« pomocną dłoń koledzy-cichociemni. Uwolniony przez »Ponurego« przed rokiem kpt. »Wania« był teraz szefem Kedywu obszaru białostockiego, obejmującego okręgi białostocki, nowogródzki i poleski. Padła propozycja:

– Chcesz iść na Nowogródczyznę?

– Wszystko jedno, gdzie, byle bić Niemców i skończyć z tą potworną biernością – odpowiedział bez namysłu »Ponury«".

Pierwsza akcja oddziału dowodzonego przez Jana Piwnika zakończyła się jednak klęską. Piwnik chciał zniszczyć posterunek niemieckiej żandarmerii w Szczuczynie. Był 29 kwietnia 1944 r. Część żołnierzy przedostała się skrycie do budynku internatu w miasteczku i miała zaatakować, gdy żandarmi będą udawali się bez broni na posiłek. Niestety, „miejscowy ogrodnik wraz z agronomem i komisarzem niemieckim – relacjonował Chlebowski – sprawdzając stan orki na przylegającym do internatu polu, świeżo wczoraj zaoranym, dostrzegają liczne ślady stóp. Komisarz natychmiast powiadamia żandarmów". Żołnierze „Ponurego" ratowali się ucieczką z internatu pod

eprasa.pl 7519f1e932

Maciej Kalenkiewicz „Kotwicz". Obok: Adolf Pilch „Góra" FOT. DOMENA PUBLICZNA, NAC

gradem kul. Większość zginęła lub dostała się do niewoli i została rozstrzelana.

Jeśli wierzyć wspomnieniom sowieckiego dowódcy partyzanckiego, cytowanym przez Chlebowskiego, podczas rozmów z „Ragnerem" [Czesław Zajączkowski – przyp. T.S.] ten był wręcz wrogo ustosunkowany do możliwości współpracy z Sowietami, wypomniał im rozbrojenie Zgrupowania Stołpeckiego AK i nie wierzył w żadne zapewnienia o lojalnej współpracy. Tymczasem „Ponury" uczestniczący w tej rozmowie, który partyzantom sowieckim przyznał prawo swobodnego przechodzenia na swój teren, miał wręcz zaatakować „Ragnera". „Teraz już każdy rozumie, że nadszedł koniec Hitlera i wspólnie z Rosjanami powinniśmy go dobijać" – mówił Piwnik. Sowiecki partyzant wspominał, że zastanawiał się podczas tego spotkania, czy Polacy puszczą go, czy „stukną tutaj". Myślał kategoriami sowieckimi. To właśnie partyzanci sowieccy mordowali żołnierzy AK.

Klęskę w Szczuczynie powetował „Ponury" rozbiciem niemieckiego posterunku w Wasiliszkach, Jachnowczach. Kolejne miały być Jewłasze, gdzie znajdował się umocniony punkt obrony. Akcja odbyła się 16 czerwca 1944 r. Natarcie niemal się załamało, ale ostatecznie żołnierze „Ponurego" przełamali kryzys. Zanim zdobyli bunkry, seria pocisków z jednego z nich trafiła śmiertelnie „Ponurego". Ze swoją wiarą we współdziałanie polsko-sowieckie miał szczęście, że nie umierał ze świadomością, iż zabili go Sowieci.

Czesław Zajączkowski „Ragner" wiedział, że się nie mylił co do Sowietów. Zginął w obławie NKWD w grudniu 1944 r.

Także cichociemny Adolf Pilch „Góra" nie miał najmniejszych złudzeń co do tego, że celem partyzantki sowieckiej nie jest walka ramię w ramię z Polakami, lecz likwidacja oddziałów AK.

W połowie 1943 r. w obwodzie AK Stołpce został zorganizowany Polski Oddział Partyzancki. Istniało porozumienie między Polakami a sowieckimi partyzantami o współdziałaniu przeciw Niemcom. Jednak gdy pod Puszczą Nalibocką Polacy starli się z oddziałem niemieckim, Sowieci mający wspomóc partyzantów AK z premedytacją się wycofali.

Pilch, oficer oddziału stołpeckiego, wspominał, że partyzanci sowieccy zawsze unikali starć z Niemcami, gdyż „oddziały trzymano tu prawie wyłącznie ze względów politycznych, aby łatwiej było przygotować tereny te do wcielenia w grancie sowieckiej Rosji". Do czerwonych partyzantów należało oczyszczenie terenu z oddziałów AK.

W wyniku niemieckiej akcji przeciwpartyzanckiej i zdrady Sowietów polski oddział został rozbity. Odbudował go Pilch. Zgrupowanie Stołpeckie „Góry" liczyło ok. 400 partyzantów. Czarne chmury zaczęły się nad nim zbierać, gdy Sowieci zażądali wydania chor. Zdzisława Nurkiewicza „Noca", oskarżając go o zabicie 10 czerwonych partyzantów. „Noc" zaatakował ich podczas rabunku wsi. Nie wydano go. 1 grudnia 1943 r. 1,5 tys. czerwonych partyzantów otoczyło i rozbroiło Zgrupowanie Stołpeckie. Nieliczni, wraz z „Górą", wyrwali się z okrążenia. Uniknął go patrol Nurkiewicza „Nocy".

Adolf Pilch odbudował oddział i powiększył go do 800 ludzi. Partyzantka sowiecka była znacznie silniejsza i dążyła wciąż do wyeliminowania polskiego oddziału. „Góra" skorzystał z pomocy białoruskich policjantów w Rakowie, wśród których – jak pisał – całe dowództwo i więcej niż połowa szeregowych należeli do AK. Większość była Polakami. Gdy im opowiedział o rozbrojeniu, „byli wstrząśnięci i nie mogli uwierzyć, że bolszewicy pozwolili sobie na tak nikczemny krok. Ofiarowali nam dwie skrzynki amunicji, które przyjęliśmy z wdzięcznością, bo pozwoliła ona nam nadal istnieć" (A. Pilch, „Partyzanci trzech puszcz").

Ryngraf z wizerunkiem Matki Boskiej Ostrobramskiej FOT. WIKIPEDIA

To jednak nie wystarczało na dłuższy czas. Pilch przyjął niemiecką propozycję zawieszenia broni i dostawy amunicji. Jak wspomniał, zrobił to dlatego, że w każdej chwili groził im sowiecki atak, mogący się skończyć całkowitą zagładą oddziału. Przewidywał, że porozumienie będzie tylko chwilowe. „Z położenia naszego nie zdawano sobie dobrze sprawy w Komendzie Głównej AK, a meldunki docierające tam poprzez Komendę Okręgu były bagatelizowane" – gorzko konstatował Pilch.

„Góra" uczestniczył w czerwcu 1944 r. w odprawie oddziałów Zgrupowania Zaniemeńskiego, na którego czele stał mjr Maciej Kalenkiewicz „Kotwicz". Kalenkiewicz zwrócił się do „Góry" z wymówką, że jego oddział zawarł zawieszenie broni z Niemcami. Pilch wytłumaczył mu sytuację i odniósł wrażenie, że Kalenkiewicz „w pełni zrozumiał nasze położenie".

Major Maciej Kalenkiewicz, wraz z dwoma innymi cichociemnymi, Franciszkiem Cieplikiem „Hartakiem" i Janem Skrochowskim „Ostrogą", poległ w walce z Sowietami w Surkontach, w sierpniu 1944 r., Kalenkiewicz rozważał wyrwanie się z sowieckiej matni, lecz – jak wspominała jego żona Irena – „Niektórzy świadkowie mówią, że pragnął pozostać na tym terytorium, świadcząc swoją obecnością o polskości tych ziem". Pochodził z Kresów, z powiatu wołkowyskiego.

Zdobyć Wilno

Maciej Kalenkiewicz był pomysłodawcą akcji Armii Krajowej zmierzającej do opanowania Wilna przed nadejściem wojsk sowieckich. Miałoby to ogromne znaczenie propagandowe, pokazywałoby światu polską zbrojną obecność na Kresach i nasze prawa do tych ziem. Nigdzie indziej na ziemiach wschodnich

eprasa.pl 7519f1e932

nie było lepszych warunków do przeprowadzenia takiej akcji. Wiosną 1944 r. na Nowogródczyźnie i Wileńszczyźnie były całe powiaty pod kontrolą oddziałów AK, liczących kilkanaście tysięcy żołnierzy. Niemcy panowali tylko w miastach i miasteczkach.

Jednak decyzja o operacji nazwanej „Ostra Brama" została zatwierdzona bardzo późno, dopiero w połowie czerwca 1944 r. Cichociemny Teodor Cetys „Sław", szef sztabu połączonych okręgów wileńskiego i nowogródzkiego, miał ogromne wątpliwości, czy Wilno, zamienianie przez Niemców w umocniony rejon obrony, z silnym garnizonem, uda się zdobyć. Mimo to karnie wykonał rozkaz przygotowania operacji „Ostra Brama". Miał bardzo mało czasu na opracowanie planu zdobycia miasta. W walkach na początku lipca 1944 r. wzięła udział tylko część oddziałów. Niektóre nie zdążyły na przełożony w ostatniej chwili o jeden dzień termin rozpoczęcia akcji „Ostra Brama", inne, tak jak 5. Brygada Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki", nie chciały wziąć w niej udziału. Walczyły z czerwoną partyzantką i mogły się spodziewać najgorszego w przypadku nieuchronnego spotkania pod Wilnem z Armią Czerwoną.

Kalenkiewicz nie wziął udziału w walkach o Wilno. Został poważnie ranny, musiano mu amputować rękę. Pisał gorzko: „Mogło nas być podczas uderzenia na Wilno 12 tys., a było 2 tys. [w rzeczywistości ponad 4 tys. – przyp. T.S.]. Mogliśmy walczyć nocą, kiedy nieprzyjaciel nie był w stanie wykorzystać swojej przewagi technicznej, a my tonęliśmy we krwi w dzień, bezbronni, pod ogniem nieprzyjacielskiej artylerii i lotnictwa" [A.L. Sowa, „Kto wydał wyrok na miasto"].

Pospiesznie zmontowana operacja „Ostra Brama" była źle przygotowana. Zabrakło nie tylko wielu oddziałów, lecz także rozpoznania stanowiska wroga, źle działała łączność. Poza tym Wilno było nie do zdobycia przez Polaków. Armia Czerwona potrzebowała sześciu dni na zdobycie miasta. W walkach tych brali udział żołnierze AK. Zawiesili nawet 13 lipca 1944 r. polską flagę na Górze Zamkowej, szybko zdartą przez Sowietów. W walkach w Wilnie poległo ok. 100 żołnierzy AK. Niestety, oddali życie nie za polskie miasto, lecz za sowieckie.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Dziedzictwo unii

Tomasz Stańczyk

W Lublinie, bo gdzieżby indziej, odbyły się uroczystości z okazji 450-lecia unii Polski i Wielkiego Księstwa Litewskiego. Był to jeden z przełomowych momentów w naszych – polskich, litewskich, ale także białoruskich i ukraińskich – dziejach. Dla szlachty Wielkiego Księstwa Litewskiego unia oznaczała zmianę statusu – z poddanych na obywateli Rzeczypospolitej, cieszących się wolnościami uzyskanymi przez szlachtę polską i możliwością wybierania swojego króla, nieznaną gdzie indziej.

Ukraińcy, Białorusini i Litwini mogą zarzucać, że unia doprowadziła do polonizacji ich ówczesnych elit. To prawda, jednak nie była to polonizacja narzucona, lecz dobrowolna. Owszem, język starobiałoruski przestał być ponad sto lat po unii lubelskiej językiem urzędowym, lecz i to nie było narzucone Wielkiemu Księstwu Litewskiemu. Dzięki polonizacji elit Wielkiego Księstwa Litewskiego jego ziemie stały się częścią cywilizacji europejskiej.

Litwini utrzymywali i utrzymują nadal, że Polacy na Litwie to spolszczeni Litwini. I mają w dużej mierze rację. Lecz czy był to – i jest niestety nadal – powód, by wciąż wywierać presję na litewskich Polaków, żeby wrócili do swych etnicznych korzeni, skoro tego nie chcą? Zakazywać w tym celu pisowni polskich nazwisk w dowodach tożsamości, nie pozwalać na dwujęzyczne tablice w miejscowościach, w których Polacy stanowią znaczną część mieszkańców, a nawet większość?

Polskich.

Wydawało się, że po proklamowaniu niepodległego państwa białoruskiego nawiąże ono do tradycji Wielkiego Księstwa Litewskiego. Herbem Białorusi stała się Pogoń (Pahonia), herb Wielkiego Księstwa Litewskiego, do którego Białorusini mają takie same prawo jak Litwini, a świętem wojska białoruskiego stała się rocznica bitwy pod Orszą w 1514 r. Jednak w połowie lat 90. dokonał się, za sprawą prezydenta Łukaszenki, zwrot. Pogoń zastąpiono herbem przypominającym sowiecki, z którego usunięto jednak sierp i młot, a żołnierze świętowali rocznicę zdobycia Mińska przez Armię Czerwoną w 1944 r.

Dzisiaj jednak jednym z elementów białoruskiej państwowej polityki historycznej, obok kultu sowieckiej wojny ojczyźnianej, jest nawiązywanie do tradycji Wielkiego Księstwa Litewskiego. Białorusini dokonali restauracji radziwiłłowskiego zamku w Nieświeżu i zamku w Mirze. Do swojego panteonu przyjęli: Kościuszkę, Mickiewicza, Moniuszkę, Tyzenhauza, Ordę. Prezydent Aleksandr Łukaszenko jest wytrawnym politykiem. Czując cały czas presję ze strony Rosji, która najchętniej wchłonęłaby Białoruś lub zrobiłaby z niej swojego wasala, wzmacnia białoruską tożsamość, wykorzystując dziedzictwo Wielkiego Księstwa Litewskiego. Nie tak dawno z jednego z białoruskich miast zniknął pomnik Lenina. Może więc za jakiś czas Białoruś powróci do swojego historycznego herbu – Pogoni? ©℗

eprasa.pl 7519f1e932

1547–1603 / Mistrzowie staropolskiej sztuki wojennej – Krzysztof Radziwiłł zwany „Piorunem”

Bitwa pod Pskowem MAL. JULIUSZ KOSSAK Z prawej u góry: herb Trąby

Grom w Moskwę i Szwedów

Maciej Rosalak

Hetman wielki litewski, wojewoda wileński oraz dziedzic ogromnych posiadłości w jednej osobie – nikt na Litwie nie mógł się z nim wtedy równać

Radziwiłłowie... Wywodzili się z czasów Giedymina, a za czasów Jagiełły przyjęci zostali (1413) przez arcybiskupa gnieźnieńskiego Mikołaja Trąbę do polskiego herbu Trąby. Już same ich przydomki świadczą o tym, z jak barwnymi, pełnokrwistymi i ciekawymi postaciami mieliśmy do czynienia. „Amor”, „Herkules” i „Victor”, „Rudy”, „Czarny”, „Piorun”, „Sierotka”, „Justynian Litewski”, „Pobożny”, „Stróż Praw”, „Rybeńko” czy „Panie Kochanku”... Znajdujemy wśród Radziwiłłów – poza czarnymi charakterami opisanymi przez Sienkiewicza w „Potopie” – wodzów groźnych dla wrogów Wielkiego Księstwa Litewskiego i Rzeczypospolitej, uczonych, pielgrzymów, mecenasów sztuki, zawołanych gospodarzy i kodyfikatorów prawa. Pozostały po nich zadbane ziemie i lasy, zamki, pałace i świątynie, księgozbiory i kolekcje sztuki. Rozdziały historii i legendy. W tym rodzie bodaj najbardziej odbija się wielkość naszych możnowładców, ale też najwyraźniej ich pycha.

Bohater dzisiejszego odcinka „Mistrzów staropolskiej sztuki wojennej”, Krzysztof Radziwiłł (1547–1603), jako

eprasa.pl 7519f1e932

trzeci z kolei – w prostej linii po dziadku Jerzym i ojcu Mikołaju – dzierżył buławę hetmana wielkiego litewskiego. Nie byle jakich miał antenatów. Dziadkowi Jerzemu współcześni nadali miano „Herkulesa Litewskiego" i „Zwycięzcy" („Victora"), tak ujął ich przewagami w wojnie z Moskwą w latach 1508 i 1514 – gdy walnie przyczynił się do sukcesu pod Orszą – następnie w wojnie z zakonem krzyżackim (1519–1521) czy w pogromie Tatarów pod Olszanicą (1527). Ojciec – Mikołaj Rudy (nie mylić z jego bratem stryjecznym Mikołajem Czarnym), włączony przez cesarza Karola V w poczet książąt Rzeszy – zasłynął szczególnie w styczniu 1564 r., gdy na czele czterotysięcznego wojska rozbił nad rzeką Ułą 20-tysięczną armię moskiewską. U jego boku stał wówczas kilkunastoletni syn Krzysztof…

Młody orzeł

Do bitwy nad Ułą nawiązał Jan Kochanowski w pierwszych słowach dytyrambu „Jezda do Moskwy", porównując Krzysztofa Radziwiłła do młodego orła, śledzącego poczynania ojca, gdy „wysoko buja pod obłoki":

Tak ty, przypatrując się ojcowskiej dzielności,
O zacny Radziwile, z napirwszej młodości,
Myśliłeś zawżdy sławy domowej poprawić,
I o miłą ojczyznę śmiele się zastawić.
Aniś ty wieku czekał słusznego do zbroje,
Pierwej dzielność dordzała, niźli lata twoje.
Uła tego świadoma, gdzie moskiewskie roty,
Za sprawą ojca twego, męża wielkiej cnoty
I dzielności, poległy. Tameś ty swej siły
Probę napierwej podał; a już znaczne były
Twego męstwa początki…

Od razu powiedzmy, że i potomkowie Krzysztofa Radziwiłła „Pioruna" dzierżyli buławę hetmana wielkiego litewskiego. Z małżeństwa z Katarzyną Tęczyńską miał on bowiem syna Krzysztofa II – hetmana polnego (1615) oraz wielkiego (1635). Syn Krzysztofa II – to znany właśnie z „Potopu" Janusz (zwany młodszym), który hetmanem polnym został w roku 1646, a wielkim w 1654. Jak wiemy, ów sławny zdobywca Kijowa (1651) buławą wielką cieszył się zaledwie do niesławnej śmierci w Tykocinie z końcem 1655 r… Z pierwszą żoną – Katarzyną Ostrogską – miał natomiast „Piorun" syna Janusza, który objął m.in. stanowisko kasztelana wileńskiego, a tego z kolei synem – ze stadła z Elżbietą Hohenzollern – był drugi czarny charakter z „Potopu", Bogusław, który wśród licznych tytułów miał też godność chorążego wielkiego litewskiego oraz… szwedzkiego feldmarszałka. Tak więc wnukowie „Piorunowi" nie bardzo się udali, choć akurat talentów wojennych trudno im odmówić.

Kiedy przegląda się życiorysy nie tylko Radziwiłłów, lecz także innych magnatów Rzeczypospolitej, uderza mnogość różnych tytułów i stanowisk, z najpierwszymi w Wielkim Księstwie włącznie. Na pewno był to efekt poczynań każdego z królów, który starał się takimi nadaniami jednać wielkie rody. Dzięki nim stawały się one zresztą coraz potężniejsze, a im bardziej rosły w siłę, tym bardziej mogły liczyć na królewską szczodrobliwość itd… Jednakże stanowiska wojewodów, kasztelanów czy nawet starostów – nie mówiąc już o hetmanach – wiązały się z obowiązkami utrzymania spokoju na znacznych terenach państwa i ich obrony. Hetmani polni mieli baczenie na granice i dowodzenie obroną potoczną, a wielcy – zbierali wojska na wojnę i rozgrywali walne bitwy. Przy permanentnie pustym skarbie państwowym wielce liczyły się fortuny wielkich panów, nauki, które pobrali, ich prywatne wojska oraz poważanie, którym cieszyli się w narodzie szlacheckim. Toteż w cyklu „Mistrzowie staropolskiej sztuki wojennej" wśród naszych wielkich wodzów zwykłego szlachcica – może poza Stefanem Czarnieckim – ze świecą szukać.

Nasz Krzysztof z birżańskiej linii Radziwiłłów (wyznania ewangelicko-reformowanego) obejmował starostwa – kokenhauskie, soleckie, żyżmorskie, urzędowskie, ańskie, borysowskie, nowomyskie. Już we wczesnej młodości otrzymał tytuły dworskie: krajczego wielkiego litewskiego oraz podczaszego wielkiego litewskiego. W końcu lat 70. XVI w. został kasztelanem trockim i podkanclerzym litewskim. W 1572 r. otrzymał buławę polną, a w 1589 r. – buławę wielką. Od 1584 r. był zaś wojewodą wileńskim.

Hetman wielki litewski, wojewoda wileński oraz dziedzic ogromnych posiadłości w jednym – nikt w Wielkim Księstwie Litewskim nie mógł się z nim wtedy równać. Zwłaszcza jeśli dodamy do tego męstwo osobiste i zdolności godne wodza wielkiej miary. Zasłynął nimi szczególnie właśnie podczas kawaleryjskiej wyprawy przeciw Moskwie w 1581 r.

Postrach cara

Za czasów Krzysztofa wojny z Moskwą trwały już na Litwie od wieku, czyli od „zbierania ziem ruskich" przez Iwana III Srogiego poczynając. Szczególny rozmach miały wojny inflanckie Stefana Batorego z Iwanem IV Groźnym w latach 1577–1582. Krzysztof, jako hetman polny litewski, ruszył na nie na czele wojsk Wielkiego Księstwa u boku swego ojca Mikołaja Rudego, hetmana wielkiego. Wyróżnił się podczas bitwy pod Wielkimi Łukami w 1580 r. Natomiast nieśmiertelną sławę przyniosła mu impreza, którą przedsiębrał w roku następnym. Otóż gdy Stefan Batory przybył latem z armią pod Psków, aby ostatecznie odciąć siły moskiewskie w Inflantach i zmusić Iwana Groźnego do rezygnacji z ich opanowania, potrzebował ubezpieczenia od wschodu i dezorganizacji sił, które mogłyby stamtąd ruszyć z odsieczą. Zadanie to powierzył hetmanowi polnemu litewskiemu. Krzysztof Radziwiłł (jeszcze nie „Piorun"), po połączeniu swych chorągwi z oddziałami wojewody smoleńskiego Filona Kmity i Michała Haraburdy (wcześniej

Portret Krzysztofa Radziwiłła z buławą hetmańską

FOT. MUZEUM NARODOWE BIAŁORUSI

eprasa.pl 7519f1e932

i później wysyłanego do Moskwy z misjami dyplomatycznymi), stanął wtedy na czele aż 6 tys. jeźdźców.

Na nieprzyjacielskie tereny ów wielki zagon ruszył w pierwszych dniach sierpnia 1581 r. i w ciągu dwóch i pół miesiąca (dokładnie – 78 dni) pokonał 1,4 tys. km. Wojsko litewskie żywiło się tym, co zdobyło w napotkanych po drodze miastach i wsiach, a pozostawiało po sobie na ogół spaloną ziemię. Bez trudu znosiło mniejsze garnizony, a większe siły gromiło w takich bitwach jak pod Szełowią i Toropcem. „I ogniem kraj moskiewski niszczał i szablami…" – pisał Kochanowski. Szlak wiódł od Witebska do Rżewa i Staricy, leżącej kilkadziesiąt kilometrów od Tweru w dorzeczu górnej Wołgi. Stamtąd wypłoszył samego wielkiego księcia moskiewskiego (cara), który nie spodziewał się nieprzyjaciół w głębi swego państwa. Tak to ujął mistrz Jan:

Byłeś, o Radziwile, za głębokim Tudem.
Tam Monastyr (Preczystoj Rusin zowie) leży,
A Wołha, rzek północnych można księżna, bieży.
Tę przepłynąwszy, ludzie twoi szli w zagony
Pod Starycę, gdzie sam Kniaź natenczas strwożony
Z wojskiem swojem ulegał, i z miłymi syny;
A widząc gęste ognie i bliskie perzyny,
Tejże nocy żonę swą i kniazia Fiedora
Z żoną jego, i z bracią, z Staryckiego dwora
Do Moskwy wysłał, i sam barzo sobą trwożył,
I już był tylko w nogach nadzieję położył,
Zwłaszcza gdy Danił Murza od niego z Staryce
Do ciebie był ujechał, jego stróż łożnice.
Wtenczas Jelców budowny do czysta spalono,
Dworów i wsi kilka set w popiół obrócono…

Skąd Litwini wracali? No więc spod Staricy przez Toropiec i Starą Russę nad jeziorem Ilmeń w ziemi Nowogrodu Wielkiego i dalej na zachód – pod Psków. Wojska litewskie połączyły się tu z armią królewską 22 października, wkraczając do obozu w pochodzie triumfalnym i wywołując ogromny entuzjazm. Wtedy też wodza wyprawy nazwano: Piorun.

Opisał to wszystko Jan Kochanowski w cytowanym wyżej utworze. Zwycięski zagon Radziwiłła poruszył umysły narodu szlacheckiego, a i próżność magnata, który pragnął swój triumf uwiecznić i skłonił jeszcze innych twórców do jego opisania.

Poza „Jezdą do Moskwy" Jana Kochanowskiego powstały jeszcze: „Dziesięćroczna powieść wojennych spraw książęcia Radziwiłła" Andrzeja Rymszy, poety ruskiego i polskiego, administratora dóbr swego bohatera i uczestnika wypraw, oraz „Hodoeporicon Moschicum" („Wyprawa moskiewska"), obszerny poemat po łacinie sekretarza królewskiego i poety Franciszka Gradowskiego.

Piechota wybraniecka. Strzelec: „czapka magierka, szabla węgierka" oraz muszkiet i siekiera. Dziesiętnik z dardą (rodzaj piki) RYS. MAREK SZYSZKO

Moskiewski ciężkozbrojny bojar w hełmie typu jerychonka, w zbroi bechter RYS. MAREK SZYSZKO

Preludium Kircholmu

Podczas „wielkiej jazdy" w głąb państwa moskiewskiego Krzysztof Radziwiłł liczył 34 lata, był więc dojrzałym, ale pełnym jeszcze młodzieńczych sił mężczyzną. Pod Kokenhausen, miał już lat 54 (podobnie zresztą jak Jan Sobieski pod Wiedniem), a z wiekiem takim w owych czasach mężczyzna uchodził za starszego człowieka. I tu dowiódł jednak zdolności do podejmowania błyskawicznych i trafnych decyzji.

Wojna w Inflantach – najechanych przez Szwedów, którzy nie chcieli się pogodzić z inkorporacją ich przez Zygmunta III Wazę – trwała już od roku. Dopiero wtedy, po uchwaleniu wiosną 1601 r. przez Sejm podatków na wojsko, hetman wielki litewski Radziwiłł Piorun mógł ruszyć przeciw nieprzyjacielskiej inwazji. Dotarł pod miasto Kokenhausen, zajęte wprawdzie przez Szwedów, ale z polską załogą nadal broniącą się w zamku. W pierwszej dekadzie czerwca do Radziwiłła dołączył z posiłkami hetman polny Jan Karol Chodkiewicz, ale na pomoc oblegającym i zarazem obleganym rodakom rychło pospieszył nieślubny syn szwedzkiego monarchy, głównodowodzący w Inflantach – Carl Gyllenhielm. 23 czerwca 1601 r. wojska stanęły naprzeciw siebie.

Siły litewskie składały się z 2,9 tys. jeźdźców i 300 piechurów, a szwedzkie – odpowiednio – z 4 tys. i 900 zbrojnych. Obie strony przyprowadziły po 17 dział, z tym że nasz wódz osiem z nich oraz 500 żołnierzy piechoty wysłał w kierunku miasta pod dowództwem Ottona Denhoffa, aby przeciwstawić się ewentualnej interwencji 1,8 tys. przebywających tam wrogów. Pole bitwy nie pozwalało na prowadzone z rozmachem manewry – miało 600 m szerokości oraz lasy, bagna i rzekę dookoła. Uniemożliwiło to Gyllenhielmowi dokonanie korekty ustawienia własnych wojsk, gdy na samym początku bitwy dostrzegł śmiertelne zagrożenie fińskiej rajtarii na swym lewym skrzydle przez husarię marszałka wielkiego litewskiego, dzielnego żołnierza Krzysztofa Dorohostajskiego, dowodzącego na naszym skrzydle prawym…

Zapewne aby uprzedzić husarską szarżę, rajtarzy zaatakowali najpierw, ale zostali łatwo odparci, a gdy ruszyli husarze, lewe skrzydło wroga pękło. Atak szwedzkiego prawego skrzydła (inflanckiego pospolitego ruszenia) na piechotę i jazdę litewskiego lewego skrzydła (dowódca – Piotr Stabrowski) posuwał się wprawdzie naprzód, ale odwodowy

eprasa.pl 7519f1e932

Husarz. Hełm węgierski, półpancerz folgowy, kopia z proporcem, szabla węgierska i pałasz

RYS. MAREK SZYSZKO

hufiec jazdy Krzysztofa Radziwiłła błyskawicznie rozbił i zepchnął w lasy Inflantczyków. Pozostało jeszcze szwedzkie centrum złożone z piechoty i artylerii, którą przed jazdą Chodkiewicza chroniły dodatkowo wały i kozły hiszpańskie. Oczywiście po rozbiciu skrzydeł szwedzkich osłona ta okazała się daremna i los piechurów został przesądzony. Żołnierze hetmana polnego zaczęli jednak mordować poddających się przeciwników, co było haniebne i wywołało interwencję hetmana wielkiego.

Rozgorzał spór między oboma obdarzonymi wielką pychą magnatami i wodzami, który – wraz z nieuchwalaniem nowych podatków przez Sejm – przyczynił się do niepowodzeń Rzeczypospolitej w wojnie o Inflanty. Radziwiłł przekazał dowództwo hetmanowi wielkiemu koronnemu Janowi Zamoyskiemu (patrz: nr 77/2019 „HDR"), ale mimo sukcesów w polu i on – bez pieniędzy na wojnę – nie mógł jej wygrać. Zmęczony i schorowany Krzysztof Radziwiłł rychło zresztą (1603) umarł. Spoczął w Kiejdanach.

Jednak zwycięstwo pod Kokenhausen – ze stratami szwedzkimi wynoszącymi 2 tys. zabitych i litewskimi… o 10 razy mniejszymi – dowiodło, jak miażdżącą siłą dysponuje husaria Rzeczypospolitej. Sukces ten był jakby zapowiedzią jednej z najwspanialszych wiktorii naszego oręża – Jana Karola Chodkiewicza pod Kircholmem w 1605 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Premier Morawiecki pod Salaminą

Maciej Rosalak

Głupawy rechot, który rozległ się po porównaniu przez premiera Mateusza Morawieckiego czekających nas wyborów do bitwy pod Salaminą, przypomina pewien dowcip. Oto nadzorca galerników przykutych do wioseł przychodzi i powiada: – Mam dla was dwie wiadomości; złą i dobrą. Najpierw dobra: dostaniecie po miarce wina (aplauz u wioseł). A teraz zła: po południu pan kapitan będzie jeździł na nartach wodnych (jęk rozpaczy...). Nastrój wioślarzy perskich w przededniu bitwy pod Salaminą przypominał prawdopodobnie reakcję galerników. Analogii do naszej doby w Polsce trzeba zaś szukać w ośmioletnich rządach koalicji PO-PSL. Oto jej przywódca na początku swej kadencji przekazuje rodakom dobrą wiadomość: – Obiecuję wam ciepłą wodę w kranie i że w ogóle będzie fajnie! (aplauz). Potem ludziska słyszą: – „Piniendzy" na programy społeczne nie ma i nie będzie! – Trzeba podnieść VAT! – Wasze oszczędności zabiera państwo! – Pracować należy aż do śmierci! (jęk rozpaczy).

Zwycięstwo starożytnych Greków nad Persami pod Salaminą w 480 r. p.n.e. stanowi przykład wyższości floty, którą wystawiły obywatelskie polis greckie, nad armadą azjatyckiego despoty. Grecy okazali się zręczniejszymi żeglarzami oraz mocniejszymi wioślarzami od afrykańskich i azjatyckich poddanych perskiego króla. Greccy hoplici, rzucający się do walki wręcz podczas abordażu, nie mieli równych wśród wrogów. Wolnych obywateli wolnych miast-państw do wioseł i włóczni nie poganiał bat, jak niewolników po przeciwnej stronie. A jednak demokracja nie zwycięża tyranii automatycznie. Potrzebny jest jeszcze Temistokles... To on, jako jeden z nielicznych, pojmuje, że Kserksesowi należy przeciwstawić silną flotę. Chce na nią wydać pieniądze z odkrytych właśnie pokładów srebra, które rywal polityczny zamierza rozgrabić. Przekonywanie o groźbie perskiej nic nie da, toteż Temistokles powiada, że floty użyje się do zdobycia jeszcze większych sum na słabszej Eginie, która podpadła Ateńczykom. Buduje ponad 200 okrętów, na Eginę nie napada, ale czyni z niej sojusznika, podczas bitwy prowokuje liczniejszego wroga do ataku w cieśninie oraz pod wiatr. Sprzyja mu szczęście: sztorm niszczy eskadrę wysłaną na tyły Hellenów. Ratuje ojczyznę.

Niedługo po zwycięstwie nad Persami Ateńczycy wygnają go z ojczyzny... A na Eginę napadną w tym samym roku (459 r. p.n.e.), gdy umrze Temistokles. Opowieść o Salaminie nie dotyczy tylko wyższości wojskowej Greków nad wschodnimi najeźdźcami ani nawet demokracji nad tyranią – choć z pozoru mogłoby się tak wydawać. Zawiera się w niej także dramatyczne pytanie o łatwość, z jaką wolni obywatele gotowi są zgubić samych siebie, i o konieczność wykazania niezwykłej zaradności przez przywódców, którzy chcą im skutecznie służyć. ©℗

eprasa.pl 7519f1e932

Ciężki karabin Browning M 1917

Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Karabin Browninga był genialnie prosty i niezawodny. Stanowił oryginalne rozwinięcie projektu Maxima z końca XIX w.

Wynaleziony przez Amerykanina Hirama Stevensa Maxima na początku lat 80. XIX w. karabin maszynowy nie od razu zyskał serca wojskowych i upłynęło dużo czasu, zanim przyjęto go do uzbrojenia jakiejkolwiek armii. Jedną z przyczyn daleko posuniętego sceptycyzmu wobec broni, w której cały cykl prowadzenia ognia został całkowicie zautomatyzowany, były skomplikowana budowa i bardzo duża liczba części wymagających czasochłonnej i precyzyjnej obróbki w procesie produkcyjnym. I chociaż Maxim w ciągu kolejnych lat znacznie udoskonalił swoje pionierskie dzieło, dzięki czemu arcytrudny sprawdzian frontowy na polach wielkiej wojny jego chłodzony wodą cekaem zdał celująco, wielu rusznikarzy, podążając przetartą przez Amerykanina ścieżką, postanowiło znacznie uprościć konstrukcję karabinu maszynowego.

Sukces odnieśli nieliczni; był wśród nich rodak Maxima – rusznikarski geniusz John Moses Browning. Jego karabin opierał się oczywiście na rozwiązaniach zastosowanych przez wielkiego poprzednika i zachował tę samą zasadę działania, a zatem krótki odrzut lufy – pchnięta do tyłu siłą odrzutu lufa, sprzęgnięta z zamkiem za pomocą suwadła, wymusza ruch całego mechanizmu osadzonego w komorze zamkowej; Browning pozostawił także wodne chłodzenie i zasilanie z parcianej taśmy nabojowej. Na tym podobieństwa się jednak kończą, bo „życie wewnętrzne" Browninga M 1917 było zupełnie inne. Bez wątpienia impulsem do stworzenia konstrukcji, która ostatecznie wkroczyła na karty historii jako Model of 1917, była komercyjna porażka pierwszego cekaemu Johna Mosesa, czyli Colta M 1895, słynnej „kopaczki do kartofli", działającego na zasadzie odprowadzania gazów prochowych przez boczny otwór w lufie. Tym razem nie było sensu tworzyć wszystkiego od nowa, wystarczyło tylko poczekać, aż wygasną Maximowskie patenty na broń maszynową uruchamianą krótkim odrzutem lufy. Stało się to w 1901 r. i Browning niemal natychmiast z tego skorzystał, zgłaszając do urzędu patentowego karabin własnego pomysłu.

Przede wszystkim skomplikowany zamek – składający się z kilkudziesięciu części – zastąpiony został podłużnym niskim trzonem posiadającym kanał na sprężynę powrotną z żerdzią i iglicę. Sposób ryglowania rozwiązano za pomocą poruszającego się pionowo rygla, co umożliwiło prostolinijny ruch zamka wewnątrz komory zamkowej; Maximowski kolankowo-dźwigniowy układ ryglujący wymagał dużo wolnej przestrzeni w obrębie komory. W karabinie pomysłu Browninga jest ona optymalnie wykorzystana, a rozmieszczenie podzespołów pozostaje zwarte. Swoje dzieło Browning doskonalił przez kilkanaście lat. Ostatecznie karabin przyjęto do uzbrojenia w USA w 1917 r. Rok później zadebiutował w Europie na froncie zachodnim. Nieznacznie zmodernizowana wersja M 1917A1 służyła Amerykanom podczas kolejnej wojny światowej, a potem w latach 50. w Korei. Karabin zasilano z 250-nabojowych parcianych taśm. Ciężar karabinu z pustą chłodnicą sięgał 14,5 kg, z pełną – 18,5 kg, liczba strzałów bez zmiany wody to 1000, teoretyczna szybkostrzelność – 700 strz./min, ciężar trójnożnej podstawy – 22,7 kg, prędkość początkowa pocisku – 824 m/s.

W latach 30. karabin systemu Browninga przyjęto do uzbrojenia Wojska Polskiego jako wzór 30. Tą zmodyfikowaną wersję pierwotnego M 1917 produkowano w warszawskiej Fabryce Karabinów. ©℗

eprasa 519f1e932

Solothurn S18-1000

Szwajcarski samopowtarzalny karabin przeciwpancerny opracowano w pierwszej połowie lat 30. XX w. w firmie zbrojeniowej Waffenfabrik Solothurn, będącej filią niemieckiego koncernu Rheinmetall. S-1000 stanowił wersję rozwojową karabinu S18-100, którą dostosowano do silniejszego naboju 20 x 138 mmB, tzw. Long Solothurn (koniec lat 30.). Zastosowano ponadto m.in. dłuższą lufę oraz nowy tłumik odrzutu. Do karabinu przewidziana była lekka dwukołowa laweta SO9. Broń przyjęto do uzbrojenia armii szwajcarskiej, holenderskiej, włoskiej i szwedzkiej. W czasie II wojny światowej S18-1000 używany był także w armii niemieckiej. Po 1942 r., z uwagi na coraz lepsze opancerzenie wozów bojowych, S18-1000 utracił walory bojowe.

Karabin działał na zasadzie krótkiego odrzutu lufy i zasilany był z magazynka pudełkowego 10-nabojowego dołączanego prostopadle z lewej strony. Prędkość początkowa pocisku sięgała 910 m/s; z odległości 300 m pocisk przebijał 35-milimetrowy pancerz (przy trafieniu pod kątem 90 stopni). Masa karabinu bez amunicji wynosiła 53 kg. Przyrządy celownicze złożone były z celownika mechanicznego (maksymalna nastawa 1500 m) oraz optycznego o 2,5-krotnym powiększeniu. Do prowadzenia ognia z pozycji leżącej, po zdjęciu karabinu z lawety, służyły: składany dwójnóg i podpórka. Karabiny tego wzoru były dostarczane Armii Krajowej w alianckich zrzutach z terenu Włoch. ©℗

Karabinek sportowy wz. 31

Produkcję karabinka uruchomiono w 1932 r. w Fabryce Broni w Radomiu. Była to broń treningowa, używana do wstępnego szkolenia i w celu przygotowania do nauki strzelania ze standardowego karabinka kal. 7,92 mm. Karabinek był jednostrzałowy, dostosowany do naboju bocznego zapłonu kalibru 5,6 mm (.22 Short) i wyposażony w zamek tłokowy, ślizgowo-obrotowy, czterochwytowy, z iglicą i bijnikiem, ryglowany podstawą rączki zamkowej. Broń zabezpieczano, obracając skrzydełko bijnika. Dolna płaszczyzna komory zamkowej była ruchoma i odgrywała rolę wyciągu. Osada i okucia takie jak w karabinku wz. 29, ale bez babki do rozbierania zamka oraz sworznia wzmacniającego łoże. Łoże długie, kolba z chwytem półpistoletowym, nakładka sięgająca od komory nabojowej do przedniego bączka. Łoże zakończone osadą do bagnetu. Przyrządy celownicze złożone z celownika ramieniowo-krzywiznowego, wyskalowanego na ramieniu od 20 do 100 m i muszki osadzonej w osłonie, umieszczonej u wylotu lufy. Długość karabinka – 110 cm, masa – 4,4 kg. ©℗

Montefortino

Hełmy te były powszechnie wykorzystywane przez armię rzymską od III w. p.n.e. aż do pierwszego stulecia po Chrystusie. Ich nazwa związana jest z cmentarzyskiem, na którym w jednym z celtyckich grobów odkryto pierwszy ze znanych egzemplarzy. Wykuwano je z jednego kęsa blachy brązowej, były dość głębokie, miały półkolistą formę i charakterystyczny guz na szczycie dzwonu. Z tyłu znajdował się mniej lub bardziej wydatny nakarczek (istniało kilka odmian hełmów Montefortino), natomiast po bokach osłony policzków mocowane na zawiasach. Hełmy te produkowano masowo, miały prostą formę i pozbawione były efektownych dodatków. Wywodziły się z tradycji etrusko-italskiej lub – jak sądzi większość badaczy – wprost z celtyckiej (galijskiej), tak jak późniejsze, będące efektem ewolucji i nazywane typem Coolus. Te wyróżniały się daszkiem z przodu oraz dwiema tulejkami po bokach do zamocowania pióropusza (na zdjęciu: egzemplarz ze zbiorów British Museum). W takich hełmach walczyli legioniści Cezara. ©℗

eprasa.pl 7519f1e932

1898 r. / Od odkrycia radu do bomb i elektrowni atomowych

Elektrownia atomowa w Cattenom we Francji
FOT. WIKIPEDIA

Radioaktywność

Tymoteusz Pawłowski

Radiofobia może być wykorzystywana na przykład do spowolnienia budowy elektrowni atomowych i uzależnienia państw od innych źródeł energii

Radioaktywność odkrył w 1896 r. Henri Becquerel, ale że miał na głowie inne sprawy, zlecił zbadanie tego zjawiska swojej doktorantce. Była nią Maria Curie, z domu Skłodowska. W 1898 r. wyodrębniła nowy pierwiastek, który nazwała polonem, a później – mający o wiele większe znaczenie – rad. Odkryła również, że radioaktywność polega na emisji trzech różnych rodzajów promieniowania oraz przemianie jednego pierwiastka w drugi. W 1903 r. – wraz ze swoim mężem Pierre'em oraz prof. Becquerelem – otrzymała Nagrodę Nobla.

Otóż atomy składają się z jądra mającego ładunek dodatni, wokół którego krążą elektrony mające ładunek ujemny. W jądrze są również neutrony niemające żadnego ładunku. Atomy tego samego pierwiastka mogą różnić się liczbą neutronów. Czasem taki neutron „wybierze wolność" i odleci w siną dal – to właśnie jest promieniowanie. Nawet zwykły wodór ma trzy naturalne formy, zwane izotopami: prot ma jeden proton i nie ma neutronów, deuter ma jeden proton i jeden neutron, a tryt ma jeden proton i dwa neutrony. Prot i deuter są stabilne, a tryt jest nietrwały i lubi promieniować. Izotopy powstają dlatego, że od czasu do czasu przelatujący obok atomu neutron – na przykład z Kosmosu – dostarczy tyle energii, że wybije z jądra kolejny neutron.

Promieniowanie niesie ze sobą energię. Jeśli zgromadzimy nieco nietrwałego izotopu uranu, to energia promieniowania wystarczy do podgrzania wody i zamiany jej w parę, napędzającą turbinę i produkującą prąd. Jeśli doprowadzimy do rozszczepienia atomu, otrzymamy jeszcze więcej promieniowania. Jeśli zgromadzimy bardzo dużo niestabilnego materiału, to neutronów będzie tak wiele, że nastąpi reakcja łańcuchowa – neutrony będą rozszczepiały coraz więcej atomów. Jeśli będziemy w stanie kontrolować tę reakcję, wówczas możemy zbudować elektrownię atomową. Jeśli natomiast skupimy paliwo jądrowe w masę krytyczną – np. wstrze-

eprasa.pl 7519f1e932

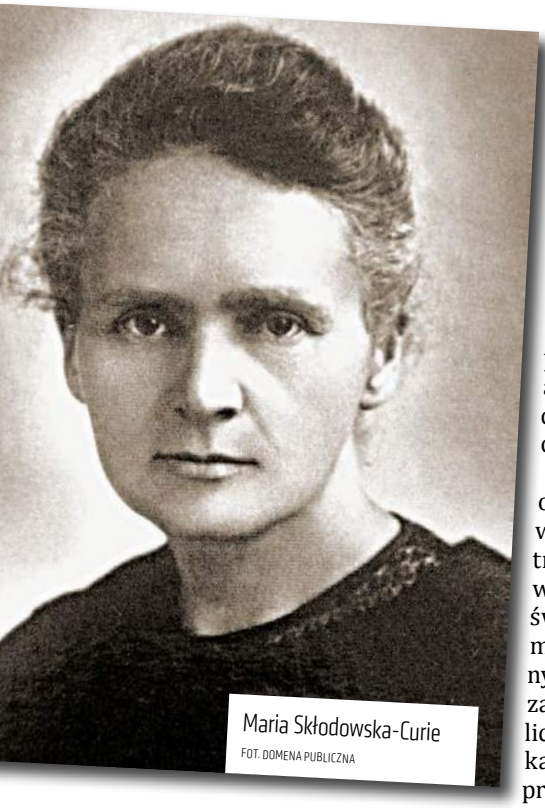

Maria Skłodowska-Curie
FOT. DOMENA PUBLICZNA

liwując w siebie dwie bryły plutonu – otrzymamy bombę atomową.

Hiroszima

Bomba atomowa wybuchła 16 lipca 1945 r. na poligonie w Los Alamos, a kilka tygodni później – 6 sierpnia – spadła na Hiroszimę. 9 sierpnia kolejna bomba spadła na Nagasaki. Japończycy – do tej pory zamierzający walczyć do gorzkiego końca, nawet za cenę milionów ofiar – podpisali bezwarunkową kapitulację. Skończyła się II wojna światowa, ale niebawem miała zacząć się zimna wojna.

Już w 1946 r. Amerykanie zastosowali szantaż nuklearny wobec Związku Sowieckiego, domagając się wycofania z Iranu. Sowieci wycofali się po 24 godzinach. Jako że sami nie dysponowali bronią atomową – uzyskali ją dopiero w 1949 r., z dużą pomocą wywiadu – rozpoczęli natychmiast kampanię przeciwko broni atomowej. Wykorzystali do niej przede wszystkim zachodnie partie komunistyczne oraz „pożytecznych idiotów": szanowanych w swoich środowiskach ludzi o pacyfistycznych przekonaniach. Pożyteczni idioci nie rozumieli, że nawet jeśli ich pacyfizm wynika z najszczerszych pobudek, to jest on zgodny z linią polityczną Kremla.

W 1950 r. w Warszawie powstała Światowa Rada Pokoju – do końca lat 80. XX w. finansowana przez Moskwę – skupiająca słynnych naukowców i polityków. Jej głównym celem było doprowadzenie do rozbrojenia atomowego – przede wszystkim do rozbrojenia Stanów Zjednoczonych. To przecież USA były głównym wrogiem pokoju, to Ameryka zrzuciła bomby atomowe, zabijając setki tysięcy Japończyków, a miliony doprowadzając do chorób nowotworowych.

Tymczasem nie wiadomo, ile było ofiar bombardowania. Amerykański wywiad stwierdził, że zginęła jedna trzecia mieszkańców. Bardzo zadowoliło to polityków i wojskowych, świadczyło bowiem, że bomba atomowa była warta środków poświęconych na jej budowę. Japończycy także zaakceptowali tę liczbę – olbrzymią liczbą ofiar mogli usprawiedliwić swoją kapitulację. Dokładniejszych badań nie prowadzono. Mogłyby one przynieść podobne rezultaty jak badania nad innymi bombardowaniami – chociażby Niemiec – które wykazały, że prawdziwa liczba ofiar jest z reguły kilkakrotnie mniejsza od pierwszych szacunków (skrajnym przykładem jest zbombardowanie Drezna, uchodzące za najbardziej krwawą akcję w Europie: tuż po wojnie Czerwony Krzyż szacował liczbę ofiar na 275 tys., w 2011 r. okazało się, że poległych było 25 tys.).

Radiofobia

Oprócz ofiar, które pociągnęła za sobą eksplozja jądrowa, były również te spowodowane chorobą popromienną oraz nowotworami. W powojennej Japonii znacznie wzrosła liczba zachorowań na raka, jednak jedynie kilkaset przypadków można powiązać z wybuchami atomowymi. Wzrost liczby zdiagnozowanych nowotworów wynikał przede wszystkim z tego, że badania onkologiczne na szeroką skalę rozpoczęto dopiero po 1945 r. Przedtem opieka zdrowotna w Japonii nie stała na najwyższym poziomie, nie szanowano ludzkiego życia tak, jak chociażby w Europie, ani nie prowadzono dokładnych statystyk.

Kolejne incydenty atomowe spowodowały ogólnoświatową radiofobię, czyli irracjonalny strach przed promieniowaniem. Duży wpływ na jej rozwój miała sowiecka „antywojenna" propaganda. Przykładem takiej działalności jest kampania prowadzona w początkach lat 80. zeszłego wieku, skierowana przeciwko rakietom Pershing II w Europie. Sowieci zainicjowali wówczas powstanie teorii „zimy nuklearnej", twierdząc, że w wyniku eksplozji nuklearnych wzniesione pyły zakryją słońce i obniżą temperaturę na Ziemi. Tymczasem od 1945 r. dokonano ponad 2 tys. próbnych wybuchów atomowych. Największy z nich – sowiecka „car bomba" z 1961 r. – miał moc 58 megaton trotylu i był blisko 4 tys. silniejsza od bomby zrzuconej na Hiroszimę.

Radioaktywności należy się bać, ale nie należy przesadzać. Jest ona bowiem obecna w całym wszechświecie. Pierwiastkiem powodującym największą naturalną promieniotwórczość na Ziemi jest radon, uwalniany wskutek rozpadu promieniotwórczego radu znajdującego się w skałach, glebach, czyli niemal wszędzie. Promieniotwórczość naturalna nie jest szkodliwa, badania wykazały, że ludzie mieszkający na terenach, gdzie jest ona stukrotnie większa od innych, nie zapadają częściej na raka. Istnieje nawet pojęcie hormezy radiacyjnej, czyli korzystnego wpływu małych dawek promieniowania na zdrowie.

Co oznacza „mała dawka"? Dawkę można mierzyć w siwertach. Jeden siwert – 1 Sv – to bardzo dużo, amerykańscy astronauci nie mogą jej przekroczyć podczas swojej kosmicznej kariery. Lot na Marsa spowoduje pochłonięcie 250 milisiwertów promieniowania kosmicznego. Pierwsza ofiara śmiertelna promieniowania – Harry Daghlian – pochłonął 5,1 Sv. Polskie prawo zezwala na roczną dawkę 20 mSv.

Radiofobia przynosi duże korzyści finansowe i polityczne. Bardzo dobrym przykładem jest zwalczanie skutków katastrofy elektrowni atomowej w Czarnobylu. W krótkim czasie przyniosła śmierć 31 ludziom, a w kolejnym dziesięcioleciu jeszcze 11. Nie przeszkadza to głosić, że „ukrytych ofiar" mogą być setki tysięcy. Nic dziwnego: pomoc finansowa Zachodu sięga miliardów dolarów, podobno stanowi ponad 10 proc. PKB niewielkiej i ubogiej Białorusi. Radiofobia może być też wykorzystywana do innych celów, np. do spowolnienia budowy elektrowni atomowych i uzależnienia państw od innych źródeł energii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7519f1e932

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

HOSPODAR KSIĘSTWA MOŁDAWSKIEGO PIOTR RARESZ, ZWANY PETRYŁĄ, W 1530 ROKU WYSTĄPIŁ DO POLSKI O ZWROT POKUCIA. GDY NIE SPEŁNIONO TEGO ŻĄDANIA, NA POCZĄTKU GRUDNIA NA CZELE OKOŁO TRZYDZIESTOTYSIĘCZNEJ ARMII PRZEKROCZYŁ GRANICĘ. WIĘKSZOŚĆ JEGO ODDZIAŁÓW STANOWIŁO POSPOLITE RUSZENIE SKŁADAJĄCE SIĘ ZE SŁABO UZBROJONYCH CHŁOPÓW. JEDNAK POLACY MOGLI PRZECIWSTAWIĆ IM TYLKO ODDZIAŁ LICZĄCY OKOŁO 1400 ZBROJNYCH, KTÓRY PROWADZIŁ HETMAN POLNY JAN KOLA Z DALEJOWA.

DOWÓDZTWO POWIERZONO JANOWI TARNOWSKIEMU. SFORMOWANA ARMIA LICZYŁA PONAD 6 TYSIĘCY, W TYM 4,5 TYSIĄCA JAZDY, PONAD TYSIĄC STRZELCÓW I 12 DZIAŁ. POZA TYM WAŻNYM ELEMENTEM BYŁ TABOR, KTÓRY ODEGRAŁ KLUCZOWĄ ROLĘ W BITWIE. DYSPONUJĄC TAKIMI SIŁAMI TARNOWSKI BEZ PROBLEMU ROZBIŁ ODDZIAŁY MOŁDAWSKIE STACJONUJĄCE PRZY GRANICY. NA WIEŚĆ O TYM PETRYŁA RUSZYŁ NA CZELE CAŁEJ SWEJ ARMII. TYMCZASEM TARNOWSKI PRZYGOTOWYWAŁ SIĘ DO OBRONY POD WSIĄ OBERTYN.

22 SIERPNIA 1531 ROKU MOŁDAWSKA ARMIA PRÓBOWAŁA ATAKOWAĆ OBÓZ, ALE RAZ PO RAZ BYŁA ODPIERANA PRZEZ STRZELCÓW I ARTYLERIĘ. W KOŃCU TARNOWSKI ZDECYDOWAŁ SIĘ NA WYPROWADZENIE PRZEZ TYLNĄ BRAMĘ KILKUSET JEŹDŹCÓW, KTÓRZY ZAATAKOWALI ODDZIAŁY PETRYŁY.

WTEDY PETRYŁA POPEŁNIŁ BŁĄD. MYŚLĄC, ŻE POLACY PRÓBUJĄ PRZERWAĆ OBLĘŻENIE I WYCOFAĆ SIĘ W STRONĘ CHOCIMIERZA, ROZKAZAŁ ABY WIĘKSZOŚĆ JEGO ARMII PRZEMIEŚCIŁA SIĘ W TAMTĄ STRONĘ. POZOSTAWIŁ ARTYLERIĘ NIEMAL BEZ OCHRONY. NA TO TYLKO CZEKAŁ TARNOWSKI. GŁÓWNĄ BRAMĄ WYPROWADZIŁ JAZDĘ, KTÓRA RUSZYŁA NA PRAWE SKRZYDŁO MOŁDAWSKIEJ ARMII.

ZE ZDOBYTYCH DZIAŁ OD RAZU ZACZĘTO RAZIĆ MOŁDAWSKIE ODDZIAŁY, A JAZDA POLSKA ZAATAKOWAŁA RÓWNOCZEŚNIE Z DWÓCH STRON. WYWOŁAŁO TO PANIKĘ W SZEREGACH WROGA. MOŁDAWIANIE RZUCILI SIĘ DO UCIECZKI.

SZACUJE SIĘ, ŻE POD OBERTYNEM ZGINĘŁO OD 5 DO 8 TYSIĘCY MOŁDAWIAN. BLISKO TYSIĄC WZIĘTO DO NIEWOLI, ZDOBYTO TEŻ OBÓZ MOŁDAWSKI I TRZY CHORĄGWIE. STRATY POLSKIE TO ZALEDWIE OKOŁO 250 OSÓB. 7 LISTOPADA TARNOWSKI PRZYBYŁ DO KRAKOWA, GDZIE ZOSTAŁ OWACYJNIE PRZYWITANY, A ZDOBYTE PRZEZ NIEGO CHORĄGWIE ZAWIESZONO W KATEDRZE WAWELSKIEJ.

eprasa.pl 7519f1e932

Sławomir Cenckiewicz

/ Felieton

Zwalczać bolszewizm!

Kiedy jesienią 1920 r. ppłk Ignacy Matuszewski jako szef Oddziału II Naczelnego Dowództwa WP rozkazem szefa Sztabu Generalnego został skierowany do Rygi w roli eksperta polskiej delegacji negocjującej pokój z Sowietami, zdobył się na odwagę napiętnować pogląd (popularny przecież w obozie Piłsudskiego) o niezbędnej neutralności Polski wobec wojny białych z bolszewikami w Rosji. Uznał, że bolszewicy są dla Polski zagrożeniem największym, dlatego Polska powinna wesprzeć formacje gen. Piotra Wrangla. Już w październiku 1920 r. przedstawił swoje stanowisko w obszernym opracowaniu „Nasza polityka względem Rosji w związku z chwilą obecną" adresowanym do gen. Tadeusza Rozwadowskiego, w którym pisał, że jeśli „bolszewicy utrzymają się przy władzy i potrafią ją utrwalić na całym obszarze Rosji, wówczas po dłuższym czy krótszym wytchnieniu rzucą się niewątpliwie na Polskę":

„Państwo polskie musi współdziałać ruchom zwalczającym bolszewizm, gdyż tryumf tego ostatniego wewnątrz Rosji byłby najgroźniejszym i wiecznie zawieszonym nad naszymi głowami niebezpieczeństwem.

Pomiędzy zwalczającymi bolszewizm siłami specjalne poparcie okazać trzeba tej, która największe ma szanse na ostateczne dojście do władzy, jednocześnie starając się zapewnić sobie z jej strony przyznanie warunków nie mniej korzystnych od tych, które daje traktat z bolszewikami. Taką siłą jest, jak się zdaje, Wrangel".

Jednocześnie, co powyższemu stanowisku w sprawie wojny „czerwonych" z „białymi" nadawało kształtu przemyślanej koncepcji, nie był Matuszewski entuzjastą zawarcia szybkiego pokoju z bolszewikami i polemizował z tymi, którzy również w Polsce stali na stanowisku, że pokój Sowietów z Polską przyczyni się w konsekwencji do obalenia władzy Lenina w Rosji:

„Hasło pokojowej odbudowy (sowieckoje stroicielstwo) jest bardzo popularne wśród poważnych organów bolszewickich. To też najlepsi znawcy propagandy sowieckiej przypuszczają, że twierdzenie, iż pokój obali bolszewizm, zostało podpowiedziane prasie zachodnio-europejskiej przez bolszewickich agentów. […]

Paradoksalne twierdzenie, że wojna, nawet nieszczęśliwa, podtrzymuje bolszewizm, opiera się więc na zupełnej nieznajomości rosyjskich stosunków. Rozpowszechnienie i utrwalenie takiego przekonania jest dla Państwa Polskiego podwójnie niebezpiecznem. Po pierwsze, przedstawia w fałszywym świetle polską akcję wojenną i budzi niechęć dla niej wśród tych sfer, które zasadniczo są i pozostaną bolszewizmowi wrogie. Po wtóre, budzi szereg złudzeń co do warunków, które nastaną po ewentualnym zawarciu pokoju; maskuje fakt, że po tem zawarciu bolszewicy będą wciąż istnieli i korzystali z udzielonego im wytchnienia dla odtworzenia swej armii i przygotowania nowych napaści; może więc doprowadzić do niedających się naprawić błędów w prowadzonej w stosunku do nich polityce".

Sowietów i komunizmu nigdy Matuszewski nie stracił z pola widzenia i właśnie przez pryzmat zagrożenia, które dla Polski i Europy niosła Moskwa, patrzył często na stosunki międzynarodowe. Sowieci byli dla niego zawsze większym zagrożeniem niż Niemcy. Nawet nasze placówki na Zachodzie uczulał na problemat sowiecki. Tej jego konsekwencji później zabraknie, bo niemal cała elita polityczna Polski (nie wyłączając opozycji) ignorowała zagrożenie sowieckie. A Matuszewski pozostawał bez wpływu na rządy w Polsce. Niestety, bo wtedy, kiedy inni widzieli w nas mocarstwo, on przewidywał naszą katastrofę.

Pamiętajmy o nim podczas kolejnej rocznicy naszej wiktorii z 15 sierpnia 1920 r. To jemu dziękował Piłsudski po pokonaniu bolszewików:

„Dzięki panu po raz pierwszy od 300 lat mieliśmy więcej informacji o nieprzyjacielu, niż nieprzyjaciel miał o nas". ©℗

eprasa.pl 7519f1e932

Militaria.pl

Z DUMĄ WSPIERAMY

FUNDACJA IM.
CICHOCIEMNYCH
SPADOCHRONIARZY
ARMII KRAJOWEJ

WWW.FUNDACJACICHOCIEMNYCH.PL

GDYNIA ŚWIĘTOJAŃSKA 84 • **KATOWICE** GALERIA KATOWICKA • **KRAKÓW** DIETLA 51 • **ŁODŹ** MANUFAKTURA • **POZNAŃ** POSNANIA • **SZCZECIN** AL. PIASTÓW 53
WROCŁAW OŁAWSKA 16 • **WROCŁAW** ALEJA BIELANY • **WARSZAWA** BLUE CITY • **WARSZAWA** TAMKA 49 • **WARSZAWA** WOLA PARK

eprasa.pl 7519f1e932